

KS. MAREK DZIEWIECKI

SYCHAR

POKONYWANIE TRUDNOŚCI W MAŁŻEŃSTWIE I RODZINIE



SYCHAR

KS. MAREK DZIEWIECKI

SYCHAR

Pokonywanie trudności
w małżeństwie i rodzinie



Redakcja i korekta: Karolina Kalinowska

Projekt okładki i łamanie: Marcin Prokop

Fotografie na okładce:

© pixabay.com

Imprimatur: Kuria Metropolitalna w Krakowie, 10 marca 2020 r. nr 718/2020;
ks. bp Damian Muskus vic. generalny, ks. Kazimierz Moskała
wicekanclerz, o. Tomasz Dąbek OSB cenzor

Wydanie I, 2020

Copyright © Wydawnictwo Fides

ISBN 978-83-61860-93-8



Wydawnictwo Fides, ul. Koziennicka 17,30-397 Kraków
tel. 605 416 946, e-mail: fides@wydawnictwofides.pl
www.WydawnictwoFides.pl

*Nic tak nie cieszy, jak wzajemna miłość małżonków
i nic tak nie boli, jak brak tej miłości.*

*Każde małżeństwo sakramentalne
jest do uratowania wtedy,
gdy szukamy prawdziwych, a nie łatwych,
sposobów pokonywania trudności
małżeńskich i rodzicielskich.*

WSTĘP

Ta książka to zapis rekolekcji, które prowadziłem na Górze Świętej Anny dla ognisk „Sychar” z całej Polski. To zapis poszerzony o wątki, na które w czasie rekolekcji zabrakło czasu. Pisałem tę książkę ze świadomością, że sięgnie po nią wielu ludzi, którzy – czasem ze swojej winy, a często bez – mają trudną, skomplikowaną sytuację małżeńską i rodzinną. Temat tej książki jest bolesny. Owszem, gdy udaje się pokonać trudności, pojawia się radość, lecz gdy te trudnością trwają albo wręcz stają się jeszcze bardziej poważne, to życie może stać się nieznośnym ciężarem. Wiem, że piszę do ludzi obarczonych ciężkimi krzyżami. W trudnych sytuacjach egzystencjalnych trzeba tym bardziej pamiętać o tym, że trwałe szczęście to coś znacznie więcej niż dobry nastrój. Dobry nastrój jest z definicji chwilowy, podczas gdy prawdziwe szczęście rodzi się z przeżywania trwałej radości, którą daje trwanie w wiernej miłości, jakiej uczy Bóg. Gdy ktoś z małżonków odkrywa, że jest przez współmałżonka zdradzany, albo gdy rodzice odkrywają, że syn stał się narkomanem czy że córka związała się z mężczyzną, który ją dręczy, to w pierwszej chwili może wydawać się, że to już koniec świata, że nasze życie nie ma sensu, że pozostaje nam już tylko skrajnie cierpieć do końca naszego istnienia w doczesności.

Mam nadzieję, że ta książka pomoże chronić się przed popadaniem w bezradność czy przed reagowaniem po omacku na bolesne sytuacje w małżeństwie i rodzinie. Nawet największe kryzysy i najtrudniejsze sytuacje nie są nieodwołalnym wyrokiem skazującym. Nie oznaczają, że muszę popaść w rozpacz i że nie ma już dla mnie i dla moich bliskich nadziei na lepszą przyszłość. Dzięki pomocy Boga oraz dzięki precyzyjnej znajomości zasad dojrzałego reagowania na sytuacje kryzysowe, mamy szansę pokonać najboleśniejże nawet trudności i odzyskać radość życia. Mamy też szansę w najlepszy z możliwych sposobów pomagać naszym bliskim, którzy nie respektują złożonej przez siebie przysięgi małżeńskiej i rodzicielskiej lub popadają w uzależnienie czy jakąś inną formę głębokiego kryzysu.

Rozdział 1

BOŻY POMYSŁ NA MAŁŻEŃSTWO I RODZINĘ

Bóg jest twórcą małżeństwa¹, a pierwsze polecenie, jakie Stwórca kieruje do kobiety i mężczyzny brzmi: *Bądźcie płodni i rozmnażajcie się* (Rdz 1,28a)². W kontekście biblijnym płodność jest nierozzerwalnie związana z miłością małżeńską i dlatego owo pierwsze polecenie Boga to wezwanie do tego, żeby mężczyzna i kobieta pokochali siebie aż tak wielką miłością, by chcieli pozostać ze sobą na zawsze i by z radością przyjęli potomstwo! Bóg wie, że los ludzkości zależy najbardziej od tego, co dzieje się między mężczyzną a kobietą, a zwłaszcza między mężem a żoną. Obecna sytuacja w krajach cywilizacji Zachodniej jest niekorzystna dla małżeństwa i rodziny. Rośnie liczba rozwodów i maleje liczba zawieranych małżeństw. Dzieje się tak mimo tego, że – jak pokazują badania – młodzi ludzie nadal na pierwszym miejscu stawiają marzenie o małżeństwie i rodzinie. Trudno im jednak dorastać do miłości w społeczeństwie zdominowanym niską kulturą i demoralizującym wpływem liberalnych mediów, dla których „ideałem” jest sytuacja,

¹ Por. KKK 1603.

² Por. Jan Paweł II, *Mężczyznę i niewiastę stworzył ich*, Watykan 1986.

gdy on i ona bawią się sobą i pozbawiają siebie płodności. Feministki nawołują do walki kobiet z mężczyznami, a aktywiści gejowscy gloryfikują izolację mężczyzn i kobiet³.

W konsekwencji powyższych zjawisk coraz mniej młodych ludzi ma odwagę, by respektować własne marzenia i decydować się na małżeństwo. Inni szukają kompromisu i zadowolają się związkami nietrwałymi i nieodpowiedzialnymi, opartymi na fikcji tak zwanych „wolnych związków”, które w rzeczywistości nie istnieją, gdyż nie istnieją rzeczy wewnętrznie sprzeczne, jak na przykład związki, które nie wiążą. Jeszcze inni decydują się pochopnie na zawarcie małżeństwa, zanim nauczą się kochać i zanim staną się zdolni do wypełnienia przysięgi małżeńskiej. Czasem dochodzi do swoistej kradzieży małżeństwa. Dzieje się tak wtedy, gdy jedno z narzeczonych składa przysięgę, którą chce i potrafi wypełnić, a druga strona nie jest do tego zdolna, albo nawet nie ma takiego zamiaru. Bywa i tak, że ktoś zawiera małżeństwo z naiwności, czyli po to, by „ratować” osobę, która przeżywa kryzys i nie jest tu i teraz zdolna, by kochać. Takie małżeństwo zwykle okazuje się nieważne i jedynie pogarsza sytuację „ratowanej” osoby, gdyż stawia ją w obliczu wymagań, których nie jest w stanie wypełnić.

1.1. MIŁOŚĆ MAŁŻEŃSKA: NAJPIĘKNIEJSZE POKONANIE SAMOTNOŚCI

Księga Pieśni nad Pieśniami ukazuje nam tęsknotę mężczyzny i kobiety za wielką miłością, za byciem dla siebie nawzajem w sposób, który wzrusza i umacnia, który daje

³ M. Dziewiecki, *Czy warto brać ślub?*, Szczecinek 2008.

poczucie bezpieczeństwa i trwałą radość oraz sprawia, że chce nam się żyć w każdej sytuacji. Ta tęsknota za wyjątkową miłością wynika z naszej ludzkiej natury. Bóg stworzył nas na swój obraz i podobieństwo, a On jest miłością. Stwórca to wspólnota trzech kochających się Osób: Ojciec, Syn i Duch Święty. To najszcześniejsza rodzina we wszechświecie, w której każdy kocha każdego. Odkąd wcielony Syn Boży objawił nam tajemnicę Trójcy Świętej, wiemy już, że Bóg jedyny nie jest Bogiem samotnym, gdyż jest wzajemną Miłością trzech Bożych Osób. Ojciec, Syn i Duch Święty trwają w miłości wzajemnej. Każda z tych trzech Osób jest Miłością, dlatego się do siebie nawzajem z miłością odnoszą – i to z miłością tak niesłychaną, że wszystkie Osoby Boże się ze sobą wzajemnie utożsamiają. Jezus mówi: *Ja i Ojciec jedno jesteśmy* (J 10,30). I to samo z Duchem Świętym: *On Mnie otoczy chwałą, ponieważ z mojego weźmie i wam objawi. Wszystko, co ma Ojciec, jest moje* (J 16,14-15a).

Bóg, który jest wspólnotą kochających się Osób, wyjaśnia nam, co jest pierwszym złem dla człowieka stworzonego na obraz i podobieństwo Stwórcy. W tej kwestii Bóg nas zaskakuje. Gdyby przeprowadzono ankietę w środowisku ludzi wierzących, to chyba wyraźna większość odpowiedziałaby, że największym złem dla człowieka jest grzech. Oczywiście, jest to wielkie zło. Jednak z grzechu można się nawrócić i stać się wielkim świętym. Więc cóż? Może śmierć? Śmierć w ogóle nie jest żadnym złem. Jest tylko – trudnym, to prawda – przejściem do życia w wieczności. Śmierć to trudna brama do czegoś pięknego, do życia twarzą w twarz z Bogiem. Natomiast pierwszym i największym, najbardziej radykalnym złem na tej ziemi jest samotność człowieka. *Nie jest dobrze, żeby mężczyzna był sam.*

Uczynię mu zatem odpowiednią dla niego pomoc (Rdz 2,18b) – mówi Bóg, patrząc na sytuację Adama w raju.

Jeśli Bóg stwierdza to o mężczyźnie, to z pewnością jest to złem także dla kobiety, gdyż obydwójce mają identyczną ludzką naturę. Kobiety są jeszcze bardziej wrażliwe na więzi międzyludzkie, niż osoby drugiej płci. My, mężczyźni, dzielimy doświadczenie Adama, który żył w małżeństwie i rodzinie, ale także w samotności, gdy chodzi nie o więź z Bogiem, lecz o więź z drugim człowiekiem. Adam był na początku bez Ewy. Pierwszą część swego istnienia spędził sam na sam z Bogiem, ale pozostawał osamotniony jako człowiek. Dopiero po stworzeniu kobiety zaczął się uczyć budowania więzi z Ewą. Natomiast Ewa od początku знаła tylko jeden sposób istnienia: w kontakcie z drugim człowiekiem, a nie tylko z Bogiem. Ewa nie zna sytuacji, w której byłaby samotna. Zostaje stworzona wtedy, gdy ktoś z ludzi już istnieje na tej planecie. Od początku swego istnienia kobieta funkcjonuje w kontakcie z drugim człowiekiem, we wspólnocie. Jest to dla nas wszystkich – tak dla kobiet, jak i dla mężczyzn – informacja o tym, że mężczyźni i kobiety mają inny sposób oraz inną intensywność, gdy chodzi o przeżywanie głodu bycia razem.

Kobieta ma o wiele większe pragnienie trwania we wspólnocie. Świadczy to o tym, że jest bardziej podobna do Boga, gdyż Stwórca jest wspólnotą wzajemnie kochających się Osób Bożych. Kobieta ze swej natury nie wie, jak to jest być osamotnioną. Podobnie Bóg nie ma takich faz istnienia, w których byłby samotny. Istotą Boga od samego początku jest to, że On jest kontaktem, wspólnotą, w której każdy kocha każdego. Używając ludzkich kategorii można powiedzieć, że nawet Bóg nie może sobie pozwolić na samotność. Ewa została stworzona

na obraz takiego właśnie Boga, który jest wspólnotą. Natomiast Adam, dopóki był sam, nie był w tym aspekcie podobny do Boga, gdyż był osamotniony w wymiarze ludzkich relacji. Owszem, żył w przyjaźni z Bogiem, pozostawał w przyjaźni z samym sobą, żył w harmonii ze światem, jednak czegoś bardzo ważnego mu brakowało. Odczuwał brak więzi z człowiekiem i to człowiekiem odmiennej płci. Płciowość przypomina nam o tym, że nie jesteśmy pełnią i że potrzebujemy spotkania z kimś, kto nas dopełni. Jednocześnie płciowość bardzo ułatwia to wzajemne dopełnianie się, gdyż jest kontaktem osób, które inaczej przeżywają i wyrażają swoje człowieczeństwo.

Mężczyźni czasem argumentują w ten sposób: „Bóg stworzył Ewę z boku Adama. Przynajmniej tyle mamy przewagi”. W obliczu tego typu twierdzeń trzeba przypomnieć, że gdy Bóg stwarzał Ewę, to najpierw pogrążył Adama w głębokim śnie. Dlaczego? Otóż, dlatego, żeby Adamowi nawet przez myśl nie przeszło, że Ewa pochodzi od niego! Adam nie miał w tej kwestii nic do powiedzenia! Ewa pochodzi od Boga, a nie od Adama. Niektórzy z mężczyzn chętnie przypominają, że Bóg stworzył kobietę po to, aby była dla mężczyzny pomocą. Skoro kobieta jest pomocą, to znaczy, że w aspekcie moralnym i duchowym jest dojrzała oraz silniejsza od mężczyzny. To także znaczy, że mężczyźni trudniej poradzić sobie w życiu bez kobiety, niż kobiecie bez mężczyzny. Mówiąc z uśmiechem, dojrzała kobieta nawet z mężczyzny uczyni człowieka. A mówiąc z całą powagą, to zwykle kobieta w swoim kobiecym geniuszu jest bardziej empatyczna, potrafi ofiarniej kochać i przyprowadza swoich bliskich do Boga.

Księga Rodzaju wyjaśnia, że nie jest dobrze człowiekowi być samemu. Samotność to pierwsze zło, jakie demaskuje

Stwórca. Dzieje się tak dlatego, że w osamotnieniu nie jesteśmy podobni do Boga, gdyż nie mamy od kogo przyjmować miłości i nie mamy komu okazywać naszej miłości. To właśnie z tego powodu pierwszym poleceniem Boga jest małżeństwo i rodzina: *Bądźcie płodni i rozmnażajcie się* (Rdz 1,28a). Małżeństwo mężczyzny i kobiety to najbardziej wyjątkowa forma wzajemnego wspierania się osób odmiennej płci. Z kolei pragnienie potomstwa to najlepszy sprawdzian i potwierdzenie tego, że narzeczeni, a później małżonkowie rzeczywiście wzajemnie siebie kochają i że obydwójce są tego pewni.

Nie wystarczy spotkać kogokolwiek, by uwolnić się z osamotnienia. Radosne bycie razem ma miejsce jedynie wtedy, gdy spotykają się osoby, które siebie nawzajem znają i które odnoszą się do siebie z miłością. Im większa jest ta wzajemna miłość, tym większa radość i tym większe poczucie bezpieczeństwa. Miłość małżeńska jest największą ze wszystkich form miłości między mężczyzną a kobietą z trzech zasadniczych powodów. Po pierwsze, jest to miłość największa z definicji. Wziąć kogoś za żonę/za męża to przyjąć tę osobę jako kogoś, kogo odtąd kocham najbardziej ze wszystkich ludzi. Bezwzględnie najbardziej! Jezus potwierdza to w bardzo czytelny sposób: *Dlatego opuści człowiek ojca i matkę i złączy się ze swoją żoną, i będą oboje jednym ciałem. A tak już nie są dwoje, lecz jedno ciało. Co więc Bóg złączył, niech człowiek nie rozdziela* (Mt 19,5b-6). Czasem trzeba to przypominać stanowczo osobom trzecim, na przykład rodzicom. Nawet, jeśli owdowiała, samotna matka jest chora, syn czy córka ma jej udzielić wszelkiej możliwej pomocy i wsparcia, ale nie kosztem własnego małżeństwa i własnej rodziny. Małżonek jest pierwszy po Bogu. Małżeństwo to największa przyjaźń, jaka

jest możliwa między ludźmi. Wszystkie inne formy przyjaźni nie są aż tak niezwykle, gdyż w odróżnieniu od małżonka żaden z przyjaciół nie ma prawa oczekiwać, że będzie go kochał bardziej niż innych przyjaciół.

Po drugie, miłość małżeńska jest między ludźmi bezwzględnie największa, ponieważ jest okazywana z bliska. My, księża, zdecydowanie za mało o tym mówimy. Ten, kto kocha mnie z bliska, ten umacnia mnie bardziej niż ktoś, kto odnosi się do mnie z podobną miłością, ale fizycznie daleko jest ode mnie. Dla przykładu, jeśli kochający mąż przebywa zagranicą, aby zarobić na lepsze warunki bytowe rodziny, to nawet wtedy, gdy ogromnie tęskni, dzwoni każdego dnia do żony, szczerze zapewnia ją o swojej miłości, przelicza w sekundach czas do powrotu do domu, to i tak, gdy wróci, gdy z przytula żonę i bierze ją w ramiona, umocnią ją zdecydowanie bardziej niż wtedy, gdy okazywał miłość jedynie na odległość. Miłości okazywana z bliska umacnia najbardziej. To właśnie dlatego Bóg przyszedł do nas w ludzkiej naturze, żeby nam okazywać miłość z bliska. To dlatego małżonkowie ślubują sobie: „[...] oraz że cię nie opuszczę aż do śmierci” – czyli, mówiąc prościej: „ślubuję ci, że będę cię kochał z bliska, czyli że aż do śmierci będę ci okazywał miłość, będąc fizycznie przy Tobie”. Rodzice swym dorosłym dzieciom, które poszły w świat, mogą okazywać miłość z daleka. Małżonkowi należy okazywać miłość z bliska. Ktoś powie: „Są takie sytuacje, gdy małżonkowie godzą się obopólnie na rozłąkę dla dobra rodziny, na przykład wtedy, gdy jedno z nich musi wyjechać w celach zarobkowych”. Owszem, bywają takie sytuacje. Jeśli czasowa rozłąka dokonuje się za obopólną zgodą, to nie jest to wiarołomnością. Jednak również i w takich

sytuacjach wiąże się to z bólem, tęsknotą i zagrożeniem dla miłości małżeńskiej.

Po trzecie, miłość małżeńska jest największa także dlatego, że jest miłością, która owocuje pragnieniem obojga małżonków, by przekazać życie dzieciom. Kochający się nawzajem mąż i żona pragną mieć ze sobą dzieci. I tylko ze sobą, a nie z jakimiś innymi osobami! Jeśli pojawiają się dzieci urodzone w związku cudzołożnym, pozamałżeńskim, to wówczas przy sięga małżeńska zostaje złamana w drastyczny sposób. Miłość małżeńska posiada zatem trzy podstawowe aspekty: „Ciebie kocham najbardziej, tobie chcę okazywać miłość z bliska aż do śmierci, z tobą i tylko z tobą chcę mieć dzieci”. To jest ów błogosławiony, Boży zamysł na małżeństwo i rodzinę.

Innymi słowy, wziąć kogoś za żonę/męża to wybrać za osobę, którą odtąd kocham najbardziej na tej ziemi, której zawierzam mój los doczesny, której okazuję miłość z bliska i z którą pragnę mieć dzieci. Małżonkowie powinni tylko Boga kochać jeszcze bardziej. Wszyscy narzeczeni – podobnie jak mężczyzna i kobieta z Pieśni nad Pieśniami – pragną być w małżeństwie ogromnie szczęśliwi. Pragną razem powracać do raju utraconego po grzechu pierwszych ludzi. Jednak nawet najbardziej czułe zakochanie i zawarcie sakramentalnego małżeństwa nie gwarantuje automatycznie, że ona i on będą ze sobą – a później także z dziećmi – szczęśliwi. Zależy to od ich przygotowania do miłości małżeńskiej i rodzicielskiej. To przecież nie jakaś abstrakcyjna miłość kocha i zachwyca, lecz konkretny mężczyzna czy konkretna kobieta. Podobnie, to nie miłość rozczarowuje w małżeństwie – jeśli rozczarowuje – lecz rozczarowuje ten konkretny mąż czy ta konkretna żona.

1.2. MAŁŻEŃSTWO: SAKRAMENT NAJWIĘKSZEJ MIŁOŚCI

Największe szanse na trwałe małżeństwo i szczęśliwą rodzinę mają ci narzeczeni, którzy decydują się połączyć się ze sobą miłością sakramentalną, czyli taką miłością, która jest wierna i nieodwołalna na podobieństwo miłości Boga: *Co więc Bóg złączył, człowiek niech nie rozdziela* (Mt 19,6b)⁴. W sakramencie małżeństwa narzeczeni przysięgają sobie miłość z Bożym, czyli najwyższym znakiem jakości we wszechświecie, gdyż postanawiają się kochać tak wiernie i ofiarnie jak Chrystus ukochał swój Kościół. Pisze o tym wprost w Liście do Efezjan św. Paweł Apostoł: *Dlatego opuści człowiek ojca i matkę, a połączy się z żoną swoją, i będą dwoje jednym ciałem. Tajemnica to wielka, a ja mówię: w odniesieniu do Chrystusa i do Kościoła* (Ef 5,31-32), aż do oddania swego życia. Przez specjalny sakrament małżonkowie zostają wzmocnieni i konsekrowani do obowiązków swego stanu i godności⁵. Otrzymują łaskę Chrystusa, by „miłowali się miłością nadprzyrodzoną, delikatną i płodną”⁶. Jednak łaska bazuje na naturze i dlatego owocne przyjęcie sakramentu małżeństwa wymaga odpowiedniego przygotowania się narzeczonych tak, by zawierali ten sakrament, żyjąc w ufnej przyjaźni z Bogiem i respektując na co dzień Jego przykazania.

Współczesny świat podaje nam trzy zupełnie inne koncepcje miłości. Ludzie wyuzdani obu płci mówią: „Mężczyzno, kobieto, zabawcie się sobą – i bądźcie nieplodni – a gdy się już

⁴ Por. M. Dziewiecki, *Młodzi pytają o miłość, rodzinę i wychowanie*, Kraków 2008.

⁵ Por. *Gaudium et Spes*, 48.

⁶ KKK, 1615.

wam ta zabawa znudzi, to rozstańcie się i zabawiajcie się z kim innym”. Z kolei feministki mówią: „Kobieto, walcz z mężczyzną!”. Natomiast aktywiści LGBT mówią: „Mężczyzno, wiąż się z mężczyzną; kobieto, wiąż się z kobietą!”. Proponują zatem izolację mężczyzn od kobiet. To zjawisko, paradoksalnie, ma miejsce nawet podczas tak zwanych parad „równości”, w czasie których przedstawiciele obu płci maszerują obok siebie, a jednocześnie publicznie całują się i dotykają tylko w obrębie jednej płci. Jedynie Bóg niezmiennie proponuje mężczyźnie i kobiecie wielką, wzajemną miłość. Tylko Bóg upewnia nas o tym, że mężczyzna i kobieta mogą być szczęśliwi razem, a nie w izolacji czy na zasadzie walki ze sobą.

Małżeństwo sakramentalne oznacza, że on i ona wiedzą, iż chcą kochać siebie nawzajem z mocą, wiernością, czułością i mądrością Chrystusa oraz że są otwarci na pomoc Boga, na Jego światło i moc, zwłaszcza w sytuacji próby, trudności czy rozczarowań. Sprawdzianem takiej otwartości na działanie Boga jest życie w czystości, a także to, że dla obojga narzeczonych marzenie o świętości jest jeszcze ważniejsze niż marzenie o małżeństwie. Owocne przyjęcie sakramentu małżeństwa oznacza też, że ona i on osiągnęli już taki stopień dojrzałości i wyłynęli na taką głębię człowieczeństwa, iż żadne z narzeczonych nie ma cech czy zachowań, które niepokoją tę drugą stronę czy jej bliskich. Sakramentu małżeństwa nie przyjmuje się bowiem w niepewności! Jeśli ktoś z narzeczonych ma wątpliwości co do miłości i odpowiedzialności tej drugiej osoby, to nie powinien zawierzać jej swojego losu oraz losu przyszłych dzieci.

Często słyszymy pytanie o to, czy ślub jest w ogóle potrzebny, jeśli narzeczeni naprawdę się kochają? Takie wątpliwości mogą mieć tylko ci, którzy jeszcze nie kochają czy nie

są pewni swojej miłości. Im bardziej narzeczony kocha, tym bardziej chce o swojej miłości do wybranki serca powiedzieć całemu światu – publicznie, przy świadkach i na piśmie. Wie bowiem, że nie jest Bogiem, któremu ta druga osoba może zawierzyć swój los doczesny na prywatne słowo. Nawet wtedy, gdy kupujemy kawałek terenu, czujemy się bezpieczniej, gdy sprzedający potwierdza nam to na piśmie i z pieczętkami. Tym bardziej wtedy potrzebujemy uroczystej decyzji, potwierdzonej na piśmie, gdy chodzi o cały nasz los doczesny, a nie o kawałek gruntu. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości ten, kto naprawdę kocha. Kontrakt cywilny nie jest alternatywą dla sakramentalnego małżeństwa. Co więcej, jest fikcją prawną, gdyż prawo państwowe nie może nikomu nakazywać miłości. Nie może też karać kogoś za to, że złamał kontrakt cywilny, na przykład zdradzając małżonka i doprowadzając do rozpadu rodziny. Przeciwnie, państwo wręcz akceptuje i autoryzuje tego typu postępowanie, gdyż pozwala winowajcy na zawarcie kontraktu cywilnego z kolejnymi osobami.

Kilka lat temu prosiła mnie o poradę pewna młoda Polka mieszkająca w Londynie. Związała się tam z muzułmaninem i postanowili się pobrać. Wyjaśniła mi, że oboje bardzo siebie nawzajem kochają i że chcą być ze sobą na zawsze jako małżonkowie. Mają natomiast wątpliwości co do tego, na jaką formę ślubu się zdecydować. Wyjaśniłem wtedy, że kontrakt cywilny w ogóle nie przewiduje ślubowania sobie miłości, a Koran pozwala mężczyźnie na małżeństwo z czterema kobietami. Jeśli narzeczeni pragną kochać siebie nawzajem wiernie i nieodwołalnie, to jedynie Kościół katolicki proponuje taką przysięgę małżeńską, która respektuje ich miłość! Kto uczy się miłości od Boga, ten uwalnia się z karykatur miłości,

a zwłaszcza z naiwnego przekonania, że miłość jest tym samym, co współżycie seksualne, zakochanie, tolerancja, akceptacja, „wolne związki” czy naiwność. Bóg uczy nas tej jedynej miłości, która nie zawodzi. To miłość heroiczna i mądra jednocześnie. Bóg tak szalenie nas kocha, że nie wycofuje swojej miłości nawet wtedy, gdy zabijamy Go w ludzkiej naturze, kiedy przychodzi do nas, aby potwierdzić, że kocha. Jednocześnie okazuje nam miłość mądrze, czyli w sposób dostosowany do naszych zachowań. Nikogo nie rozpieszcza i wszystkim stawia wielkie wymagania, gdyż pragnie, byśmy kochali siebie nawzajem aż tak bardzo, jak On pierwszy nas pokochał, a nie tylko tak, jak próbujemy kochać samych siebie.

Sakrament małżeństwa⁷ można zawrzeć wyłącznie dobrowolnie, bez żadnego nacisku z zewnątrz, ze strony innych osób. „Jeśli nie ma tej wolności, małżeństwo jest nieważne”⁸. Bóg respektuje wolność człowieka także w tym względzie i nikomu nie wyznacza małżonka. Podaje natomiast niezawodne kryteria wyboru małżonka. Powinien to być ktoś zdolny do tego, by wypełnić przysięgę największej miłości, jaka może połączyć mężczyznę i kobietę w doczesności. Im bardziej ona i on żyją w obecności Boga oraz im bardziej ufają Bogu w każdej sytuacji i w każdej sprawie, tym bardziej ich decyzja o wyborze małżonka będzie podejmowana z pomocą Boga i tym większa będzie wtedy szansa na to, że ona czy on dokonają wyboru błogosławnego! W każdym jednak przypadku to narzeczeni

⁷ Szczegółowe analizy na temat natury sakramentu małżeństwa zob. J. Grześkowiak, *Misterium małżeństwa. Sakrament małżeństwa jako symbol przymierza Boga z ludźmi*, Poznań 1999. Zob. też E. Ozorowski (red.), *Słownik małżeństwa i rodziny*, Łomianki 1999, s. 415-417.

⁸ KKK, 1628.

są odpowiedzialni za własne decyzje i ponoszą bolesne konsekwencje, jeśli dokonają wyboru pochoptnego i błędnego.

1.3. MAŁŻEŃSTWO ZAGROŻONE

Od momentu zawarcia małżeństwa sakramentalnego wszystkie inne więzi są mniej ważne od więzi z małżonkiem. Miłości i bliskości małżonków nie mogą naruszać ani silne więzi z przeszłości (z rodzicami, rodzeństwem, przyjaciółmi), ani silne więzi, które małżonkowie zbudują z innymi ludźmi w przyszłości, zwłaszcza więzi z własnymi dziećmi czy z serdecznymi przyjaciółmi. Właśnie dlatego istnieje sakrament małżeństwa, ale nie ma sakramentu rodzicielstwa czy sakramentu przyjaźni. Kościół z całym realizmem naucza, że stając się rodzicami, ona i on nie przestają być małżonkami. Także wtedy, gdy na świat przychodzi gromadka dzieci, o losie małżonków nadal decyduje najbardziej ich wzajemna więź. Dzieci nie są własnością rodziców ani ich darmowym „ubezpieczeniem” na starość. Są po to, by je przyjąć i wychować z miłością, a następnie pozwolić im z radością, by założyły własne rodziny. Pierwszym sposobem kochania dzieci jest wzajemna miłość małżonków. Przyglądanie się wiernej, ofiarnej i czułej miłości rodziców to także najlepszy kurs przedmałżeński dla dzieci i młodzieży.

Podstawowym warunkiem trwania w sakramencie małżeństwa w sposób owocny, w radosnej miłości, jest pielęgnowanie nie tylko więzi z małżonkiem, ale także więzi z Bogiem, którego małżonkowie wzięli na świadka i na obrońcę ich więzi małżeńskiej: *Co więc Bóg złączył, człowiek niech nie rozdziela*

(Mt 19,6b). Pielęgnowanie więzi z Bogiem to życie w każdej dziedzinie zgodne z Dekalogiem, to niedzielna Msza święta i regularne korzystanie z sakramentu pokuty, to włączenie się do jakiegoś katolickiego ruchu formacyjnego, to dążenie do świętości w codzienności. Największą szansę na owocne korzystanie z sakramentalnego umocnienia mają ci małżonkowie, którzy razem przeżywają więź z Bogiem i razem się modlą. Wspólna modlitwa to miejsce wspólnego spotkania z Bogiem i wspólnego rozmawiania z Nim o sprawach ważnych dla małżonków i ich dzieci. Wspólna modlitwa małżonków i wspólny codzienny rachunek sumienia to najlepsza, bo Boża poradnia życia małżeńskiego i rodzinnego!

Ważne jest to, by wcześniej odczytywać znaki ewentualnego kryzysu w małżeństwie, gdyż wczesna interwencja bywa zwykle najbardziej skuteczna. Otóż, początkiem łamania przysięgi małżeńskiej nie są sprzeczki, problemy alkoholowe czy zdrady małżeńskie, ale sytuacja, w której on czy ona przestaje okazywać miłość żonie czy mężowi. Małżonkowie ślubują sobie bowiem to, że będą siebie nawzajem kochać, a nie to, że powstrzymają się jedynie od wyrządzania sobie nawzajem krzywdy. Najtrudniejszą próbą dla małżeństwa jest miłość w skrajnej sytuacji, czyli wtedy, gdy jedno z małżonków przeżywa bolesny kryzys, nie kocha już nawet samego siebie i boleśnie krzywdzi współmałżonka oraz dzieci. Także w takiej sytuacji Kościół odwołuje się do mądrej miłości Boga, który daje nam prawo do obrony – do separacji małżeńskiej włącznie – lecz bez odwoływania miłości i bez dopuszczania zemsty. Jak sam Jezus, który, uderzony podczas przesłuchania, rzekł: *Jeżeli źle powiedziałem, udowodnij, co było złego. A jeżeli dobrze, to dlaczego Mnie bijesz?* (J 18,23b).

Szczęśliwe małżeństwo i trwała rodzina to zdecydowanie najlepsze, najbardziej korzystne, ustanowione przez samego Boga miejsce na tej ziemi dla dzielenia się miłością, dla tworzenia klimatu bezpieczeństwa, dla radosnego wychowania dzieci, dla wspólnego dorastania do świętości⁹. Trwałe małżeństwa i szczęśliwe rodziny nie są wyjątkami, chociaż w liberalnych mediach i w międzysąsiedzkich rozmowach wskazuje się zwykle na te rodziny, które są w kryzysie. Wierność sakramentalnej miłości małżeńskiej przez całe dziesięciolecia bywa czasem trudna i nieraz wiąże się z dźwiganiem krzyża¹⁰. Jednak wiem też, że taka miłość jest naprawdę także w naszych czasach możliwa, gdyż od wielu lat jestem zaprzyjaźniony z takimi rodzinami, w których wszyscy kochają wszystkich i w których wszyscy patrzą na wszystkich z radością. Wielu jest takich małżonków, którzy do śmierci rosną w przyjaźni z Bogiem i którzy w każdej sytuacji wiernie wypełniają małżeńską przysięgę miłości¹¹.

Czy jednak fakt, że coraz więcej małżeństw przeżywa kryzys, nie jest znakiem czasu i czy nie upoważnia do pytania o to, czy instytucja małżeństwa nie powinna ulec jakimś przeobrażeniom? Otóż, nie, gdyż nikt z ludzi nie wymyśli piękniejszej więzi między kobietą i mężczyzną, ani nie zaproponuje im bardziej niezwykłej miłości od tej, którą zaproponował Bóg na początku historii ludzkości, kiedy to stwierdził, że mężczyzna i kobieta zostali stworzeni wzajemnie dla siebie: *Nie jest dobrze, żeby mężczyzna był sam* (Rdz 2,18b). Bóg stwarza mężczyznę do pomocy kobietę (mężczyzna potrzebuje pomocy

⁹ Por. M. Dziewiecki, *Bóg, królowna i księżniczki*, Kielce 2016.

¹⁰ Por. KKK 1642.

¹¹ Por. K. Wojtyła, *Miłość i odpowiedzialność*, Lublin 1986.

kobiety!) jako istotę równą mu i bliską, *jako pomoc przychodząca od Pana* (Ps 121,2). *Dlatego to mężczyzna opuszcza ojca swego i matkę swoją i łączy się ze swą żoną tak ściśle, że staną się jednym ciałem* (Rdz 2,24). Po zawarciu małżeństwa – zgodnie z pierwotnym zamysłem Stwórcy – *nie są już dwoje, lecz jedno ciało* (Mt 19,6b). Nigdy nie pojawi się instytucja lepsza niż małżeństwo kobiety i mężczyzny, oparte na wiernej i nieodwołalnej miłości. Nigdy w kryzysie nie znajdzie się sakrament małżeństwa. W każdej natomiast epoce w kryzysie może być konkretny człowiek, który małżeństwo zawiera.

Rozdział 2

PO CZYM POZNAĆ, ŻE ZACZYNA SIĘ KRYZYS?

Zdajemy sobie sprawę z tego, że życie na tej ziemi po grzechu pierwotnym nie jest życiem w raju. Jeśli jednak mąż i żona wzajemnie się kochają, jeśli obydwójce wiernie wypełniają przysięgę małżeńską, wówczas tworzą w domu bezpieczną przyjaźń i mały kawałek nieba na ziemi. Nie możemy zapewnić miłości i szczęścia wszystkim mieszkańcom naszej planety. Od nas natomiast zależy to, czy w małżeństwie będziemy powracać do raju i tworzyć oazę miłości, choćby ludzie wokół nas żyli na zasadzie agresji, wrogości, egoizmu, arogancji czy izolacji. Niestety, nierzadko bywa tak, że stan faktyczny daleki jest od tego, który małżonkom proponuje Stwórca. W znacznej części małżeństw – z winy obojga małżonków lub z winy jednego z nich – zaczyna działać się źle. Ważne jest to, żeby możliwie wcześnie odkrywać przejawy i przyczyny zaczynającego się kryzysu, gdyż wtedy zmiana na lepsze jest stosunkowo łatwa, a ewentualna interwencja kryzysowa ma znaczną szansę na uratowanie małżeństwa.

2.1. ZANIEDBANIE MIŁOŚCI MAŁŻEŃSKIEJ

Postawmy zatem najpierw pytanie o to, kiedy zaczynają się problemy w małżeństwie i w rodzinie? Podkreślam tu wyrażenie: zaczynają się. Zanim bowiem popatrzymy w kolejnych rozdziałach na dramatyczne formy kryzysu, najpierw przyjrzyjmy się znakom, które świadczą o tym, że oto kryzys już się zaczyna. Często takich znaków nie dostrzegamy. Przeoczamy początki kryzysów małżeńskich. Zauważamy je zwykle dopiero wtedy, gdy przybiorą bardzo dramatyczne już rozmiary. Tymczasem niezwykle ważne jest to, żeby wcześniej odczytywać znaki nadchodzącego kryzysu, gdyż wczesna interwencja bywa zwykle najbardziej skuteczna. Otóż, początkiem łamania przysięgi małżeńskiej nie są bolesne sprzeczki, agresja słowna czy fizyczna, problemy alkoholowe albo zdrady małżeńskie. Tego typu zjawiska to znak, że małżonkowie weszli już w ostrą fazę kryzysu. Kryzys zaczyna się dużo wcześniej, a mianowicie wtedy, gdy mąż czy żona przestaje okazywać miłość współmałżonkowi. Jeszcze ten ktoś nie zdradza, nie bije, nie upija się, ale już przestaje okazywać miłość. To wystarczy, żeby kryzys małżeński zaczął przybierać bardzo bolesne rozmiary.

Gdy w czasie spotkania z małżonkami albo z narzeczonymi pytam ich o to, kiedy mąż czy żona zaczyna łamać przysięgę małżeńską, to najczęściej słyszę taką odpowiedź: „Proszę księdza, mąż czy żona zaczyna łamać przysięgę małżeńską wtedy, gdy bije współmałżonka, gdy go poniża, zdradza, albo na inne sposoby zadrecza”. Wówczas wyjaśniam, że nie pytam o to, kiedy mąż/żona staje się bandytą i brutalnie niszczy więź małżeńską, lecz pytam o to, kiedy ZACZYNA łamać przysięgę

małżeńską. Gdy rozmówcy nadal nie udzielają trafnej odpowiedzi na to pytanie, wtedy wyjaśniam, że mąż czy żona zaczyna łamać przysięgę małżeńską w dniu, w którym przestaje komunikować współmałżonkowi miłość. Jeśli nadchodzi taki dzień – po tygodniach, miesiącach czy latach po ślubie – gdy, na przykład, mąż wraca z pracy i po raz pierwszy nie komunikuje żonie, że ją kocha, nie przytuli jej na powitanie, nie powie o tym, jak dzisiaj za nią tęsknił, czy nie spyta o to, co ona przeżywa, nie popatrzy jej czule w oczy, nie okaże innych znaków troski o nią i miłości do niej, to tego dnia po raz pierwszy łamie przysięgę miłości. Jeśli zamiast okazywania miłości ów mężczyzna popatrzy tego dnia na żonę z obojętnością, jeśli nie spyta o to, w czym jej dzisiaj może pomóc, jeśli siądzie do stołu bez okazania serdecznej wdzięczności żonie za przygotowany posiłek, to zacznie łamać złożoną przez siebie przysięgę małżeńską. Nie potraktuje bowiem swojej żony jak najbardziej przez siebie kochanej kobiety, lecz raczej jak kelnerkę.

Brak okazywania miłości to pierwszy znak kryzysu, gdyż to początek łamania przysięgi małżeńskiej. W takiej sytuacji współmałżonek, który nadal okazuje miłość, powinien natychmiast zasygnalizować mężowi czy żonie, że w ich małżeństwie zaczyna się źle dziać i że trzeba podjąć konkretne kroki, by tę sytuację zmienić. Gdy sąsiad nie okazuje nam miłości, to nie jest znak, że zaczyna się kryzys międzysąsiedzki. Sąsiedzi nie ślubują nam miłości. Są zobowiązani do okazywania szczególnej miłości swemu współmałżonkowi, a nie nam. Problemy czy konflikty sąsiedzkie zaczynają się dopiero wtedy, gdy któryś z sąsiadów zaczyna wyrządzać nam krzywdę, na przykład, gdy niszczy naszą własność, gdy zakłóca porządek i spokój, gdy oczernia nas przed innymi sąsiadami, gdy nam grozi czy

odnosi się do nas z agresją. Sąsiedzi nie mają obowiązku nas wspierać. Nie wolno im jedynie nas krzywdzić.

Małżonkowi mamy święte prawo stawiać znacznie wyższe wymagania. Mamy prawo oczekiwać czegoś więcej niż jedynie tego, by nas nie krzywdził. Możemy odczuwać żal i czuć się krzywdzeni już wtedy, gdy mąż czy żona przestaje okazywać nam miłość. Małżonek już wtedy nas krzywdzi i w konsekwencji powinniśmy stanowczo zareagować. Dla większości kobiet jest oczywiste, że brak okazywania miłości to już poważny sygnał kryzysu w relacji mąż-żona. Do świadomości mężczyzn ta podstawowa prawda dochodzi zwykle później i trudniej. O ile w okresie narzeczeństwa także dla mężczyzn jest oczywiste, że brak okazywania sobie nawzajem miłości, czułości, serdeczności i troski to poważny problem, o tyle po ślubie z tą świadomością bywa u mężczyzn gorzej.

Gdy wyjaśniam mężczyznom, że małżonek zaczyna łamać swoją przysięgę małżeńską już wtedy, gdy przestaje okazywać miłość, znaczna część mężów protestuje i mówi: „Niech Ksiądz nie przesadza i niech Ksiądz czasem naszym żonom nie powie, że brak okazywania miłości to już łamanie przysięgi małżeńskiej”. Odpowiadam wtedy, że nie przesadzam i że powiem to ich żonom! Co bowiem narzeczony ślubuje narzeczonej a ona jemu? Czy przysięga małżeńska brzmi: „Biorę cię za żonę/za męża i ślubuję ci, że nie będę cię bił, poniżał, zdradzał”? Otóż, brzmi zupełnie inaczej! Narzeczeni ślubują sobie miłość, a nie ledwie to, że nie będą siebie nawzajem krzywdzić. I z takiego właśnie ślubowania są rozliczani.

Nie istnieje miłość niekomunikowana. Nie kocham, jeśli mojej miłości nie okazuję w słowach i czynach, i to od obudzenia się do zaśnięcia. Nie wolno oczekiwać od żony czy męża, że

uwierzy w moją miłość tylko dlatego, że deklaruje, iż kocham. Miłość tylko deklarowana, nawet szczerze, nie wystarczy. Jezus nikomu nie mówił: „Kocham cię”. Nie miał takiej potrzeby, gdyż okazywał miłość w sposób tak czytelny, ofiarny, czuły, że wszyscy widzieli, iż kocha. Nie musieli w Jego miłość wierzyć na słowo. Ta sama zasada odnosi się w najwyższym stopniu do miłości małżeńskiej. Jeśli mąż czy żona nie okazuje miłości na co dzień i każdego dnia od nowa, to taka miłość jest tylko iluzją, utopią, mrzonką. Jest pustą deklaracją. Kto naprawdę kocha, ten nieustannie znajduje sposoby, by tę miłość kochanej osobie okazywać i potwierdzać. Oddechem miłości jest jej widzialne objawianie się w naszych słowach i widzialnych zachowaniach. Ten, kto kocha, nieustannie znajduje sposoby, by to potwierdzać przez okazywanie miłości, a nie przez oczekiwanie, że żona czy mąż uwierzy w moją miłość tylko dlatego, że tę miłość deklaruje, zamiast okazywać.

Tego, że nie istnieje miłość nieokazywana, uczy nas sam Bóg. Niewidzialny Bóg stał się widzialny właśnie po to, żeby nieustannie, dzień i noc, okazywać nam, jak nas kocha. Tego uczy nas Jezus Chrystus: od świtu do nocy okazywać miłość. W jaki sposób czynił to Zbawiciel, gdy przyszedł do nas obojście? Otóż, okazywał miłość na trzy sposoby: poprzez obecność, ofiarność i czułość. Małżonkowie mają okazywać sobie nawzajem miłość w podobny sposób. Jezus był od świtu do nocy obecny dla tych, do których przyszedł. Od świtu do nocy służył, tłumaczył, uzdrawiał, karmił, pomagał, upominał. Od świtu do nocy był czuły i serdeczny, przytulał i pozwalał się przytulać, okazywał czułość aż tak bardzo, jak tamtej nawróconej kobiecie, gdy wielu obserwujących się gorszyło, bo oddzielali czułość od miłości. Jeśli mam dla ciebie czas – nieraz także kosztem

snu, wypoczynku, posiłku – jeśli od świtu do nocy służę ci i pomagam we wszystkim, jeśli jestem dla ciebie czuły i cierpliwy, to wtedy dosłownie widzisz, że ciebie kocham. Takie widzialne i ofiarne okazywanie miłości to droga do pokonywania tej pierwszej formy kryzysu, a mianowicie sytuacji, w której jeden z małżonków przestaje okazywać miłość.

Pełna miłości obecność, ofiarność i czułość to zatem bezwzględnie konieczny warunek wypełniania przysięgi małżeńskiej. Każdy z nas jest głodny znaków miłości otrzymywanych od świtu do nocy. W tym kontekście pragnę podpowiedzieć coś żonom. Jeśli mąż oświadczy Tobie, że w sobotę i niedzielę będzie starał się więcej niż dotąd okazywać ci miłość, wręcz na zapas, ale w ciągu tygodnia będzie skupiony tylko na pracy zawodowej i zbyt zmęczony, żeby mieć dla ciebie czas, ofiarność i czułość, to wyjaśnij: „Mężu, zjedz w niedzielę na kolację bardzo obfity posiłek, bo następny będzie dopiero w sobotę za tydzień”. Tak, jak nie da się najeść na zapas, tak też nie da się komunikować miłości na zapas.

Nam, mężczyznom, jest o wiele trudniej okazywać miłość, nawet wtedy, gdy szczerze kochamy. Nie jesteśmy z natury tak spontaniczni, tak ofiarni i tak czuli, jak kobiety. Wielu mężczyzn mówi mi: „Proszę księdza, naprawdę kocham żonę i dzieci, każdego dnia myślę o nich, ciężko pracuję, by utrzymać rodzinę i żeby moim bliskim żyło się jak najlepiej, a mimo to nie umiem okazywać im czułości. U mnie w domu ojciec nigdy tego nie czynił. Nawet mama była dosyć zimna emocjonalnie, bo poraniona jako dziecko alkoholika. Nie mam pojęcia, jak okazuje się czułość w słowach i zachowaniach. Dotąd nawet nie zdawałem sobie sprawy z tego, że powinienem wymagać od siebie ciągłego okazywania miłości w widzialny

sposób, czyli przez fizyczną obecność, ofiarną troskę i serdeczną czułość. Gdybym nawet podjął wysiłek, żebym zaczął okazywać uczucia mojej żonie i dzieciom, to się aż wstydę, bo co oni sobie pomyślą. Może pomyślą, że to nieszczerze z mojej strony, albo że coś złego zrobiłem i próbuję to zamaskować moją czułością, jakiej wcześniej nie okazywałem”.

W odpowiedzi na tego typu wyznania mężczyźni wyjaśniam, że ich trudności oraz obawy wynikają z tego, że bardziej skupiają się na samych sobie niż na żonie i dzieciach. Gdy mężczyzna myśli głównie o sobie, o swojej historii, o swoich poranieniach z przeszłości, czy o tym, co sobie inni o nim pomyślą, gdy zacznie być serdeczny w słowach, czynach i różnych znakach miłości, to rzeczywiście będzie się blokował swoimi własnymi myślami i obawami. I właśnie dlatego nie będzie w stanie dojrzałe kochać. Warunkiem miłości jest skupianie się na tych, których kocham. Tylko wtedy jestem w stanie empatycznie wczuwać się w ich sytuację, przeżycia i potrzeby. Kto kocha, ten nie myśli o sobie, lecz o tych, których kocha. Ksiądz Jan Twardowski napisał mocne i jakże trafne wskazanie: „Zapomnij, że jesteś, gdy mówisz, że kochasz”. Powtórzył zatem to, co wiemy już od Jezusa, gdyż to On nas nauczył nas wszystkiego, co piękne, dobre i mądre. Jezus pierwszy powiedział: „Jeśli chcesz być moim uczniem – jeśli chcesz kochać – to zaprzyj się samego siebie” (por. Łk 9,23). Jeśli kochasz, to w tym momencie ciebie nie ma dla ciebie, bo w centrum twoich myśli, twojej uwagi i troski są małżonek i dzieci.

Czytelnik, który w swoim małżeństwie boryka się z bardzo dramatycznymi kryzysami, może w tym miejscu pomyśleć sobie z wyrzutem i żalem: „Teraz już wiem, że widzialne okazywanie miłości od obudzenia się do zaśnięcia jest pierwszym

warunkiem wypełniania przysięgi małżeńskiej i zapobiegania kryzysom w małżeństwie i rodzinie. Dotąd jednak niestety nie zdawałem sobie z tego sprawy. W konsekwencji ranilem małżonka i dzieci, nawet o tym nie wiedząc. A teraz może wręcz rozpada mi się rodzina. Czytam tę książkę i widzę, jak byłem dotąd ślepy na potrzeby moich bliskich i jak mało kochałem. Ta lektura sprawia, że mój ból jest jeszcze większy! Czy nie rozsądniej będzie, jeśli przestanę czytać dalszy ciąg tego tekstu?”

Z pewnością warto odważnie czytać dalej, gdyż prawda jest nam potrzebna. Ona nas wyzwala z popełnianych błędów i daje szansę na dużo lepszą i radośniejszą przyszłość. Mając dobrą świadomość tego, do czego zobowiązuje przysięga małżeńska i dokładnie wiedząc, na czym polega okazywanie miłości w widzialny sposób, wiemy już, do czego mamy dążyć i co jest kryterium normalności małżeńskiej, czyli takiego bycia razem męża i żony, które to bycie razem cieszy obydwie strony i obydwójgu pozwala doświadczać radości życia. Po drugie, dzięki świadomości, że małżonkowie ślubują sobie miłość, a nie ledwo to, że nie będą siebie krzywdzić oraz dzięki świadomości, że nie istnieje miłość nieokazywana w widzialny sposób, małżonkowie mogą zapobiegać kryzysowi we własnej rodzinie oraz mądrze doradzać innym parom małżeńskim, które zaczynają wchodzić w kryzys, gdyż za mało okazują sobie miłości. Mogą też pomagać swoim dorastającym synom i córkom w przygotowaniu się do miłości małżeńskiej oraz w mądrym weryfikowaniu dojrzałości kandydata na małżonka.

To oczywiście, że nie jesteśmy w stanie zmienić przeszłości. Możemy natomiast z przeszłości wyciągać mądre wnioski i uczyć się na popełnionych wcześniej błędach. To warunek

błogosławionej teraźniejszości. Każde małżeństwo sakramentalne jest do uratowania, jak słusznie przypominają o tym osoby należące do ognisk „Sychar”. Z najgorszej, z najbardziej nawet bolesnej przeszłości można się podnieść i budować radosną teraźniejszość. Warunkiem jest jednak to, że nie czynimy tego po omacku czy metodą prób i błędów, lecz precyzyjnie rozumiemy, że okazywanie miłości to pierwszy warunek szczęścia małżeńskiego.

Lekarstwo na tę pierwszą i jakże bolesną formę kryzysu małżeńskiego, jaką jest brak okazywania sobie nawzajem miłości, to powrót do okazywania tej miłości w sposób, który może miał miejsce w okresie narzeczeństwa czy w początkach małżeństwa. Niektórzy małżonkowie muszą uczyć się okazywania miłości niemal od początku, od podstaw. Jeżeli nie tylko szczerze, ale też dojrzałe kocham żonę/męża, syna czy córkę, to już wiem, że oni mają tę moją miłość dosłownie widzieć dzięki temu, że od obudzenia się do zaśnięcia mam dla nich czas, że jestem przy nich i dla nich fizycznie blisko po to, żeby im służyć, żeby z nimi rozmawiam, żeby dodawać otuchy, żeby okazywać czułość. My, mężczyźni, nie pokonamy kobiet w okazywaniu czułości poprzez słowo, gest, uśmiech czy dotyk. One zawsze będą w tym od nas niedoścignienie lepsze i wrażliwsze. Jednak jest jedno pole do popisu także dla nas, mężczyzn, gdy chodzi o czułość. Tym polem do popisu jest cierpliwość. Ona jest wręcz podstawową formą czułości, która charakteryzuje każdego mężczyznę, który dojrzałe kocha.

Cierpliwość jest wręcz najbardziej błogosławioną formą czułości w relacji mężczyzna – kobieta, w relacji ojca do córki, męża do żony, brata do siostry, chłopaka do dziewczyny. Wiemy, że kobiety w każdym wieku są zdecydowanie bardziej

wrażliwe emocjonalnie na wszystko, co się dzieje w nich i wokół nich. Ponadto zmienność nastrojów związana jest z wpisaną w ich ciało zmiennością poziomu hormonów, które bezpośrednio wpływają na przeżycia. Kobiety przeżywają niemal wszystkie stany emocjonalne na raz. Nawet najdrobniejsze wydarzenie może sprawić, że w danym momencie będą raczej cieszyć się niż cierpieć, lub odwrotnie. To z tego powodu pierwszą formą czułości mężczyzny wobec kobiety jest właśnie cierpliwość. Mówiąc z uśmiechem, dziewczęta i kobiety mają co chwilę zmiany nastrojów po to, żeby mężczyźni mieli co chwilę okazję, by potwierdzać, iż naprawdę kochają! Ponieważ nastroje są u pań co chwilę inne, to mężczyźni mają co chwilę okazję do tego, by potwierdzać, że także w tym innym, niemal nieustannie zmieniającym się nastroju, są bezwarunkowo i nieodwołalnie kochane. To jedyny sposób na szybką poprawę nastroju. Choćby mężczyzna komunikował swojej żonie, córce, mamie czy siostrze wyłącznie miłość i serdeczność, to u kochanej kobiety i tak będą się pojawiać uczucia mniej radosne, związane z zachowaniem innych osób czy z tym, co dzieje się wokół niej. W każdej sytuacji niezastąpioną formą męskiej czułości jest cierpliwość okazywana kobiecie.

2.2. ZANIEDBANIE MIŁOŚCI RODZICIELSKIEJ

Pierwszy i podstawowy przejaw tego, że w małżeństwie doszło do kryzysu, jest przez przeważającą większość małżonków zupełnie niezauważany. Dzieje się tak nie tylko z ich winy, lecz także z winy nas, duszpasterzy. To my, kapłani, za mało o tym mówimy i zbyt małą wagę przywiązujemy do wyjaśniania

faktu, że małżonkowie poważnie krzywdzą współmałżonka już wtedy, gdy nie okazują mu miłości, a nie dopiero wtedy, gdy wyrządzają jakieś poważne zło. Mam silną nadzieję na to, że ta książka przyczyni się do wzrostu świadomości w tym względzie zarówno u małżonków, jak i u kapłanów, którzy przygotowują młodzież i narzeczonych do wypełniania małżeńskiej przysięgi miłości.

Drugim – obok braku okazywania miłości – zjawiskiem, który prowadzi do poważnego kryzysu, również zwykle niedostrzeganym przez większość małżonków, jest zaniedbanie wychowania dzieci. Trzeba pamiętać o tym, że każda forma kryzysu w małżeństwie bierze się stąd, że jedno z małżonków lub obydwoje zaczynają łamać któreś z zobowiązań, jakie przyjęli na siebie w dniu, w którym złożyli przysięgę małżeńską. O ile wyżej opisana pierwsza forma kryzysu, czyli zaniedbywanie okazywania miłości, jest złamaniem przysięgi „ślubuję ci miłość [...] oraz że cię nie opuszczę aż do śmierci”, o tyle druga forma kryzysu, czyli zaniedbywanie katolickiego wychowania dzieci, stanowi złamanie tej części przysięgi, która zawiera się w słowach: „z miłością przyjmę i po katolicku wychowam potomstwo, którym Bóg mnie obdarzy”.

Jeśli małżonkowie zaniedbują wychowywanie dzieci, bądź myślą wychowanie z jakąś jego karykaturą, to wtedy łamią przysięgę małżeńską. W konsekwencji kryzys musi nadejść nieuchronnie. Mamy tutaj do czynienia z kryzysem rodzinnym, co oczywiste, ale także z kryzysem małżeńskim. Będzie to zarówno kryzys małżeński, jak też kryzys rodzicielski. Dlaczego tak się stanie? Otóż, dlatego, że niewychowane dzieci wejdą w kryzys. Wcześniej czy później zaczną coraz bardziej błędzić. Niektóre z nich zaczną zachowywać się skandalicznie.

Będą zadrezczać same siebie, rodziców i inne osoby, na przykład rodzeństwo, rówieśników w szkole czy osoby, z którymi zaczną budować bliższe więzi.

W tej sytuacji pojawi się coraz większe napięcie w relacjach między mężem a żoną. Małżonkowie – jako rodzice – zaczną jedno na drugie zrzucać winę za zaistniałą sytuację. Zaczną się kłócić i wymawiać sobie nawzajem popełnione błędny wychowawcze. Zaczną przypisywać drugiej stronie winę za to, że ich dziecko znalazło się w tak głębokim kryzysie. Zwykle mąż będzie wytykał żonie, że to ona miała zajmować się wychowaniem dzieci, podczas gdy on zarabiał na utrzymanie rodziny. Z kolei żona będzie wymawiać mężowi, że za mało przebywał w domu, że zaniedbywał swoje obowiązki rodzicielskie, że dzieci potrzebują na co dzień obydwojga rodziców, a nie tylko matki, że nie da się dobrze wychować syna czy córkę, gdy ojciec jest bierny w wychowaniu czy gdy podważa w oczach dzieci autorytet ich matki. Każdy z małżonków będzie subiektywnie przekonany o tym, że ma rację i że to współmałżonek jest odpowiedzialny za problem z wychowaniem dzieci.

W tym kontekście warto wyjaśnić, że jeśli jedno z małżonków zacznie oddziaływać destrukcyjnie na dzieci, to drugi małżonek ma wręcz prawo – ze względu na dobro dziecka – wystąpić do sądu cywilnego o ograniczenie kontaktów, a w sytuacjach szczególnie drastycznych nawet o całkowity zakaz kontaktu rodzica krzywdzącego dziecko¹². Dzieje

¹² Zob. „Orzeczenie zakazu kontaktów z dzieckiem”, dr hab. Elżbieta Holewińska-Łapińska, prof. Instytutu Wymiaru Sprawiedliwości, *Prawo rodzinne*, Warszawa 2018. Autorka wyjaśnia, że „zbudowanie modelu normatywnego dobra dziecka na potrzeby stosowania art. 1133 k.r.o. jest trudne. Można jedynie wskazać pewne płaszczyzny dobrostanu dziecka, które potencjalnie mogłyby być zagrożone przez kontakty. Przykładowo

się tak na przykład wtedy, gdy jedno z małżonków odchodzi z osobą trzecią, gdy fizycznie czy psychicznie dręczy dzieci, gdy wprowadza je w uzależnienia czy gdy w ramach widzenia się z dziećmi zabiera je do kochanki/kochanka, przez co dodatkowo rani i deprawuje dziecko. Zwykle w tej ostatniej sytuacji nie jest łatwo uzasadnić w sądzie swoje racje. Także wtedy, gdy zdradzający małżonek chce cywilnego rozwodu, by związać się z nowym „partnerem”, a małżonek zdradzany chce – i słusznie – jedynie separacji, by tu i teraz skutecznie bronić siebie i dzieci przed krzywdą, ale bez łamania własnej przysięgi małżeńskiej.

W czasie rozpraw sądowych trzeba być zatem bardzo precyzyjnym. Zdradzany małżonek powinien wyjaśniać sędziemu, że sam dotrzymuje złożonej przysięgi, bo nadal kocha i nadal chce po katolicku wychować swoje potomstwo. Tymczasem ten drugi małżonek nie dotrzymuje złożonej na piśmie i przy świadkach przysięgi. W państwie prawa sąd staje po stronie tych, którzy wypełniają przysięgę, a nie po stronie tych, którzy ją łamią. Skoro obecnie małżonek, który odszedł, nie postępuje

jest to bezpieczeństwo fizyczne (a więc ochrona życia, zdrowia, wolności należących do treści «dobra dziecka»), poczucie bezpieczeństwa oraz własnej wartości, godności, niezakłóconego procesu nauki, rozwoju sprawności ciała i umysłu, rozwoju duchowego (w tym religijnego, jeżeli taki model wychowania wynika z wyznawanych wartości i tradycji rodziny)” – s. 14. „Styczność z rodzicem może zagrażać dobru dziecka, jeżeli mógłby się ujawnić demoralizujący wpływ matki lub ojca [...], wywierany nie tylko drogą bezpośredniego wpajania dziecku niemoralnych zasad [...], lecz także przez naganne prowadzenie się, mogące być złym wzorem dla nieletniego. Zakaz powinien być reakcją sądu na stan zagrożenia sfery duchowej lub fizycznej dziecka, przykładowo przez nadmierne karcenie, wpajanie społecznych wzorców postępowania, demoralizowanie, [...] bowiem w takich sytuacjach każdy przejaw styczności może być niepożądany” – s. 9. Por. Zasady określania kontaktów rodziców z dzieckiem – <http://bit.ly/3aBQmNH>.

po katolicku oraz łamie świadomie i dobrowolnie złożoną przez siebie przysięgę, to dopóty, dopóki trwa w tej sytuacji, nie powinien mieć kontaktu z własnymi dziećmi, gdyż je gorszy. Demoralizator nie ma prawa do wychowywania dzieci, a jest ewidentnym demoralizatorem, gdyż swoim postępowaniem przeczy temu, co sam ślubował. Nie dając nigdy zgody na rozwód, lecz – w koniecznych dla skutecznej obrony przypadkach – godząc się na separację, krzywdzony małżonek jest zobowiązany do zachowania wierności własnej przysiędze. I tylko ktoś taki ma pełne prawa rodzicielskie. Trzeba stanowczo wyjaśniać w sądzie, że nie może być wychowawcą ktoś, kto publicznie łamie własną przysięgę małżeńską i rodzicielską.

Zarówno zaniedbanie wychowania dzieci, jak i wychowanie ich według niewłaściwej hierarchii wartości skutkuje dramatem małżeńskim i rodzinnym. Dzisiaj coraz więcej rodziców ulega błędnemu przekonaniu, że wystarczy dziecko ubrać, nakarmić, posłać do przedszkola czy szkoły, na jakieś zajęcia dodatkowe – i ono już się prawidłowo rozwinie oraz będzie szlachetnie wychowane. To niebezpieczny i złudny mit! Bez odpowiedzialnego wychowania w pewnych aspektach dziecko może się rozwinąć fizycznie i umysłowo, ale z pewnością nie osiągnie spontanicznie dojrzałości w sferze psychicznej, moralnej, duchowej czy społecznej. Bez pomocy wychowawczej i bez własnego wysiłku nikt z dzieci czy nastolatków nie stanie się kimś podobnym do Boga, czyli kimś dobrym i mądrym jednocześnie. Po grzechu pierworodnym i po kolejnych grzechach kolejnych pokoleń przejawem naiwności jest wiara w spontaniczny samorozwój, w niewymagającą wysiłku samo-realizację, w wychowanie bez stresów czy w samowychowanie bez wsparcia rodziców i innych wychowawców. Spontanicznie

można się najeść, napić, wyspać, okazać agresję, godzinami siedzieć przed komputerem, popaść w uzależnienia od określonych substancji czy zachowań. Spontanicznie nie da się natomiast stawać kimś altruistycznym, zdyscyplinowanym, dojrzałym i kochającym jak Jezus.

Kto chce rozwinąć swoje najpiękniejsze możliwości, kto chce stawać się podobnym do Boga, kto chce myśleć, kochać, pracować na podobieństwo Jezusa, ten potrzebuje pomocy wychowawczej od Boga i ludzi oraz własnej wytrwałej pracy nad własnym charakterem. Po Adamie i Ewie kształtowanie dojrzałego człowieka to naprawdę ciężka praca, wymagająca zarówno własnego wysiłku dziecka, jak też potężnego wysiłku jego rodziców. Pierwszym i poważnym błędem wychowawczych jest sytuacja, w której rodzice myślą, że ich dziecko samo się wychowa i że właściwie jakiegoś specjalnego wysiłku, trudu, walki na co dzień nie trzeba. Jest przecież szkoła, są nauczyciele i księża, to niech wychowują. Gdyby rodzice wysłali dziecko do jakiejś katolickiej grupy formacyjnej, to już byłoby jakieś konkretne wsparcie dla syna czy córki. To wszystko jednak i tak by nie wystarczyło.

Warto uświadomić sobie, że zaniedbywanie wychowania katolickiego nie dotyczy wyłącznie rodzin z tak zwanego marginesu społecznego. To zjawisko jest niestety powszechne w tak zwanych „normalnych” rodzinach, a nawet w tych, które uznawane są za dobrze funkcjonujące. Obecnie coraz więcej rodziców martwi się o to, jakie ubrania i urządzenia elektroniczne dzieciom kupić, do jakich szkół je posłać, na jaki kurs językowy czy jakie zainteresowania rozwijać. To wszystko są ważne uzupełnienia dla procesu wychowania, ale to nie jest jeszcze istota wychowania. Jakże wielu rodziców

w naszych czasach nie martwi się i nie troszczy o to, w jaki sposób ich dziecko postępuje, jak myśli, jakie ma sumienie, jakimi normami moralnymi się kieruje, jakie buduje relacje międzyludzkie, czy i z jakim rezultatem pracuje nad własnym charakterem, jaką ma więź z Bogiem. Tych podstawowych dla wychowania tematów w większości rodzin w Polsce się nie porusza. Zwykle staje się to początkiem poważnego kryzysu, a czasem początkiem wielkiej katastrofy.

Zaniedbania wychowawcze bezlitośnie wykorzystują dorośli demoralizatorzy czy niewychowani rówieśnicy. To dlatego mamy obecnie „tęczowe” spotkania miejscach publicznych. Do przedszkoli i szkół wchodzi demoralizatorzy, pod pozorem promowania edukacji seksualnej i tolerancji. W rzeczywistości promują wyuzdanie, walkę z własną płcią i promowanie wrogich małżeństwu i rodzinie ideologii. Często rodzice o tym nawet nie wiedzą, a jeśli wiedzą, to niestety bagatelizują zagrożenie, jakie niesie ze sobą sprytnie zaplanowane i zorganizowane działanie demoralizatorów. Naiwne rodzice mówią: „Nie przesadzajmy, nie demonizujmy wszystkiego, nic się synowi, córce nie stanie, jeśli na lekcjach ktoś będzie mówił do naszych dzieci o gejach i lesbijkach, o czerpaniu przyjemności z dotykania narządów seksualnych, o zmianie płci, o antykoncepcji i aborcji. Otrzeźwienie przychodzi zwykle za późno. Najczęściej wtedy, gdy kilka lat później syn zamieszka z „partnerem”, albo córka stwierdzi, że jest lesbijką czy że właśnie „zmieniła” płeć. Dopiero wtedy rodzice dzwonią do księży, wyplakują swoje rodzinne dramaty, szukają pomocy specjalistów.

To są w praktyce skutki łamania przysięgi małżeńskiej, w której narzeczeni w dniu ślubu publicznie przysięgali, że z miłością przyjmą i po katolicku wychowają potomstwo,

którym Bóg ich obdarzy. Przysięga małżeńska jest wewnętrzną konstytucją sakramentu małżeństwa. Żaden element nie jest tam zbędny, a odpowiedzialność za solidne wychowanie dzieci jest wręcz fundamentem tej przysięgi. A skoro mowa o konstytucji, to szkoda, że rodzice tak rzadko w przestrzeni publicznej odwołują się do polskiej Konstytucji, która gwarantuje im prawo do wychowania swoich dzieci zgodnie z wyznawaną przez siebie wiarą religijną oraz z normami moralnymi, które rodzice przyjmują za własne.

Drugi – obok zaniedbania wychowania – błąd w tej dziedzinie ma miejsce wtedy, gdy rodzice myślą wychowanie z jakąś jego karykaturą, czyli z wypaczonym rozumieniem wychowania. W praktyce chodzi tu o popadanie w jedną z dwóch niezwykle groźnych dla dzieci i młodzieży skrajności. Skrajność pierwsza to rozpieszczanie. Ma ono miejsce wtedy, gdy rodzice okazują wprawdzie miłość swoim dzieciom, ale nie stawiają im koniecznych wymagań. Skrajność druga to zadręczanie dzieci. Dzieje się tak wtedy, gdy rodzice stawiają dzieciom konieczne wymagania, lecz nie okazują im miłości. A dzieci, którym nie okazuje się miłości, nie mają nawet siły żyć. Tym bardziej nie mają siły korzystać ze stawianych im wymagań i osiągać sukcesy w pracy nad własnym charakterem. Popatrzmy bliżej na obydwie te skrajności.

Skrajność pierwsza to rozpieszczanie dzieci. Taka postawa wynika zwykle z naiwnego przekonania rodziców, że do wychowania dzieci wystarczy okazywanie im znaków miłości, bez konieczności stawiania jasnych i twardych wymagań. Tego typu rodzice postępują według schematu: Kocham, ale nie wymagam, bo przecież miłość jest łagodna. Niczego nie wymaga. Na wszystko pozwala. Wszystko przebacza. W rzeczywistości

to nie miłość, lecz naiwność. Uczy nas tego sam Chrystus. On kocha każdego z nas dosłownie nad życie. I właśnie dlatego stawia nam największe wymagania, jakie można sobie wyobrazić. Chce, żebyśmy się nawracali, czuwali, stawali podobnymi do Niego i żebyśmy uczyli się kochać aż tak ofiarnie i mądrze jednocześnie, jak On pierwszy nas pokochał. Im bardziej kocha swoje dziecko dany rodzic, tym więcej od tego dziecka wymaga, gdyż wie, że będzie ono szczęśliwe tylko wtedy, gdy stanie się silniejsze od swoich słabości i gdy odpowie miłością na miłość.

Wychowanie musi wiązać się ze stawianiem wymagań. Inaczej jest to jedynie rozpieszczanie. Pokusa mylenia wychowania z rozpieszczaniem jest wręcz wielka, gdyż na początku rozpieszczanie jest miłe dla obydwu stron: dla dzieci i dla ich rodziców. Z natury rzeczy dziecko lubi być rozpieszczane. Robi wręcz wszystko w swoim dziecięcym sprycie, by rodzice niczego od niego nie wymagali. Także dla rodziców rozpieszczanie na początku jest miłe, gdyż rodzice, którzy rozpieszczają, nie muszą kontrolować dziecka, nie muszą go upominać, nie muszą godzinami nieraz tłumaczyć sensu dyscypliny i zasad moralnych. Jeśli jednak poddają się takiej łatwiznie, to skutki będą bolesne zarówno dla nich, jak i dla ich dziecka. W przeciwieństwie bowiem do rodziców, rzeczywistość nie rozpieszcza. Czasem sprawia, że dziecko konfrontowane jest z bardzo twardymi wymaganiami, jakie stawia codzienne życie, szkoła, środowisko rówieśnicze, a później praca, małżeństwo i rodzina.

Dziecko rozpieszczone nie poradzi sobie z własnym ciałem, z instynktami i popędami, z bolesnymi emocjami, ze skłonnością do lenistwa, egocentryzmu i egoizmu. Będzie

ulegać swoim słabościom i negatywnemu naciskowi środowiska. Rozpieszczonemu dziecku zabraknie stanowczości, siły woli, wytrwałości, ponieważ nie zostało przyzwyczajone do dyscypliny, do wypełniania swoich obowiązków, do decydowania się na to, co dobre, chociaż trudne. Takie dziecko stanie się niewolnikiem tego, co jest w nim najsłabsze. Będzie popadać w uzależnienia, kierować chwilową przyjemnością, niezależnie od bolesnych konsekwencji. Będzie czynić to, co prowadzi do krzywd i grzechów, ale tu i teraz jest łatwe i wygodne. Nastolatek, któremu rodzice nie stawiali wymagań, nie będzie w stanie kochać. I z każdym dniem będzie stawał się coraz bardziej nieszczęśliwy. Będzie popadał w coraz większe kompleksy, gdyż – nie stawiając sobie wymagań – nie poradzi sobie w codziennym życiu. Nie wypełni najbardziej nawet elementarnych obowiązków. Jego rówieśnicy będą odnosić sukcesy, a on będzie ponosił coraz bardziej dotkliwe porażki. W konsekwencji rosnącą frustrację będzie wyładowywać poprzez okazywanie agresji innym ludziom – krzyżąc, bijąc, dręcząc i krzywdząc – albo też będzie rozładowywał nieuchronny stres poprzez odnoszenie się z agresją do samego siebie, sięgając po alkohol czy narkotyki, walcząc z własną płcią, okaleczając własne ciało, uciekając w seks, hazard, komputer, Internet. W ten sposób rozpieszczanie doprowadzi do swoich nieuchronnych, zawsze bolesnych, a często wręcz tragicznych konsekwencji.

Drugim, równie skrajnym i równie groźnym błędem w odniesieniu do wychowania, jest zdręczanie dzieci. Błąd ten popełniają ci rodzice, którzy stawiają wprawdzie dzieciom konieczne wymagania, lecz nie okazują im miłości. Wtedy dziecko nie ma ochoty żyć. Czuje się niepotrzebne, a swoje

istnienie uznaje za nieznośny i niezrozumiały ciężar. Jeśli ojciec wraca z pracy późno, albo nawet wcześniej, ale nie ma czasu dla dzieci, to one cierpią, bo nie czują się kochane. Przeciwnie, czują się niepotrzebne i zbędne na tym świecie. Wmawiają sobie, że widocznie są złe czy w jakiś sposób rozczarowują swoich rodziców, a przez to są „niegodne” ich zainteresowania, troski, czułości, obecności. Nic dobrego w aspekcie wychowawczym nie przyniesie w takiej sytuacji to, że ojciec postawi dzieci przed snem na baczność, że wypyta je o to, jakie stopnie dostały w szkole, czy pomogły mamie i były jej posłuszne, czy odrobiły lekcje, czy nie zniszczyły nowych ubrań, czy zadzwoniły do dziadków, czy odmówiły pacierz. Stawianie najmądrzejszych choćby wymagań nic nie da poza kontekstem miłości. Rodzic powinien najpierw powiedzieć dzieciom, że je kocha. Powinien okazać czytelne dla nich znaki miłości. W przeciwnym przypadku u dzieci pojawi się niewiara w siebie, albo bunt wobec rodzica, który stawia wymagania, ale nie wspiera miłością.

Gdy już wiemy, że przeciwieństwem katolickiego wychowania jest z jednej strony rozpieszczanie, a z drugiej strony zadręczanie dzieci, to wtedy stosunkowo łatwo możemy zrozumieć, na czym polega istota odpowiedzialnego wychowania. Polega ona na tym, by jednocześnie kochać i wymagać. Najważniejsze jest tutaj to „i”. Każdemu z rodziców coś z tych dwóch części składowych wychowania przychodzi łatwiej. Jednym, zwłaszcza mamusiom, łatwiej jest okazywać miłość, ale bez stawiania wymagań. Innym rodzicom, częściej tatusiom, łatwiej jest stawiać rozsądne nawet wymagania, ale bez okazywania dzieciom miłości na miarę emocjonalnych potrzeb swoich córek i synów.

Rodzic, który dojrzałe kocha dzieci, wymaga od siebie tego, by każdego dnia okazywać im jeszcze więcej miłości niż wczoraj, a jednocześnie by każdego dnia stawiać im coraz większe wymagania – na miarę ich możliwości tu i teraz, ale nie poniżej tej miary. Mądry rodzic wie, że im bardziej kocha, tym większe stawia dziecku wymagania – dla jego, a nie dla swojego dobra. Wie też, że najpierw należy okazywać miłość, a dopiero później stawiać wymagania i że im większe stawiamy dziecku wymagania, tym więcej potrzebuje ono naszej obecności, miłości, cierpliwości, wsparcia. Prawdziwość i głębię naszej miłości do dzieci poznajemy po stanowczości wymagań, jakie im stawiamy. Jeżeli ktoś z rodziców mało kocha, to stawia małe wymagania. Dla przykładu, wymaga jedynie w miarę dobrych stopni w szkole i tego, by dziecko nie łamało prawa. Jeśli ktoś z rodziców bardzo kocha, to twardo stawia wielkie, Boże wymagania. Wymaga od dziecka coraz większej mądrości, pracowitości, miłości, szlachetności, dyscypliny, prawdomówności. Jedna z kobiet wyjaśniła mi, że nie ma takiej sekundy w ciągu dnia, kiedy nie myślałaby o obecnym i przyszłym losie swoich dzieci. A ponieważ los tych dzieci szczerze leży jej na sercu, bo bardzo je kocha, to codziennie podejmuje trud stawiania im wymagań i egzekwuje ich realizację, by jej córki i synowie mieli szansę w błogosławiony sposób poradzić sobie z pracą nad własnym charakterem i z wymaganiami, jakie stawia im twarda przecież czasem rzeczywistość.

Ważne jest to, żeby rodzice nie mylili miłości do dzieci z tolerancją czy z akceptacją. Gdy rodzic toleruje błędy, jakie popełnia dziecko, to znaczy, że nie kocha, gdyż w praktyce taki rodzic jest obojętny na los dziecka. Z kolei wtedy, gdy rodzic myli miłość z akceptacją, to blokuje rozwój dziecka, zamiast

mobilizować syna czy córkę do stawania się dzisiaj kimś dojrzałszym niż wczoraj. Akceptować to mówić: „Bądź sobą, bądź taki, jakim jesteś”, a kochać to mówić: „Nie bądź takim, jakim na razie jesteś, bo nie masz granic rozwoju! Stawaj się większym od samego siebie, żeby każdego dnia być bardziej niż dotąd podobnym do samego Boga, by rosnać w mądrości i łasce u Boga i u ludzi!”. Kochać to pomagać w wychodzeniu z kryzysu, gdy ktoś z bliskich w takim kryzysie się znalazł i mobilizować do dalszego rozwoju, gdy osiąga sukcesy w pracy nad własnym charakterem. Pamiętajmy o zasadzie, że poziom rozwoju, który już osiągnęliśmy, w najlepszym przypadku wystarczy na dzisiaj, lecz nie wystarczy na jutro i na kolejne dni. W obliczu nowych wyzwań i zadań potrzebujemy wchodzenia na kolejny, wyższy poziom dojrzałości moralnej, duchowej, społecznej.

W tym miejscu chciałbym dotknąć aktualnego tematu, który ściśle wiąże się z wychowaniem i relacjami panującymi w rodzinie. Mam na myśli zjawisko homoseksualizmu. Sporo dorosłych twierdzi, że jeśli wśród bliskich ktoś zakomunikuje, że ma pociąg seksualny do osób tej samej płci, to nam zostaje już tylko zaakceptować ten fakt. Jest to obecnie modne, ale zupełnie błędne podejście. Cokolwiek nam ktoś z bliskich o sobie komunikuje, powinniśmy odnosić się do tego z mądrością i miłością. Jeśli na przykład dorastający syn zakomunikuje, że będzie wracał do domu, kiedy chce, także nad ranem, to odpowiedzialni rodzice tego nie akceptują, lecz wprowadzają swoje zasady i stawiają synowi także takie wymagania, które mu się nie podobają i w obliczu których czuje się „nieakceptowany”. Podobnie, jeśli dorastająca córka zakomunikuje, że chce, by odtąd nocował w jej pokoju chłopak, to

odpowiedzialni rodzice tego nie zaakceptują. Wyjaśnią córce, że pod ich dachem nie zgodzą się na to, by ktoś ją krzywdził. A tak właśnie by było, gdyby zgodzili się na to, żeby córka zamieszkała w ich domu razem z kimś, kto nie kocha jej jeszcze na tyle, by ślubować jej miłość na zawsze, przy świadkach i na piśmie.

Analogicznie powinni rodzice odnosić się do dorastających czy dorosłych dzieci, gdy te oznajmiają, że mają skłonności homoseksualne. W takich sytuacjach kryterium postępowania dla rodziców nie powinna być akceptacja, lecz miłość do dziecka oraz uznawanie prawdy o nim i o jego postępowaniu. Jeśli o skłonnościach homoseksualnych mówi nastoletni syn czy córka, to rodzice powinni wyjaśnić, że w tym wieku nie ma jeszcze żadnej trwałej orientacji. Co więcej, w wieku rozwojowym jest wręcz regułą, że dziewczyny łatwiej się porozumiewają i zaprzyjaźniają z dziewczynami, a chłopcy z chłopcami. Ten właśnie fakt przewrotnie wykorzystują tak zwani edukatorzy seksualni oraz aktywiści ideologii LGBT+, którzy usiłują w przedszkolach i szkołach wmawiać dzieciom skłonności homoseksualne.

Jeśli natomiast o skłonnościach homoseksualnych informuje rodziców pełnoletnie już dziecko, to trzeba sięść do poważnej rozmowy. Rodzice powinni potwierdzić, że nigdy nie przestaną swego dziecka kochać, ale też właśnie dlatego zrobią wszystko, by pomóc dziecku wrócić do normalnego sposobu na życie, czyli do dorastania do miłości małżeńskiej i rodzicielskiej. Zadaniem rodziców jest wyjaśnianie, że ten, kto ulega skłonnościom homoseksualnym, zwykle staje się erotomanem i ma dziesiątki partnerów. Trzeba też wyjaśniać, że pary homoseksualne to pary z definicji chore, gdyż nieplodne,

a niepłodność jest przecież na liście chorób Światowej Organizacji Zdrowia. Trzeba ponadto wyjaśniać, że także osoby homoseksualne są powołane do życia w czystości i tylko pod tym warunkiem mogą trwać w przyjaźni z Jezusem oraz korzystać z sakramentów. Najbardziej fachową pomoc w obliczu homoseksualnych skłonności dzieci mogą otrzymać rodzice w katolickim Ośrodku „Odwaga” w Lublinie (www.odwaga.org.pl/). Ideolodzy LGBT+ oraz aktywiści gejowscy twierdzą, że nie jest możliwa zmiana orientacji seksualnej. To twierdzenie przewrotne, bo przecież ci sami ludzie twierdzą, że można zmienić nawet płeć, która jest uwarunkowana naszym ciałem. Jeśli zatem według nich można zmienić coś więcej, to tym bardziej można zmienić coś mniej trwałego niż cechy ciała, a mianowicie psychospołeczne nastawienie do osób swojej płci czy do osób drugiej płci. W jednym z liceów po spotkaniu z młodzieżą podeszła do mnie dziewczyna krótko ostrzyżona i ubrana „na chłopaka”. W agresywny sposób zażądała, żebym mówił do niej „Kazimierz”. Odpowiedziałem, że może jeszcze krócej przystrzyc włosy, nałożyć jeszcze bardziej chłopięce ubrania i nazywać siebie męskim imieniem, ale serdecznie proszę, by nie okaleczała swojego ciała, żeby udawać inną płeć. Włosy odrosną, ubrania i imię można zmienić, ale okaleczonemu ciału nie przywróci się już zdrowia. Dziewczyna zamyśliła się i przestała odnosić się do mnie z agresją.

Warto, by rodzice wiedzieli, skąd się biorą skłonności homoseksualne. Otóż, takie skłonności – wbrew nachalnie obecnie promowanej opinii – nie są wrodzone. „Badacze”, którzy usiłowali nam to wmawiać, jak się okazało, sami mieli tego typu problemy. Dlaczego niektórzy chcą wmawiać sobie i innym, że homoseksualizm jest wrodzony? Dzieje się tak

z tego powodu, że gdy jakieś problematyczne zachowanie jest wrodzone, to łatwiej je przyjąć, bo stres jest wtedy mniejszy i nie trzeba szukać winowajcy. Nikt nie jest bowiem wtedy za takie zachowanie odpowiedzialny. Jeśli kradnę i udowodnię, że w moim przypadku jest to wrodzona skłonność, czyli że jestem kleptomaniem, że mam skłonność niezależną od mojej woli – to od razu robi się lżej na duszy. Łatwiej przyjąć taki scenariusz, w którym wyklucza się odpowiedzialność moralną. Aktywiści ideologii LGBT+ chętnie by wmówili sobie i innym, że ich skłonność jest wrodzona, także po to, żeby twierdzić, iż tego typu skłonności nie da się zmienić. Przeczą temu oczywiste fakty. W USA czy Holandii są terapeuci, którzy setkom pacjentów pomogli skutecznie uwolnić się od niechcianej orientacji seksualnej, założyć rodziny i mieć dzieci. Podobnej pomocy udziela wspomniany już wcześniej katolicki ośrodek „Odwaga” w Lublinie¹³.

Homoseksualizm – jak każda postawa czy zachowanie – nie jest czymś wrodzonym, lecz nabytym. Taka postawa pojawia się zwykle wtedy, gdy dziecko obserwuje złe relacje między swoimi rodzicami. Oczywiście, nie za każdym razem napięcia i brak miłości między rodzicami prowadzi do skłonności homoseksualnych u dziecka. Czasem prowadzi to u dziecka do depresji, nerwicy, agresji czy do popadania w uzależnienia. Bywa, że jedną z konsekwencji jest właśnie homoseksualizm. Gdy mama jest panią „Dulską”, a tata pantoflarzem, to syn boi się kobiet. Jeśli z kolei mama jest bita i poniżana przez tatę, to

¹³ Zob. www.odwaga.org.pl. W Polsce działa też uznawana przez Kościół katolicki Fundacja „Strumienie życia – Polska” (www.strumieniezycia.pl), która pomaga osobom mającym trudności w zrozumieniu i respektowaniu własnej tożsamości płciowej: <http://strumieniezycia.pl/historia-programu/dekrety/>.

syn gardzi kobietami. Analogicznie, jeżeli mama rządzi tatą, a tata nie ma w rodzinie znaczenia, to córka gardzi mężczyznami, a jeżeli tata jest agresorem wobec mamy, to córka boi się mężczyzn. Niezależnie od tego, czy nastolatek przeżywa lęk przed drugą płcią, czy też pogardę wobec drugiej płci, nie chce mieć bliższego kontaktu z osobami tej drugiej płci. Nie chce mieć kontaktu z kimś, kim gardzi albo kogo się boi. W konsekwencji pozostaje mu bliższy kontakt z osobami własnej płci. Wcześniej czy później może to prowadzić także do kontaktów seksualnych z osobami tej samej płci. Homoseksualizm to problem psychiczny i psychospołeczny, a nie seksualny. Aspekt seksualny dochodzi później i jest wtórny.

Pojawienie się skłonności homoseksualnych u któregoś z dzieci nie musi wiązać się z aż tak drastycznie złymi relacjami między rodzicami, jak te opisane powyżej. Czasem wystarczy nieobecność ojca, na przykład z powodu jego alkoholizmu, pracoholizmu czy wyjazdu zagranicę dla uzyskania większych dochodów. Już sama nieobecność ojca jest groźna, gdyż wtedy mama musi przejąć nie tylko całkowitą opiekę, lecz także całkowitą kontrolę nad synem czy córką. Syn traktuje wówczas kobiety jako te, które wszystkim rządzą i wszystko kontrolują. W konsekwencji zaczyna unikać bliższego kontaktu z kimś takim. Z kolei córka boi się mężczyzn, bo mężczyzna jest dla niej wielką niewiadomą. Ma też żal do taty, że jest nieobecny i że nie okazuje jej miłości z bliska. Większość homoseksualistów i lesbijek, którzy mi się z tego zwierzali, to osoby, które są ofiarami braku obecności ojca, który okazuje miłość i towarzyszy dziecku na co dzień.

Zdarzają się też przypadki popadania w homoseksualizm, które nie są związane bezpośrednio z sytuacją w domu

rodzinnym. Zdarza się, że w homoseksualizm wpada ktoś przez uwiedzenie. Znam i takie osoby. Miały one kochających się i szanujących rodziców. Jednak w środowisku rówieśniczym czy – już jako dorośli – w miejscu pracy zetknęli się z kimś, kto podstępem czy emocjonalnym albo finansowym szantażem doprowadził te osoby do współżycia homoseksualnego. W konsekwencji doszło później do powtarzania tych wymuszonych zachowań. Środowiska homoseksualne działają czasem jak sekta i czynią wszystko, by nie uwolnił się od nich ktoś, kto choćby raz tam wszedł. Gdy ktoś uwiedziony czy zmagający się z niechcianą orientacją seksualną szuka pomocy i terapii, to aktywiści gejowscy publicznie – także w mediach – atakują takiego człowieka z agresją, poniżają go, ubliżają mu, wyśmiewają go, terroryzują psychicznie i społecznie.

Radosne i trwałe małżeństwo wymaga nie tylko tego, by małżonkowie okazywali sobie miłość od obudzenia się do zaśnięcia. Wymaga także tego, by solidnie wychowywali swoje dzieci. A warunkiem takiego wychowania jest to, by kochali swoje dzieci i by stawiali tym dzieciom twarde wymagania. Jedynie wtedy unikną rozpieszczania swoich pociech (miłość bez wymagań) oraz zadręczania dzieci (wymagania bez miłości). Pierwszą formą okazywania miłości dzieciom jest wzajemna miłość męża do żony i żony do męża. Gdy dziecko widzi, że tata okazuje miłość mamie, a mama tacie, to czuje się ono kochane i bezpieczne. Może spokojnie pójść do przedszkola czy szkoły. Może też spokojnie usnąć. Jeśli natomiast dziecko widzi agresję między rodzicami, to żyje w ciągłym strachu i poczuciu zagrożenia. Bezpośrednie okazywanie miłości dziecku powinno dokonywać się w sposób widzialny, czyli przez obecność, ofiarność i czułość rodziców. Gdy rodzic ma

dla dziecka czas, gdy ofiarnie pomaga dziecku radzić sobie ze sobą i z zadaniami, które stoją przed dzieckiem, gdy okazuje dziecku znaki radości i wzruszenia, to czuje się ono kochane i bezpieczne.

Gdy chodzi o wymagania, które są koniecznym elementem wychowania, rodzice powinni wymagać od dzieci przede wszystkim coraz większej mądrości, pracowitości i miłości. Jeśli rodzice nie osiągną tych celów, to dziecko będzie nierozumne, leniwe i egoistyczne. Mądrości uczymy dzieci najbardziej wtedy, gdy pomagamy im odróżniać dobro od zła, czyli te zachowania i kontakty, które prowadzą do szczęścia od tych, które prowadzą do krzywd i cierpienia. Pracowitości uczymy dzieci wtedy, gdy konsekwentnie wymagamy od nich spełniania ich obowiązków w domu, w rodzinie, w szkole i gdy je chronimy przed uleganiem lenistwu i popadaniem w uzależnienia. Miłości uczymy dzieci wtedy, gdy pomagamy im przezwyciężyć egocentryzm i egoizm, gdy uczymy ich empatycznego rozumienia nas i innych ludzi, gdy mobilizujemy do wrażliwości i ofiarności w obliczu zwłaszcza osób słabszych, smutnych, osamotnionych.

2.3. ZANIEDBANIE WIĘZI Z BOGIEM

Trzecim – obok zaniechań w okazywaniu sobie nawzajem miłości czy w katolickim wychowaniu dzieci – źródłem kryzysu małżeńskiego jest oddalanie się od Boga przez męża czy żonę, a tym bardziej utrata przyjaźni z Bogiem przez obydwójce małżonków. W naszych czasach ten przejaw kryzysu małżonków jest chyba najbardziej lekceważony i najpóźniej dostrzegany.

Znaczna część małżonków nie widzi wręcz bezpośredniego związku między tym, że oddają się od siebie nawzajem, a tym, że jedno z nich czy że obydwójce oddalają się od Boga. Jedna ze znajomych kobiet, która jest żoną i mamą, opowiadała mi o swojej rozmowie z grupą koleżanek. Ona chwaliła swego męża za to, że czule i ofiarnie okazuje jej miłość. Wszystkie koleżanki stwierdziły, że jej nie wierzą, bo ich mężowie raczej je ranią niż wspierają. Wtedy pani Barbara spytała, czy one modlą się ze swoimi mężami. Okazało się, że nie. Ich mężowie nie chodzą już też na niedzielną Eucharystię. Wtedy moja znajoma wyjaśniła koleżankom, że ona codziennie modli się ze swoim mężem – Januszem i że małżonkowie, którzy razem się modlą, nie będą siebie ranić, lecz będą coraz bardziej siebie nawzajem rozumieć i wspierać. To właśnie dlatego Bóg pragnie, byśmy kochali Go bardziej niż żonę czy męża, syna czy córkę, matkę lub ojca, bo to Stwórca jest źródłem miłości. To On daje nam mądrość, siłę, entuzjazm i wytrwałość, by przez dziesiątki lat, w dobrej i złej doli, od świtu do nocy, kochać bliskich ofiarnie, serdecznie, czule, cierpliwie, a jednocześnie mądrze i gdy trzeba, to wręcz twardą miłością.

Jeśli nawet któreś ze współmałżonków już widzi, że mąż (co częściej się zdarza) czy żona oddala się od Boga, to i tak nie reaguje zwykle odpowiednio wcześniej i odpowiednio stanowczo. Wiele kobiet z niepokojem mówi mi o tym, że martwią się, bo mąż odsunął się od Boga, przestał się modlić sam i z rodziną, przestał uczęszczać na niedzielną i świąteczną Eucharystię, przestał korzystać z rekolekcji i sakramentów. Jednak także i te kobiety zwykle nie zdają sobie nadal sprawy z powagi sytuacji, w jakiej się znalazły. Większość z nich jest niemal w szoku, gdy wyjaśniam, że w tej sytuacji ich

małżeństwo znajduje się w potężnym kryzysie. Ciągłe jeszcze wiele osób nie widzi związku między oddalaniem się od Boga, a oddalaniem się od siebie nawzajem i od miłości małżeńskiej. Współmałżonek, który pozostaje w bliższej relacji z Bogiem, boi się raczej jedynie o los współmałżonka, a nie dostrzega, że to cała rodzina jest teraz dramatycznie zagrożona.

Statystycznie rzecz biorąc częściej mężowie niż żony wchodzą w kryzys religijny. W ostatnich latach rośnie jednak liczba kobiet, które oddalają się od Boga. Coraz częściej panowie mówią mi: „Proszę księdza, moja żona chowa się przed Bogiem. Teraz już tylko ja sam modłę się z dziećmi, chodzę do kościoła, korzystam z sakramentów, staram się po katolicku wychowywać nasze dzieci”. Niezależnie od tego, która strona traci żywą więź z Bogiem, jeśli coś takiego ma miejsce, to wtedy współmałżonek powinien natychmiast interweniować – konkretnie i stanowczo. Powinien stwierdzić: „Mężu/żono, zaczynasz niszczyć nasze małżeństwo i rodzinę!”. Zwykle druga strona zareaguje zdziwieniem i niezrozumieniem. Często odpowie: „Ale o co ci chodzi? Czy biję ciebie lub oszukuję? Czy upijam się? A może podejrzewasz mnie, że zacząłem prowadzić podwójne życie?”. Na takie słowa należy odpowiedzieć twardo i precyzyjnie: „Być może na razie mnie nie okłamujesz ani nie zdradzasz, ale kryzys naszego małżeństwa już się zaczął. Wszedłeś na drogę, która prowadzi do nieszczęścia. Przestałeś chodzić na niedzielną Mszę świętą. Nie modlisz się ze mną, nie chodzisz do spowiedzi i Komunii, przestałeś korzystać z rekolekcji i wsparcia grup formacyjnych. To początek drogi do wielkiego kryzysu i do cierpienia wszystkich w naszej rodzinie”.

Trzeba wyjaśniać małżonkowi, dlaczego oddalanie się od Boga to sprowadzanie nieszczęścia na małżeństwo i rodzinę.

Otóż, dzieje się tak z tego oczywistego powodu, że nikt z małżonków nie jest Bogiem. Nikt z małżonków nie jest samą miłością i mądrością. Nikt z małżonków bez pomocy Boga nie będzie aż do śmierci, w dzień i w nocy, w dobrej i złej doli kochać ofiarnie, serdecznie i czule, dochowując wierności aż po grób. Nikt z nas, ludzi, nie ma w sobie aż takiej mocy. Gdy oddaliśmy się od Boga, to oddaliśmy się od źródła miłości, mądrości i siły. Gdy oddaliśmy się od Boga, to wcześniej czy później przyjdzie nie tyle wypalenie zawodowe, co jeszcze bardziej groźne w skutkach wypalenie życiowe. Bóg będzie nas kochał na zawsze także bez naszej miłości. My, ludzie, aż tak niezwykli nie jesteśmy.

Gdy mąż czy żona oddała się od Boga, to trwający w przyjaźni z Bogiem współmałżonek ma obowiązek powiedzieć jasno: „Już przed ślubem, w narzeczeństwie, było dla mnie jasne, że godzę się wejść w związek małżeński z tobą dlatego, że jest to sakrament święty; że ty składasz mi ślubowanie w obliczu Boga, że ślubujesz mi miłość, wierność, uczciwość małżeńską oraz że mnie nie opuścisz, bo będziesz korzystał z pomocy Boga. Nie związałbym się z Tobą w innej wersji. Sam nie miałbym odwagi zapewnić ci wiernej i nieodwołalnej miłości małżeńskiej, gdybym miał to czynić wyłącznie w oparciu o własną moc i własną mądrość. Wracaj więc mężu/żono do Boga, bo inaczej nasz los i los naszych dzieci zacznie się stawać coraz bardziej bolesny”.

Nie jest możliwe trwałe i szczęśliwe małżeństwo bez korzystania na co dzień z obecności i pomocy Bogiem. Nie da się kochać Bożą miłością, czyli wierną, czystą, ofiarną i wytrwałą, bez pomocy Tego, który nas taką miłością kocha i który nas takiej miłości uczy. Bez pomocy Boga możemy realizować

jedynie tragiczne podróbki małżeństwa i rodziny, jakie są wymysłem człowieka. Ludzie zdemoralizowani proponują, by mężczyźni i kobiety bawili się sobą i żeby byli nieplodni. Feministki proponują, by kobiety walczyły z mężczyznami, gdyż zakładają, że obie płci nie mogą być szczęśliwe razem. Z kolei aktywiści gejowscy nawołują do tego, by kobiety i mężczyźni separowali się od siebie, czyli by kobiety wiązały się z kobietami, a mężczyźni z mężczyznami. Te ludzkie pomysły na relację mężczyzna-kobieta możemy realizować bez pomocy Boga. Bez Jego pomocy potrafimy bawić się kosztem osób drugiej płci, potrafimy pozbawiać siebie płodności, potrafimy walczyć z drugą płcią czy się izolować. Natomiast bez pomocy Boga nie jesteśmy w stanie wypełnić przysięgi małżeńskiej, czyli kochać wiernie i wytrwale aż do śmierci.

Kilka lat temu poprosiła mnie o rozmowę pewna kobieta. Przyszła mocno podenerwowana. Widać było na jej twarzy wielkie cierpienie. Na początku rozmowy zaczęła niemal z krzykiem mówić do mnie: „Proszę Księdza, proszę mnie wysłuchać! Niech mi Ksiądz nie przerywa! Ktoś wreszcie musi mnie wysłuchać!!!”. Gdy zobaczyła, że wsłuchuję się milczeniu i skupieniu w to, co mówi, wtedy nieco się uspokoiła i zaczęła z bólem opowiadać o swojej trudnej sytuacji w małżeństwie. Wyjaśniła, że jej mąż dla niej wręcz okrutny. Na różne sposoby dokucza jej, poniża ją, znęca się nad nią psychicznie. Dla przykładu, gdy wraca z pracy, a ona podaje mu obiad i sama zaczyna jeść, to on brutalnie jej wypomina, że tylko on zarabia na utrzymanie domu. Nieraz dopowiada, żeby żona zarobiła sobie na własne utrzymanie, a dopiero coś jadła. Gdy ich piętnastoletni syn dostanie w szkole złe stopnie, to mąż mojej rozmówczyni odnosi się do niego łagodnie i ostantacyjnie

zrzuca winę na żonę. Mówi synowi, że jego złe stopnie to wina matki, która po to jest w domu, żeby wszystkiego dopilnowała. Także lekcji syna. Gdy z kolei mąż siedzi na fotelu i ogląda program w telewizji, a żona sprząta pokój, to on ostentacyjnie obraca fotelem w taki sposób, żeby cały czas pozostawać tyłem do żony.

Moja rozmówczyni z emocjonalnym wzburzeniem przez kilkanaście minut wyliczała mi kolejne psychiczne ciosy, jakie zadaje jej mąż. Cały czas miała łzy w oczach. Sprawiała wrażenie osoby całkowicie bezradnej w tej sytuacji i zupełnie zależnej od zachowania jej męża. W pewnym momencie zrobiła chwilę przerwy w opowiadaniu o kolejnych krzywdach, jakie wyrządza jej mąż. W ciszy, która wtedy zapanowała, powiedziałem coś, co mnie samego zaskoczyło: „Pani uczyniła ze swojego męża bożka i postawiła go w miejsce Boga. On stał się dla Pani całym światem”. Byłem zaskoczony moimi własnymi słowami. Moja rozmówczyni była zaskoczona jeszcze bardziej. Przez dłuższą chwilę milczała. W ciszy analizowała to, co usłyszała. Bałem się, że mnie zaatakuje, że powie, iż jej nie rozumiem, albo że ja też – podobnie jak jej mąż – ranię ją tymi słowami zamiast wspierać. Ona jednak wyciszyła się. Poczula chyba nawet ulgę, bo dużo spokojniejszym głosem powiedziała: „Zaskoczył mnie Ksiądz, ale ma Ksiądz rację. Rzeczywiście, oddaliłam się od Boga i w Jego miejsce postawiłam mojego męża. On chętnie z tego skorzystał i stał się dla mnie całym światem”.

Teraz zaczęliśmy spokojną, merytoryczną analizę zaistniałej sytuacji. Wyjaśniłem mojej rozmówczyni, że gdy oddaliśmy się od Boga, to albo sami stawiamy się w centrum świata i chcemy, by bliscy traktowali nas jak bożka, albo też szybko

znajduje się w naszym otoczeniu ktoś, kto chętnie stanie się panem i władcą dla nas. W tej sytuacji zawsze cierpią obydwie osoby, chociaż początkowo zwykle tylko jedna z nich zaczyna być tego świadoma. Gdy sami siebie postawimy w miejsce Boga, to będziemy coraz bardziej egoistyczni i aroganccy, a to nie jest droga do szczęścia. Gdy z kolei kogoś z ludzi „ubóstwimy”, to w najlepszej sytuacji ten ktoś nas rozczaruje, a w najgorszej sytuacji nas zdręczy. Nikt nie zastąpi nam Boga, ani my nikomu Boga nie zastąpimy.

Doradziłem mojej rozmówczyni, żeby najpierw zadbała o odnowienie więzi z Bogiem. Zachęciłem ją również do tego, żeby odnowiła zaniedbane kontakty z rodzicami, rodzeństwem, teściami, przyjaciółmi i znajomymi. Pomocne będzie też wstąpienie do jakiejś katolickiej grupy formacyjnej. Kobieta posłuchała tych sugestii. Zaczęła częściej wychodzić z domu. Przyjmowała zaproszenia od krewnych i znajomych. Zaczęła też ich zapraszać do siebie. Mąż szybko zorientował się, że przestał być całym światem dla swojej żony i niemal jedynym punktem odniesienia. Po kilku miesiącach moja rozmówczyni zadzwoniła do mnie i powiedziała, że jej sytuacja w małżeństwie zdecydowanie się poprawiła. Mąż przestał ją dręczyć i poniżać. Przeciwnie, zaczął się do niej uśmiechać i odnosić do niej z rosnącym szacunkiem. Zaczął starać się zyskać jej uwagę i okazywać swoją miłość do niej. Zaczął razem z nią chodzić do kościoła na niedzielną Eucharystię. Ta kobieta sama się przekonała, że stała się dla niego atrakcyjna właśnie dlatego, że przestała traktować go jak bożka, od którego we wszystkim zależy jej los. Jeśli nasza więź z Bogiem jest silniejsza niż nasza więź z mężem czy żoną, to wszystko wraca na swoje miejsce.

Bóg chce, żebyśmy kochali Go bardziej niż małżonka i niż dzieci nie dlatego, że Stwórca jest o naszą ludzką miłość zazdrosny. Przeciwnie, pragnie, żebyśmy Go najbardziej kochali i słuchali bardziej niż nawet samych siebie tylko po to, by nie wchodzić w toksyczne więzi, w których ktoś z ludzi stanie się dla nas bożkiem lub ktoś z ludzi nas samych postawi w swoim życiu na miejscu Boga. Każda z tych wersji prowadzi do rozczarowania, krzywd i cierpienia. Jezus wyjaśnia, że to dla naszego dobra On ma mieć pierwszeństwo w naszym życiu (por. Łk 14,26). Człowiek dojrzały najbardziej kocha i słucha tego, przez kogo jest najbardziej kochany. A Jezus kocha nas dosłownie nad życie. Jeśli to nie On jest jedynym Panem naszego życia, to w naszym życiu pojawi się bolesna pustka, której nikt z ludzi nie da rady wypełnić, ponieważ nikt z nas nie jest Bogiem. Zawsze będziemy mieli niedosyt znaków miłości i wsparcia, jeśli to nie Bóg będzie naszym największym przyjacielem i wsparciem. Co gorsza, opuszczając Boga, zwykle zaczniemy Jego oskarżać o to, że nas opuścił, że za mało nas kocha czy że doprowadził do upadku naszego małżeństwa.

Troszcząc się o to, żeby samemu trwać przy Bogu i żeby naszych bliskich – począwszy od współmałżonka – do Boga prowadzić, trzeba pilnować, żeby nasi bliscy nie pomylili więzi z Bogiem z jakimiś ich naturalistycznymi podróbkami. Jeśli na przykład mąż powie żonie, że wprawdzie nie chodzi do kościoła i nie modli się z bliskimi, ale i tak ma więź z Bogiem, bo spotyka się z Nim w plenerze, w pięknie przyrody, na rybach czy na grzybach. Małżonkowi, który w ten sposób zaczyna usprawiedliwiać swoje zaniedbania religijne, trzeba przypominać, co ślubował. Otóż, narzeczeni ślubują, że będą korzystali

z pomocy Boga w Trójcy Jedynejo, czyli z pomocy Boga, który w pełni objawił się w Chrystusie. Ślubowali też, że będą korzystać z pośrednictwa wszystkich świętych, czyli że będą szukać więzi z Bogiem obecnym w Kościele i we wspólnocie świętych, a nie na rybach, grzybach czy w gwiazdzistym niebie.

Rozdział 3

SKRAJNE FORMY KRYZYSU W MAŁŻEŃSTWIE I RODZINIE

Jeśli trzech pierwszych form kryzysu, o których była mowa w poprzednim rozdziale, nie zauważymy w porę, albo też, zauważywszy je, nie zareagujemy odpowiednio stanowczo, to kryzys danego małżeństwa czy danej rodziny będzie się powiększał, aż nabierze skrajnie dramatycznych form. Jeden z takich skrajnie już dramatycznych przejawów kryzysu małżeństwa i rodziny pojawia się wówczas, gdy ktoś z naszych bliskich popada w uzależnienie: mąż, żona, syn, córka, rodzic. Czasem w uzależnienia popada kilka osób w danej rodzinie. Wtedy sytuacja staje się po ludzku niemal beznadziejna. Jednakże najstraszniejszy kryzys jest wówczas, gdy jedno z małżonków – lub oboje – podejmują decyzję o definitywnym złamaniu przysięgi małżeńskiej i porzuceniu swego sakramentalnego współmałżonka.

3.1. UZALEŻNIENIA W MAŁŻEŃSTWIE I RODZINIE

Uzależnienia dzielimy na uzależnienia od substancji oraz uzależnienia od zachowań. Te pierwsze to uzależnienia od substancji psychotropowych, czyli takich, które zniekształcają naszą świadomość i nasze przeżycia, w konsekwencji zmieniają nasze zachowania i nasze sposoby odnoszenia się do innych ludzi. Przykładem są tu uzależnienia od alkoholu, narkotyku, nikotyny, dopalaczy czy leków. Druga grupa uzależnień to uzależnienia od zachowań, na przykład od hazardu, pornografii, współżycia seksualnego (erotomania), od komputera czy smartfona, od Internetu, gier komputerowych, stron społecznościowych, od pracy (pracoholizm), od zakupów, od agresji, lenistwa czy od zaburzeń żywieniowych (anoreksja, bulimia). Wchodzenie w uzależnienia jest zwykle spowodowane próbą ucieczki danego człowieka od życia, od codziennych obowiązków, od bolesnych nastrojów, od poczucia winy, od sumienia, od samego siebie. Wymienione powyżej substancje czy zachowania dają zwykle chwilę ulgi, a czasem nawet zapomnienie o bólu i chwili przyjemności, ale za to uzależniają, wypaczają osobowość, niszczą zdolność do miłości i odpowiedzialności, prowadzą do fizycznej, psychicznej, społecznej, moralnej i duchowej degradacji danej osoby. Tragicznie wypaczają relacje międzyludzkie. Często kończą się śmiercią osoby uzależnionej, a nie tylko straszliwym cierpieniem małżonka, rodziców czy dzieci.

Każde uzależnienie – od substancji czy od zachowań – prowadzi do wielkich krzywd i cierpień wśród bliskich. Dramat w rodzinie jest zwykle największy wtedy, gdy w nałóg wpada ktoś z małżonków, kto jednocześnie jest rodzicem.

Jeżeli natomiast w uzależnienie wpada dorastające czy dorosłe dziecko, to rodzicom jest łatwiej sobie z tym poradzić, gdyż łatwiej jest im szukać rozwiązań trudnych, ale prawdziwych, a nie łatwiejszych, ale pozornych. Warunkiem udzielanie mądrej pomocy osobie uzależnionej, a także warunkiem obrony rodziny przed uzależnionym, który z definicji staje się krzywdzicielem, jest znajomość mechanizmów uzależnień. Mądrze kochać jesteśmy w stanie tylko tych ludzi, których rozumiemy. I to także wtedy, gdy oni nie rozumieją samych siebie. Nie można kochać po omacku. Nie da się kochać metodą prób i błędów. Bardziej bowiem zaszkodzimy wtedy naszym bliskim i samemu sobie niż pomożemy.

Popatrzmy zatem na to, co dzieje się w człowieku, który popadł w uzależnienie. Najpierw warto stwierdzić fakt, że zaskakuje nas to, iż kolejni ludzie wpadają w uzależnienia, w które wpadli już inni ludzie. Jak to jest, że w tej sferze nie wyciągamy wniosków z tragedii – czasem śmiertelnych – innych ludzi? Gdy ktoś tysiące lat temu zjadł muchomorą, zatrzał się i umarł, to odtąd ludzie w kolejnych pokoleniach nie jedzą już muchomorów. Nie powtarzają śmiertelnych błędów swoich poprzedników. Dlaczego podobnie rozsądni nie jesteśmy w odniesieniu do substancji czy zachowań, które nas uzależniają, dręczą i zabijają na raty?

Dzieje się tak dlatego, że wchodzenie w uzależnienia na początku jest miłe. Człowiek uzależniony to ktoś, kto tu i teraz czyni to, co mu skrajnie niemiłe, gdyż wcześniej robił to, co przez chwilę było przyjemne czy przynosiło ulgę, ale nie było mądre. Wpadanie w uzależnienia to klasyczny przykład szukania fałszywych rozwiązań rzeczywistych problemów. Z tego opisu wynika, że żeby pojawiło się jakieś uzależnienia, muszą

być najpierw jakieś poważne problemy, od których dana osoba chce uciec czy o których chce zapomnieć. Wtedy pojawia się pokusa szukania rozwiązań łatwych zamiast rozwiązań prawdziwych, które zwykle są trudne. Tymczasem „rozwiązania” łatwe są jedynie pozorne. Nie pomagają przezwyciężyć danego problemu, a dodatkowo prowadzą do pojawienia się nowego problemu, jakim są uzależnienia. W konsekwencji drastycznie i jeszcze bardziej rozpaczliwie pogarszają sytuację danego człowieka.

Gdy ktoś usiłuje w łatwy sposób pokonać poważne problemy, to wpada w jeszcze większe życiowe tarapaty. Nie będzie się upijał ten, kto cieszy się życiem i radzi sobie z nieuniknionymi przecież na tej ziemi trudnościami. Alkohol, narkotyki, niktotylna, hazard, seks, ucieczka w pracę, ucieczka w Internet, w komputer, w smartfon, w strony internetowe – to zawsze próba łatwego „uwolnienia się”, gdy mamy problemy, gdy sobie z czymś nie radzimy, gdy pobłądziliśmy, skłamailiśmy, gdy nie dopełniliśmy naszych obowiązków w małżeństwie, w rodzinie, w szkole, w pracy. W takiej sytuacji możemy zmierzyć się z naszymi problemami, przeprosić skrzywdzonych, wyciągnąć wnioski z popełnianych błędów, czyli podjąć potężny wysiłek przemiany siebie. Kusi jednak droga na skróty, czyli próba ucieczki od tego, co bardzo nas niepokoi. Droga na skróty daje może chwilę ulgi, ale prowadzi do uzależnień i do powiększenia się skali cierpień, od których uciekamy w uzależnienia.

Co się dzieje z osobami, które ulegają pokusie szukania „rozwiązań” łatwych, zamiast szukać rozwiązań prawdziwych? Otóż, takie osoby zaczynają wchodzić na drogę uzależnień. Wpadają wtedy w chroniczną i śmiertelną chorobę. Stopniowo pojawiają się w takich osobach dobrze już znane fachowcom

mechanizmy, które blokują nie tylko wyjście z choroby, ale także sam fakt, że ona się w naszym życiu pojawiła. Pierwszy z tych mechanizmów to zniewolenie emocjonalne. Człowiek uzależniony to ktoś śmiertelnie zakochany w swoim śmiertelnym wrogu. Alkoholik odda życie za alkohol, narkoman za narkotyki, a hazardzista czy erotoman będzie powtarzał swoje zniewolone zachowania nawet wtedy, gdy już śmierć zagląda mu w oczy. Terapeuci uzależnień określają ten fakt technicznym wyrażeniem i mówią, że uzależniony ma „kompulsywny system regulowania uczuć”. Człowiekowi, który nie jest specjalistą od uzależnień, to naukowe wyrażenie niewiele mówi. Każdy z bliskich, nawet dzieci, rozumieją, co dzieje się z osobą uzależnioną, gdy wyjaśnimy im, że ktoś taki jest skrajnie i naiwnie zakochany w jakiejś szkodzącej mu substancji czy w jakimś wyniszczającym jego życie zachowaniu. W obliczu każdego gorszego nastroju, niepokojącej sytuacji czy wspomnienia czegoś bolesnego z przeszłości, człowiek uzależniony odruchowo sięga po alkohol czy narkotyki, włącza komputer albo idzie grać na pieniądze.

Powtórzmy: człowiek uzależniony jest ślepo zakochany w czymś, od czego się uzależnił, chociaż to coś go zabija. Alkoholik jest zakochany w alkoholu, narkoman w narkotykach, hazardzista w hazardzie, erotoman w seksie. Ktoś inny zakochany jest w komputerze, pracy, agresji, władzy czy pieniądzu. Wyobraźmy sobie jakąś osiemnastoletnią dziewczynę, która jest ślepo zakochana w prymitywnym mężczyźnie. On ją wykorzystuje seksualnie, emocjonalnie i finansowo. Poniżej ją każdego dnia coraz bardziej bezlitośnie, a ona mimo to wraca do niego niemal tak bezkrytycznie, jak pies do właściciela. Coraz częściej płacze na samą siebie, chce już zbuntować się

na swoją naiwność, a mimo to nie ma na to siły tak długo, jak długo będzie trwało jej zakochanie w tym mężczyźnie. Uzależnienie to zakochanie, które często trwa do śmierci i które samo z siebie nie przemija. Uzależniony człowiek poświęci wszystko: życie, sumienie, zdrowie, małżeństwo, rodzinę, rozwój, Boga też, los doczesny i wieczny, wszystko, bo jest aż tak ślepo zakochany.

Drugi – obok bezkrytycznego, ślepego zakochania – mechanizm uzależnień to nałogowe oszukiwanie samego siebie. Uzależniony od świtu do nocy wmawia sobie, że nie jest uzależniony i sam w to naprawdę wierzy. Ten, kto popada w uzależnienie, nie przestaje myśleć. Czyni coś gorszego: używa swojego myślenia po to, żeby za wszelką cenę nie odkryć, że się uzależnił i że popełnia samobójstwo na raty. Naiwnie zakochana dziewczyna wmawia sobie, że jej chłopak nie jest taki zły, jak wszyscy wokół niej to mówią. Podobnie naiwnie wykorzystuje swoją zdolność myślenia każdy uzależniony. W tej fazie życia posługuje się rozumem w nierozumny sposób. Alkoholik wmawia sobie, że nie jest uzależniony. Podobnie czyni narkoman, hazardzista, erotoman. Człowiek uzależniony może już stracić rodzinę, pracę, zdrowie, dom, prawo jazdy, może już być bezdomnym czy uwięzionym i nadal wmawia sobie, że nie ma problemu z żadnym uzależnieniem. Wszystko, co dzieje się złego w jego życiu, będzie tłumaczył winą wszystkich wokół: współmałżonka, matki, ojca, brata, siostry, syna, córki, Boga, polityków, pracodawców. Winny w oczach uzależnionego może być cały świat. W swoim chorym myśleniu ktoś taki uważa, że jedynie on sam jest w porządku.

W związku z tym, że uzależniony nałogowo oszukuje samego siebie i w pijany sposób używa zdolności myślenia, to

trzeba wiedzieć, że jakakolwiek dyskusja logiczna z takim człowiekiem nie ma sensu. Uzależniony z uporem maniaka będzie negował najbardziej nawet oczywiste fakty i będzie wyniszczał psychicznie swoich rozmówców. Trzeba się strzec typowych błędów, jakie w tej dziedzinie możemy popełnić. Dla przykładu, poważnym błędem jest pytanie alkoholika o to, dlaczego się upija. Takie pytanie jest wyjątkowo naiwne, gdyż alkoholik tylko czeka na to, żeby ktoś zadał mu takie właśnie pytanie. Natychmiast znajdzie wiele przekonujących „argumentów” za piciem alkoholu, na przykład, że żona go nie kocha, że dzieci mają złe stopnie w szkole, że sąsiad jest niezyczliwy czy że Bóg o nim zapomniał. Pytanie: „Dlaczego się upijasz?”, zakłada, że są takie powody, dla których można się upić. Tymczasem takich powodów nie ma. Można zapytać dziecko: „Dlaczego nie odrobiłeś lekcji?”, gdyż mogą zdarzyć się takie okoliczności, które usprawiedliwiają brak odrobionych prac domowych, na przykład z powodu tego, że tata znalazł się w szpitalu i synek był tam cały dzień, albo to ów chłopiec był przez kilka dni chory. Natomiast nie ma takich sytuacji, które byłyby usprawiedliwieniem dla faktu, że ktoś z nieletnich sięgnął po alkohol, albo ktoś z dorosłych się upił. Im bardziej logicznie będziemy usiłowali dyskutować z uzależnionym, tym bardziej przegramy każdą dyskusję i wymianę zdań, gdyż niechcący będziemy go jedynie utwierdzać w jego chorym przekonaniu, że to on ma rację, a nie my. Pamiętajmy o tym, że im gorsza jest nasza sytuacja życiowa, im bardziej jesteśmy podenerwowani, skrzywdzeni, rozwścieczeni czy głęboko smutni, to tym bardziej alkohol czy inne substancje albo zachowania uzależniające nie są dla nas, gdyż w tej sytuacji stają się one dla nas wręcz chorobliwie atrakcyjne i mogą nas błyskawicznie zniewolić.

Trzeci mechanizm, obecny we wszystkich osobach uzależnionych, to ich genialna zdolność, wręcz spontaniczna łatwość manipulowania osobami bliskimi. Człowiek uzależniony nie tylko jest ślepo zakochany w swoim śmiertelnym wrogu, nie tylko nałogowo oszukuje samego siebie, wmawiając sobie, że nie ma problemu, ale też genialnie manipuluje innymi ludźmi, poczynając od swoich bliskich. Uzależniony staje się prawdziwym geniuszem w manipulacji. W jakim celu to czyni? Otóż, po to, żeby mu nie przeszkadzać tak dalej żyć, czyli żeby mu nie przeszkadzać w umieraniu na raty. Ideałem jest doprowadzenie bliskich do takiej naiwności czy bezsilności, że niechcący tworzą uzależnionemu wręcz komfort trwania w nałogu.

Uzależniony dąży do tego, żebyśmy w ogóle nie dostrzegli jego problemu, żebyśmy nie widzieli powagi sytuacji, żebyśmy się łudzili, że on sam sobie poradzi czy żebyśmy wierzyli w jego kolejne przyrzeczenia poprawy, mimo że złamał setki poprzednich przyrzeczeń. Jakimi metodami posługuje się uzależniony, żeby nami manipulować? Wszystkimi możliwymi. Pierwszą jego metodą jest kłamstwo. Uzależniony jest geniuszem kłamstwa. Potrafi wymyślać tak genialne kłamstwa, że oszuka nawet tych, którzy już dobrze wiedzą, że mają przed sobą kogoś uzależnionego. Nawet sześciolatnie dziecko, jeżeli się już uzależniło od gier komputerowych, będzie świetnie manipulowało rodzicami, choćby obydwoje byli profesorami. Osobiście znam taki właśnie przypadek.

Początkiem manipulacji są zatem kłamstwa: „nie piłem, nie hazardowałem, nie włączyłem komputera”. Gdy kłamstwa już nie działają, wtedy uzależniony zaczyna posługiwać się przemocą. Najpierw jest to przemoc słowna. Uzależniony

krzyczy, otwiera okna, żeby sąsiedzi słyszeli nasze kłótnie, przeklina, wyzywa, żeby nas zastraszyć i zniechęcić do mówienia mu prawdy czy do stanowczej interwencji. Jeżeli krzyki i przekleństwa nie działają, wtedy pojawia się przemoc fizyczna. Uzależniony zaczyna popychać, grozić nożem, uderzać, ranić. Jeśli to także już nie pomaga, wtedy pojawia się przemoc psychiczna. To jest najgorszy rodzaj przemocy ze wszystkich. Przemoc moralna i przemoc psychiczna to stosowanie szantażu typu: „Jeśli będziecie mi wmawiać, że jestem uzależniony, to was zabiję, a potem sobie odbiorę życie!”. Tego typu przemoc psychiczna jest tak silna, że niemal nikt się przed takim szantażem nie obroni.

Jeśli na tyle poznaliśmy już strategię manipulacji osoby uzależnionej, że nie ulegamy już wyżej wymienionym metodom szantażu, to osoba ta potrafi nagle zupełnie zmienić strategię i pozorować chęć poprawy. Na przykład, żona, już całkowicie zdeterminowana i zrozpaczona, bo mąż zaczął znęcać się już nie tylko nad nią, ale nad dziećmi, dzwoni na policję. Mąż-alkoholik widzi, że tym razem jego żona już się nie wycofa. Wtedy on potrafi radykalnie zmienić strategię manipulacji i udawać pokornego. Potrafi paść na kolana i modlić się na głos: „Panie Boże, wreszcie do mnie doszło, że jestem alkohikiem i że okrutnie dręcę moich bliskich. Boże, wreszcie mnie oświeciłeś i pokazałeś mi moją podłość. Dobrze, że żona wezwała policję. Dobrze, że mnie zaraz aresztują i że na kilka lat pójdę do więzienia. Zasłużyłem sobie na to! Ale jak tylko wyjdę z więzienia, to pójdę prosto pieszo na Jasną Górę, żeby podziękować Matce Bożej za ocalenie i za to, że wreszcie zmądrzałem!”. W obliczu tego typu pokornego „przyznania się” do winy, wiele żon daje się po raz kolejny nabrać na

manipulacje ze strony mężów. Wzruszone i pewne, że tym razem jest to już punkt zwrotny, dzwonią na policję, odwołują przyjazd policjantów i jeszcze dają pieniądze mężom, żeby nie szli pieszo, lecz pojechali na Jasną Górę i żeby zamówili tam dziękczynną Mszę świętą. W ten sposób uzależniony osiągnął na raz dwa cele: ma kilka dni „spokoju” i łatwo zdobyte pieniądze na alkohol. Wystarczyło, że zmienił strategię oszukiwania!

Jest jeszcze czwarty, najbardziej bolesny mechanizm uzależnienia, z którego ogromna większość ludzi nie zdaje sobie sprawy. Otóż, ludzie uzależnieni – podobnie jak ludzie, którzy popadli w inne formy głębokiego kryzysu – nie reagują na naszą miłość i na nasze cierpienie. W czynnej fazie uzależnienia nasi bliscy, którzy popadli w uzależnienie i na razie z niego nie wychodzą, nie reagują na naszą miłość i nie reagują na nasze cierpienie. Mogą mieć jeszcze wrażliwość na naszą miłość i na cierpienie, które nam zadają, ale mechanizmy uzależnienia są silniejsze od tej wrażliwości. Jeśli na przykład mąż-alkoholik znowu wróci pijany i zacznie się awanturować, ale tym razem serce żony już nie wytrzyma i upadnie ona na podłogę w stanach przedzawałowych, to mąż może wezwać pogotowie. Może się szczerze przejąć stanem zdrowia żony. Może mu nawet łezka w oku się zakręcić. Gdy jednak pogotowie żonę zabierze do szpitala, on pójdzie dalej pić alkohol.

Uzależnienie jest chorobą, która zamienia ludzi nią dotkniętych w bezlitosne bestie, które nie mają zmiłowania ani dla samych siebie, ani dla bliskich. Gdy nam ktoś okazuje miłość, nawet w drobiazgu, to jesteśmy wdzięczni. W naszych oczach pojawiają się łzy wzruszenia. A jeśli ktoś przez nas cierpi nawet w jakiejś drobnej sprawie i bez naszej złej

woli, to jest nam ogromnie przykro, szczerze przepraszamy, w czwórnasób wynagradzamy i czynimy wszystko, by nic podobnego już nigdy się nie powtórzyło. Człowiek uzależniony reaguje dokładnie odwrotnie. Nasza heroiczna nawet miłość i nasze najbardziej nawet bolesne cierpienia nie przebiją się poprzez jego chorobliwe mechanizmy, związane z uzależnieniami, w jakie popadł. Uzależniony nie tylko nie reaguje na naszą miłość i na nasze cierpienie, które sam przecież nam zadaje. Nie reaguje nawet na miłość i cierpienie Boga. Jeśli go zapewniamy, że nadal kochany jest przez Boga i że Jezus za niego i z nim cierpi, to i tym się człowiek uzależniony nie przejmie ani nie wzruszy.

3.2. SYN MARNOTRAWNY: LEKCJA TWARDEJ MIŁOŚCI

W obliczu faktu, że człowiek uzależniony jest ślepo zakochany w śmiertelnym wrogu, że nałogowo oszukuje samego siebie, że z genialną przewrotnością nami manipuluje (a my się zwykle latami pozwalamy manipulować, czyli popadamy we współuzależnienie), a także w obliczu faktu, że taki człowiek nie reaguje już na naszą miłość i na nasze cierpienie, pojawia się pytanie, czy jest jakiś sposób, by takiemu człowiekowi pomóc? A może pozostaje nam już tylko ratować siebie i innych członków rodziny, a osobę uzależnioną już traktować jak kogoś, kogo nie da się uratować? Otóż, jest możliwe mądre okazywanie miłości osobie uzależnionej w taki sposób, by już nas nie krzywdziła i by sama miała szansę na wyjście z uzależnienia, a przez to na wyrwanie się ze szponów śmierci. Sposobu okazywania miłości w tak skrajnej sytuacji uczy

nas sam Jezus w słynnej przypowieści o marnotrawnym synu i mądrze, a nie tylko miłosiernie kochającym ojcu. Popatrzmy raz jeszcze na tę przypowieść w tym właśnie aspekcie.

Pewien człowiek miał dwóch synów. Młodszy z nich rzekł do ojca: „Ojcze, daj mi część majątku, która na mnie przypada”. Podzielił więc majątek między nich. Niedługo potem młodszy syn, zabrawszy wszystko, odjechał w dalekie strony i tam roztrwonił swój majątek, żyjąc rozrzutnie. A gdy wszystko wydał, nastał ciężki głód w owej krainie i on sam zaczął cierpieć niedostatek. Poszedł i przystał do jednego z obywateli owej krainy, a ten posłał go na swoje pola żeby pasł świnie. Pragnął on napełnić swój żołądek strąkami, którymi żywiły się świnie, lecz nikt mu ich nie dawał. Wtedy zastanowił się i rzekł: „Iluż to najemników mojego ojca ma pod dostatkiem chleba, a ja tu z głodu ginę. Zabiorę się i pójdę do mego ojca, i powiem mu: Ojcze, zgrzeszyłem przeciw Bogu i względem ciebie; już nie jestem godzien nazywać się twoim synem: uczyni mnie choćby jednym z najemników. Wybrał się więc i poszedł do swojego ojca. A gdy był jeszcze daleko, ujrzał go jego ojciec i wzruszył się głęboko; wybiegł naprzeciw niego, rzucił mu się na szyję i ucałował go. A syn rzekł do niego: „Ojcze, zgrzeszyłem przeciw Bogu i względem ciebie, już nie jestem godzien nazywać się twoim synem”. Lecz ojciec rzekł do swoich sług:

„Przynieście szybko najlepszą szatę i ubierzcie go; dajcie mu też pierścień na rękę i sandały na nogi! Przyprowadźcie utuczone cielę i zabijcie: będziemy ucztować i bawić się, ponieważ ten mój syn był umarły, a znów ożył; zaginął, a odnalazł się”. I zaczęli się bawić (Łk 15,11b-24).

Punktem wyjścia tej przypowieści jest zbuntowany syn, który żąda od ojca części majątku i chce pójść daleko od domu, by po swoim szukać szczęścia. Ów młody mężczyzna postępuje tak, jak ci, którzy w XXI wieku sami siebie nazywają ludźmi „postępowymi” i „nowoczesnymi”. Ten młody dorosły ma własny pomysł na to, jak być szczęśliwym. Chce osiągnąć szczęście w „nowoczesny” sposób, czyli lekko, łatwo i przyjemnie – bez wysiłku, bez pracy w polu, bez czujności, bez zasad moralnych, bez miłości i odpowiedzialności, bez małżeństwa i rodziny. To kolejny „postępowy” buntownik, jakich w naszych czasach jest wielu. W rzeczywistości syn marnotrawny wcale nie jest taki „nowoczesny” i „postępowy”, za jakiego sam siebie uważa. Przeciwnie, powtarza on najstarsze, najbardziej naiwne, a jednocześnie najbardziej radykalne błędy, jakie popełnili pierwsi ludzie już na początku historii ludzkości.

Postawa marnotrawnego syna może nas smucić, ale nas nie zaskakuje. Raz jeszcze potwierdza się to, że człowiek nie tylko zagrożony jest z zewnątrz, jak Józef ze Starego Testamentu, który został sprzedany do niewoli przez własnych braci (por. Rdz 37). Każdy z nas jest także zagrożony swoją własną słabością i potrafi krzywdzić samego siebie. Syn marnotrawny nie miał pod drzwiami złych kolegów, którzy

namawiali go do grzechu. Nie miał dostępu do Internetu z pornografią i wyuzdaniem. Pod jego drzwiami nie stali dealerzy narkotyków. Nie chodził do szkół promujących wychowanie bezstresowe, spontaniczną samorealizację, prawa bez obowiązków czy ideologię gender. Przeciwnie, miał kochającego ojca, który był wspaniałym wychowawcą, symbolizującym miłość i mądrość samego Boga-Ojca. Postawa młodszego syna z przypowieści Jezusa to jeszcze jedno potwierdzenie tego, że do rozwoju i szczęścia potrzebna jest nam pomoc Boga i ludzi, ale do samozniszczenia i rozpaczki wystarczy nam nasza własna słabość. Nikt z nas nie potrzebuje pomocy z zewnątrz, by zniszczyć samego siebie.

O ile słabość i bezmyślność syna z przypowieści Jezusa nie jest dla nas zaskoczeniem, o tyle zaskoczeniem może być to, że ojciec nie próbuje zatrzymać tegoż syna, mimo że go kocha, że jest świadom jego słabości i że z pewnością niepokoi się o los odchodzącego. Czytając przypowieść Jezusa, możemy odnieść wrażenie, że ojciec puszcza syna bez walki. Chciałoby się aż zawołać: „Ojcze, zawalcz jeszcze o syna! Nie daj mu pieniędzy, których żąda. Wiesz, że twój syn przeżywa wielki kryzys i że wszystko, co dostanie od ciebie, wykorzysta do zła, do niszczenia własnego człowieczeństwa. Niech cię raczej poda do sądu. Zanim wygra, może zdąży zmądrzeć i nie zejdzie na drogę autodestrukcji”.

W rzeczywistości ojciec z przypowieści Jezusa uczynił wszystko, by syn nie odszedł. A co konkretnie zrobił? Kochał! Ten, kto kocha, czyni wszystko, by kochana przez niego osoba nie odeszła od niego, od Boga, od miłości, od wolności, od świętości. Kto kocha, ten czyni wszystko, co możliwe, by kochana osoba wybierała drogę błogosławieństwa i życia,

a nie drogę przekleństwa i śmierci. Czy jednak możemy mieć pewność, że ojciec kochał naprawdę? A może jednak kochał za mało albo nie umiał okazywać swojej miłości? Może czasem nie rozumiał syna, albo go wręcz krzywdził i dlatego syn postanowił szukać szczęścia daleko od ojca? Otóż, ojciec kochał syna, a ten o tym świetnie wiedział! Możemy być tego pewni z tego oczywistego powodu, że odchodzący nie ma ojcu niczego do zarzucenia!

Nie jest łatwo odejść od tych, którzy kochają. Miłość bowiem to najwspanialszy ze wszystkich możliwych sposobów odnoszenia się do drugiej osoby. To takie postępowanie, dzięki któremu tej drugiej osobie chce się żyć zawsze i w każdej sytuacji. Jednak nawet miłość nie determinuje, lecz pozostawia kochanej osobie wolność. Gdy ktoś nie odpowiada miłością na miłość, wtedy nie jest szczęśliwy i łatwo ulega iluzji, że jeśli odejdzie, to wreszcie doświadczy upragnionego szczęścia. Ci, którzy odchodzą od kochających rodziców, od Boga i Kościoła, próbują to jakoś „usprawiedliwić”. Szukają choćby najbardziej grubymi nićmi szytego pretekstu. Zwykle twierdzą, że nie są kochani i że wyłącznie z tego powodu nas opuszczają. Tymczasem marnotrawny syn nie znajduje nawet pretekstu, by „usprawiedliwić” swoje odejście. Odchodzi mimo tego, że jest kochany i że nie ma ojcu niczego do zarzucenia.

Może ktoś z rodziców pomyśli, że nawet jeśli ojciec z przypowieści Jezusa aż tak bardzo kochał syna, że ten nie miał mu nic do zarzucenia, to kochający rodzic powinien jeszcze coś do miłości „dołożyć”. Niechby, na przykład, ojciec padł na kolana i błagał syna o pozostanie. Niechby zapłakał i powiedział, że umrze na zawał serca albo że zadreży się psychicznie, jeśli syn odejdzie. Przecież warto nawet unżyć samego siebie, byle

tylko próbować zatrzymać ukochaną osobę, która chce odejść daleko od miłości i od szczęścia! Albo niechby ojciec zastraszył syna. Niechby powiedział mu, że jeśli odejdzie, to nie będzie miał już prawa powrotu, to zostanie wydziedziczony na zawsze i marnie zginie! Albo niechby ojciec zastosował wręcz przymus fizyczny. Niechby kazał swoim sługom, by pilnowali syna dzień i noc, aby nie miał szans się oddalić.

Ojciec z przypowieści Jezusa nie stosuje żadnego z tego typu działań. Nie próbuje dołożyć próśb czy gróźb do miłości, jaką okazuje synowi. Wie bowiem, że do miłości nie da się już niczego dołożyć! Nie ma przecież niż większego, silniejszego, bardziej łączącego ludzi niż miłość! Jeśli ktoś nie reaguje na miłość, to tym bardziej nie zareaguje na prośby i groźby! Gdyby ojciec unizył się przed synem, albo gdyby próbował go nastraszyć czy na siłę zatrzymać, wtedy syn i tak by odszedł. Jedyne, co by ojciec „osiągnął”, to dałby synowi pretekst do usprawiedliwienia swego odejścia. Jeśli ktoś z młodych dorosłych by nam oznajmił, że odszedł od takiego rodzica, który sam siebie nie szanuje, bo pada przed własnym dzieckiem na kolana, albo który jest terrorystą, to bylibyśmy skłonni przyznać rację odchodzącemu, a nie rodzicowi.

Trzeba tu doprecyzować, że chodzi o syna, który jest pełnoletni. Pełnoletniość była bowiem warunkiem, by syn mógł zażądać dla siebie części majątku i odejść z domu rodzinnego bez pytania rodziców o pozwolenie. Gdyby odejść chciało niepełnoletnie dziecko, to kochający rodzic ma wręcz obowiązek takie dziecko zatrzymać. Jest bowiem bezpośrednio odpowiedzialny za los tegoż dziecka. Ponadto, ma wielorakie możliwości, by nie pozwolić odejść niepełnoletniemu synowi czy niepełnoletniej córce. Ma formalną władzę rodzicielską,

uznawaną przez państwo. Może stosować przymus bezpośredni, na przykład zamknąć drzwi na klucz. Ma też możliwość zawiadomienia policji o ewentualnej ucieczce z domu niepełnoletniego dziecka, a policja ma obowiązek takie dziecko odzyskać i oddać rodzicom. W skrajnym przypadku, na przykład wtedy, gdy nieletnie dziecko popadło w alkoholizm czy narkomanię, rodzic ma prawo wnioskować do sądu rodzinnego i dla nieletnich o skierowanie syna czy córki na przymusową terapię albo do zamkniętego ośrodka wychowawczego. Wobec pełnoletnich dzieci rodzice tego typu władzy rodzicielskiej już nie posiadają.

Ojciec z przypowieści Jezusa świetnie wie, że jeśli kogoś z pełnoletnich dzieci nie zatrzymamy miłością, to jesteśmy wtedy bezradni z tego oczywistego powodu – powtórzmy to jeszcze raz – że w relacjach międzyludzkich nie ma większej siły niż miłość! Jeśli kto z naszych bliskich czy wychowanków nie reaguje na miłość, to nie tylko my nic na to nie poradzimy, lecz nawet Bóg jest wtedy bezradny. Wprawdzie Bóg jest wszechmocny, ale – jak pokazuje nam to w całej historii zbawienia – jest najpierw Miłością. Stwórca używa swojej wszechmocy po to, by kochać, czyli na sposób Miłości i w żaden inny sposób. To oczywiście, że gdyby Bóg chciał, to mógłby sparaliżować albo skutecznie zastraszyć tego, kto planuje odejść. Nigdy jednak tego nie uczyni, gdyż Ten, który jest Miłością, szanuje naszą wolność nawet wtedy, gdy przybijamy Go do krzyża. Ten, kto kocha, nie używa swojej siły, by ranić, zniewalać, zastraszyć.

Jeśli ktoś z naszych bliskich czy wychowanków odchodzi od Boga i od nas, mimo że go kochamy, to cierpimy, ale też możemy być pewni, że nie ma w tym naszej winy. Winowajcami

jesteśmy tylko wtedy, gdy ktoś odchodzi dlatego, że nie kochamy lub dlatego, że krzywdzimy czy że zadreżamy tę drugą osobę. Ojciec z przypowieści Jezusa zrobił wszystko, by syn był przy nim szczęśliwy, gdyż dojrzałe kochał. Mimo to syn okazał się niewdzięczny i bezlitosny wobec kochającego go rodzica. Gdy zażądał części majątku, który już tu i teraz mu się jako pełnoletniemu prawnie należał, to przecież wyraźnie dał przez to do zrozumienia, że nie kocha ojca, że nie czuje się przy nim szczęśliwy i że życzy ojcu śmierci, bo wtedy będzie mógł już bez proszenia się zabrać z bratem całą resztę majątku. Kochany przez ojca syn sam nie kocha. W konsekwencji zastawia na samego siebie najbardziej niebezpieczną pułapkę, jaką może wymyślić człowiek: wmawia sobie, że istnieje łatwo osiągalne szczęście i że do osiągnięcia tego szczęścia nie potrzebuje ani miłości rodziców, ani pomocy Boga, ani czujności i pracy nad własnym charakterem, ani małżeństwa i rodziny. Wystarczy mu wino, dziewczyny i śpiew. Dwa tysiące lat temu Jezus opowiedział przypowieść o typowym „luzaku” z XXI wieku, czyli o człowieku, który uwierzył, że może robić to, czego chcą jego popędy, i że to wystarczy mu do szczęścia.

Syn, który nie odpowiada miłością na miłość ojca, opuszcza rodzinny dom i uważa, że ma rację. Jest przekonany, że teraz to już na pewno będzie szczęśliwy. W rzeczywistości okazuje się jeszcze jednym „nowoczesnym” i „postępowym” głupcem, który zaczyna funkcjonować w świecie miłych – początkowo! – fikcji i podąża za toksycznymi iluzjami szczęścia. Jest głupcem z tego powodu, że szuka szczęścia tam, gdzie go nie można znaleźć. Czyni to, co łatwe i przyjemne zamiast tego, co dobre i mądre. Szybko jednak przekonuje się o tym, że na tej drodze nie będzie szczęśliwy. Po oczarowaniu

rozrywkowym stylem życia, przychodzi zupełnie zaskakujące go i skrajnie bolesne rozczarowanie. Droga do szczęścia bez Boga i bez miłości okazuje się drogą do poniżenia, głodu i osamotnienia. Aby w tej sytuacji przeżyć, marnotrawny syn godzi się być najemnikiem i paść świnie. Odchodząc od kochającego ojca, łudził się, że idzie w kierunku ziemi obiecanej, którą sobie wymarzył. W rzeczywistości zgotował sobie piekło na ziemi.

W tak dramatycznej sytuacji rodzice tej ziemi zwykle nie wiedzą, w jaki sposób postępować wobec błądzącego, jak mu pomóc, w jaki sposób okazywać mu miłość. Trudno jest kochać kogoś, kto nie kocha nawet samego siebie. Większość bliskich kieruje się wtedy uczuciami zamiast miłością, a przez to popada w skrajne postawy. U jednych zwycięża rozzalenie, gniew, złość. Wyrzekają się błądzącego. Przeklinają go i przekreślają na zawsze. Nie pozwalają mu wrócić. Informują go, że nigdy mu nie przebaczą i że nie ma prawa do powrotu. Inni rodzice popełniają błąd przeciwny, czyli za wszelką cenę usprawiedliwiają błądzącego. Okazują się naiwni. Wymyślają tysiące okoliczności „łagodzących”, byle tylko wmawiać sobie, że w sumie nic bardzo złego się nie stało. Czynią wszystko, aby błądzący nie ponosił konsekwencji swoich błędów i nie cierpiał. W konsekwencji tworzą mu komfort dalszego błądzenia i trwania w grzechu.

Ojciec z przypowieści Jezusa nie wpada w żadną z tych skrajności. Nie kieruje się emocjami. Dzięki temu nadal kocha swojego syna. Nie przekreśla go, ani nie rozpieszcza. Nie mści się na nim, ale też nie udaje, że nic złego się nie stało. Cierpi, a mimo to daje synowi znaki miłości. Wychodzi na drogę. Wypytuje znajomych o los syna, a ci informują syna

o znakach miłości ojca. Jednak w swojej mądrości ojciec nie czyni niczego więcej. Wie, że największym problemem nie jest to, że syn cierpi, lecz to, że błądzi.

Ktoś może sądzić, że taka postawa ojca świadczy o tym, że kocha on za mało, że wychodzenie na drogę w kierunku marnotrawnego syna to nie jest wystarczające potwierdzenie miłości. Niektórzy z rodziców czy innych wychowawców proponują „poprawić” tę przypowieść i posłać ojca do błądzącego syna. Spróbujmy zatem zrobić tego typu eksperyment i w naszej wyobraźni wysłać ojca do syna. Oto w tej „poprawionej” wersji przypowieści ojciec kocha jeszcze „bardziej”, gdyż osobiście idzie do syna, który doświadcza głodu, poniżenia, osamotnienia. Zawozi mu jedzenie, ubrania i pieniądze. Jest hojny. Przywozi dobre jedzenie, markowe ubrania i dużo pieniędzy! Jakby zareagował wtedy syn na tak mocny znak miłości? W pierwszym odruchu mógłby się nawet szczerze wzruszyć i powiedzieć: „Ojcie, teraz to już jestem pewien, że mnie kochasz! Mówili mi wprawdzie znajomi, że wychodzisz na drogę, że masz przy sobie szaty i pierścień dla mnie, że jesteś gotowy mi przebaczyć, ale ja w to nie wierzyłem. Myślałem, że znajomi chcą mnie tylko pocieszyć, bym nie popadł w rozpacz albo nie odebrał sobie życia. Dopuszczałem też taką myśl, że wychodzisz na drogę, ale że robisz to tylko dla oka ludzkiego, czyli po to, aby cię chwalili, jaki to jesteś dobry ojciec. A teraz nie mam już żadnych wątpliwości, że mnie bardzo kochasz i że tylko z tobą będę szczęśliwy. W tej sytuacji wracam natychmiast do ciebie”.

Jednak po chwili wahania prawdopodobnie syn powiedziałby: „Tato, to ty już ruszaj do domu, a ja ciebie dogonię, bo jestem przecież młodszy. Tylko pójde się pożegnać z kolegami,

no bo przecież tak wypada, a ty mnie dobrze wychowałeś”. I poszedłby pić, ćpać czy współżyć z nierządnicami. Tym razem uczyniłby to za pieniądze ojca, gdyż swoje już zmarnotrawił. Idąc do syna, który jeszcze się nie zastanowił i nie zmienił, ojciec – wbrew swej woli – dobiłby błędzącego. Ułatwiłby mu dalsze błędzenie. Tym razem może aż do tragicznej śmierci. Bóg wie, że dopóki ktoś z ludzi trwa w głębokim kryzysie, to w tej fazie życia nie jest w stanie mądrze skorzystać z naszej pomocy. Ktoś taki kpi sobie z miłości i cierpienia ludzi, a nawet z miłości i cierpienia Boga.

Osobiste, dotkliwe cierpienie, sięgnięcie dna bólu, to jedyna rzecz, z której sobie nie kpi nawet ten człowiek, który znajduje się w bardzo głębokim kryzysie i który już wiele zmarnotrawił ze skarbu swego człowieczeństwa. To wyłącznie z tego powodu mądrze kochający ojciec nie przeszkadza błędzącemu synowi ponosić konsekwencje popełnianego zła. Nie zsyła mu żadnej kary. Nie mści się. Nie możemy też powiedzieć, że dopuszcza cierpienia, bo przecież syn w ogóle się z ojcem nie konsultuje co do swojego trybu życia. Przeciwnie, ojciec uczynił wszystko, by syn nie cierpiał. Uczynił wszystko, bo ogromnie kochał i mądrze wychowywał. Nic nadto nie jest w stanie uczynić nawet najlepszy wychowawca. Naiwnością byłoby przekonanie, że można uczynić coś więcej i że można być jeszcze kimś lepszym niż ojciec marnotrawnego syna. Nie można! Nie próbujmy kochać „bardziej” od Boga, bo taka próba oznaczałaby tylko jedno: że stalibyśmy się bezgranicznie naiwni i że błędzący całkowicie by nas sobie podporządkowali.

Mądry, a nie tylko dobry ojciec z przypowieści Jezusa wie, że marnotrawny syn zachowa szansę na ocalenie jedynie wtedy, gdy będzie osobiście cierpiał. Cierpienie, które

jest skutkiem popełnianych przez człowieka błędów, stwarza szansę na refleksję i nawrócenie. Otwiera oczy. Mobilizuje do tego, by już dłużej nie oszukiwać samego siebie. Uczy odróżniać dobro od zła. Może jednak ojciec powinien wyjść nieco dalej na drogę w kierunku syna? Może powinien wyjść aż tak daleko, by syn go fizycznie zobaczył, a nie tylko słyszał od znajomych o otwartych ramionach ojca? Otóż, Bóg wyszedł do nas aż za daleko! Zwróćmy uwagę na to, kto opowiada nam tę przypowieść? Opowiada ją Ten, który jest prawdziwym Bogiem i który tak daleko wyszedł ku nam z objawieniem swojej miłości, że stał się jednym z nas po to, byśmy Go dosłownie zobaczyli. On pozwolił potraktować samego siebie gorzej niż mordercę-Barabasza. Pozwolił, by źli ludzie przybili Go do krzyża, byśmy odkryli, że Bóg-człowiek utożsamia się z naszym cierpieniem. On kocha nas do tego stopnia, że twój i mój los jest dla Niego ważniejszy niż Jego własny los! Nic nadto nie może uczynić największy nawet przyjaciel, ani najlepszy wychowawca. Reszta zależy od tego, kto błądzi.

Marnotrawny syn wykorzystuje swoje cierpienie. Jest ono ostatnią deską ratunku dla tych, którzy nie reagują na miłość Boga i człowieka, ani na cierpienie tych, przez których są kochani. Na skutek własnego cierpienia syn marnotrawny przemienia się w syna powracającego. Odtąd już wie, że lepiej jest być choćby sługą u kochającego ojca niż pozostawać niewolnikiem tego świata albo niewolnikiem własnych słabości. Czy to znaczy, że błądzącego syna uratowało cierpienie? Nie! Ratuje wyłącznie Bóg, a nie cierpienie. Samo cierpienie pomaga nam otwierać oczy na prawdę o sobie, ale nie daje siły do nawrócenia i do powrotu. Potwierdzeniem tej zasady jest los Judasza. Po zdradzeniu Jezusa zrobił sobie uczciwy rachunek

sumienia i bardzo cierpiał. Jednak w przeciwieństwie do Piotra, nie poszedł za Jezusem, został sam na sam z własnym cierpieniem, uległ rozpaczcy i odebrał sobie życie. Samo cierpienie jest ciężarem, a nie siłą. Ono nie ma w sobie mocy, by nas nawracać. Ma natomiast moc, by doprowadzić nas do rozpaczcy. Pod wpływem cierpienia niektórzy ludzie nawracają się, ale wielu innych poddaje się poczuciu bezsilności, buntuje się na Boga czy staje się ateistami.

Cierpienie skłoniło marnotrawnego syna do powiedzenia sobie prawdy o własnych błędach, ale to nie ono go uratowało. Cierpiącego syna uratowało to, że – podobnie jak Piotr po zaparciu się Jezusa – uwierzył, iż nadal jest kochany. Błądzący i cierpiący człowiek może przemienić się tylko wtedy, gdy uświadamia sobie, że nadal jest kochany przez Boga i Bożych ludzi i gdy sam zaczyna kochać. Ktoś może jednak twierdzić, że marnotrawny syn wraca wyłącznie dlatego, że jest głodny i że u jego ojca nie brakuje jedzenia. Gdyby jednak tylko o to chodziło, to syn by nie wrócił, lecz raczej zacząłby kraść lub założyłby bandę rzezimieszków i przez jakiś czas znowu dobrze by mu się powodziło. W tej fazie życia synowi chodzi jednak o coś znacznie więcej niż o pokarm dla ciała! On już teraz wie, że jedzenie i dobrobyt nie wystarczą mu do szczęścia. Pamięta przecież lata, gdy opływał we wszystko, zanim roztrwoniał majątek, który otrzymał od ojca. Tam też nie był szczęśliwy z tego powodu, że ci, którzy razem z nim jedli i pili, nie kochali go. Oni jedynie wykorzystali jego naiwność i odwrócili się od niego, gdy tylko skończyły mu się pieniądze.

Dla cierpiącego syna jest już oczywiste, że właśnie z powodu braku więzi z tymi, którzy kochają, był nieszczęśliwy w owej dalekiej krainie nawet wtedy, gdy wydawało się, że

już niczego mu do szczęścia nie brakowało. Teraz przypomina sobie, że jedynym szczęśliwym okresem w jego życiu były lata spędzone u boku kochającego ojca. To właśnie dlatego podejmuje trud powrotu. Odtąd już nie jest synem marnotrawnym, lecz synem powracającym. Odtąd zasługuje na szacunek i uznanie. Nie jest przecież łatwo powrócić, gdy ktoś aż tak daleko odszedł od miłości i prawdy, od dobra i piękna, od Boga i bliskich. Nie jest łatwo powiedzieć: *Ojcze, zgrzeszyłem przeciw Bogu i względem ciebie!* (Łk 15,21b).

Jezus mógłby nadać inne zakończenie swojej przypowieści. Każdy z nas zna historie ludzi błędzących, którzy nie zastanowili się i nie powrócili do Boga, do bliskich, do życia w prawdzie, miłości i radości. Niektórzy ludzie nie powracają mimo tego, że nie tylko Bóg, ale także bliscy kochają ich bezwarunkowo, nieodwołalnie i mądrze. Gdy zatem kierujemy się zasadami miłosiernej, a jednocześnie mądrej miłości, jakie Jezus wyjaśnia nam w swej przypowieści, to nie mamy gwarancji, że ten, którego kochamy, przestanie błędzić. Czynimy jednak wtedy wszystko, co w naszej mocy, by kochany przez nas człowiek miał szansę zastanowić się i powrócić. Nie popadamy bowiem w naiwność, ani nie tworzymy grzeszącemu komfortu dalszego błędzenia. Jeśli ten ktoś nie powraca, to trwamy w miłości do niego, modlimy się w jego intencji i zawieramy Bogu tego, którego nie potrafimy uratować naszym wysiłkiem i mocą naszej miłości.

W tym kontekście pojawia się pytanie o to, czy możemy udowodnić temu, kto błędzi i popada w uzależnienia, że nadal go kochamy? Otóż, nie jest to możliwe! Co więcej, im dojrzej okazujemy miłość człowiekowi, który przeżywa głęboki kryzys, tym bardziej nie rozumie on naszej postawy i z tym

większym przekonaniem twierdzi, że nie umiemy go kochać. Dopóki ktoś z naszych bliskich błądzi i trwa w uzależnieniu, dopóki żyje w dalekiej krainie, czyli daleko od Boga, od miłości i od radości, dopóty nie uwierzy w to, że nadal go kochamy. Nie uwierzy w naszą miłość nawet wtedy, gdy oddamy za niego życie. I na razie nic na to nie poradzimy. Niemożność udowodnienia miłości temu, kto odchodzi i przestaje kochać wynika z faktu, że w tej fazie swojego życia ktoś taki nie oczekuje od nas miłości. Nie oczekuje miłości z tego oczywistego powodu, że ten, kto kocha, stawia wymagania temu, kto jest w kryzysie.

Miłości oczekują od nas tylko ci, którzy sami kochają. Natomiast ci, którzy błądzą, oczekują od nas czegoś zupełnie innego. Dopóki trwają w kryzysie, dopóty oczekują od nas naiwności, pobbżazania, potulności, poczucia bezradności. Oczekują tego, że damy się zastraszyć, że uwierzymy w ich kolejne kłamstwa i obietnice bez pokrycia, że spłacimy potulnie ich kolejne długi, że zapłacimy za nich mandaty, że będziemy brać na siebie konsekwencje popełnianych przez nich błędów, że będziemy udawać, iż nic nie wiemy o tym, że nas zdradzają, okradają czy że nami gardzą. Oczekują tego, że nie będziemy się bronić i nie wezwiemy policji nawet wtedy, gdy nas pobiją czy gdy doprowadzą na skraj rozpacz. W tej sytuacji jedynym sposobem, by „udowodnić” temu, kto nie kocha, że nadal jest przez nas kochany, jest podporządkowanie się jego chorym oczekiwaniom. Jeśli pomylimy miłość z naiwnością, z pobbżazaniem złu, z chorą tolerancją czy ze skrajnie naiwną uległością, to wtedy – i tylko wtedy – ci, którzy nie kochają, pochwalą nas za naszą „miłość” do nich. Jedynym zatem sposobem zadowolenia kogoś poważnie błądzącego jest to, że

przestaniemy go kochać mądrą miłością, a zaczniemy okazywać naiwność. Wtedy jednak – wbrew naszej woli – wyrządzamy krzywdę takiej osobie.

Ci, którzy wpadli w poważny kryzys, uwierzą w miłość Boga i w naszą miłość jedynie wtedy, gdy się nawrócą i gdy sami zaczęną kochać. I ani sekundy wcześniej! Jeśli się natomiast nie nawrócą, to nic im nie da ani nasza miłość, ani ewentualne przebaczenie z naszej strony. Na końcu życia doczesnego Bóg nikogo z grzeszników nie zapyta o to, czy otrzymali oni przebaczenie ze strony tych, których krzywdzili. Zapyta ich jedynie o to, czy się nawrócili i czy zaczęli kochać. Starszy syn z przypowieści Jezusa jest zazdrosny o to, że ojciec okazuje miłosierną miłość temu, który powraca. Sam uważa siebie za kogoś, kto jest synem idealnym, kto nie ma sobie niczego do zarzucenia i kto ma prawo protestować przeciwko urządzaniu święta nawróconemu bratu. Ów starszy syn okazuje się niemiłosierny wobec swojego brata. Publicznie oskarża brata o to, że roztrwonił majątek z nierządnicami, chociaż przypowieść mówi jedynie o tym, że młodszy brat żył w dalekiej krainie w sposób rozrzutny. Ten, który nie kocha, buntuje się, zamiast świętować. Nie chce świętować ani z powracającym bratem, ani z ojcem. Przeciwnie, zachowuje się arogancko i czyni ojcu wymówki. Dopóki tak będzie postępował, dopóty nie uwierzy, że on też – podobnie jak młodszy brat – jest przez ojca kochany bezwarunkowo i na zawsze. A ojciec nic na to nie poradzi.

Jeśli ktoś z nas nie cieszy się powrotem tych, którzy pobłądzili, to zwykle taka postawa świadczy o tym, że za mało kochamy i że sami jesteśmy mało szczęśliwi. Kto nie kocha, ten nie cieszy się ani z tymi, którzy ciągle kochają, ani z tymi, którzy się nawrócili i zaczęli kochać. Ktoś taki jest niemiłosierny

nie tylko dla bliźnich, ale też wyrządza niemiłosierną krzywdę samemu sobie. Starszy syn jest niemiłosierny dla samego siebie, gdyż nie wyciąga wniosku z tego, że jego młodszy brat zagubił się i omal nie zginął. Przeciwnie, szantażuje ojca i chce, by ten pozwolił mu zabawiać się życiem, zamiast świętować skarb życia. Chce wejść na przeklętą drogę życia, z której właśnie zszedł jego młodszy brat. Aż trudno w to uwierzyć, ale starszy syn pozostaje tak zaślepiony i tak zniewolony swoimi chorymi iluzjami o łatwym szczęściu, że nadal marzy o tym, by któregoś dnia odejść i być wreszcie „sobą”, czyli żyć na zasadzie chwilowej przyjemności. To kolejny dowód na to, że nie zna granic naiwność człowieka, który nie kocha i nie widzi, że jest kochany.

Starszy syn nie musi definitywnie przegrać życia. Jego postawa tu i teraz nie świadczy o tym, że nie ma już dla niego ratunku. Jego chęć zabawienia się z „przyjaciółmi”, jego agresja wobec świętującego ojca i ocalonego brata, to znaki, że jest nieszczęśliwy i że dotkliwie cierpi. Właśnie to cierpienie, ta pustka serca, która rani i boli, stanowi dla starszego syna szansę na nawrócenie. Jeśli mimo cierpienia okaże się, że nie nawróci się do końca swego życia doczesnego, to nawet wtedy możemy zachować nadzieję na jego zbawienie. Tylko Bóg zna serce, motywy działania, całą historię, a także uwarunkowania i ograniczenia cielesne, psychiczne, moralne i duchowe każdego człowieka. Tylko Bóg wie, co każdy z nas nosi w swoim sercu. I tylko Bóg wie, co dzieje się z poszczególnymi ludźmi w procesie umierania. To przecież jeszcze jedna, chociaż ostatnia już szansa na nawrócenie.

Możemy mieć nadzieję na zbawienie także tych, którzy nie powrócili, lecz zakończyli swoje życie doczesne w krainie

dalekiej od Boga i od Jego miłości. Niedawno rozmawiałem z załamana kobietą. Ze łzami w oczach opowiedziała mi dramatyczną historię swojego brata, który był erotomanem, miał wiele kochanek, prowadził rozwiązły tryb życia. Jeszcze bardziej boleśnie zaczęła płakać wtedy, gdy wyznała, że jej brat odebrał sobie życie. Wtedy wyjaśniłem mojej rozmówczynie, że – paradoksalnie! – właśnie to samobójstwo jest znakiem nadziei na zbawienie. Oznacza bowiem, że ów człowiek aż tak radykalnie nie zgadzał się z własnym postępowaniem, że sam na siebie się zbuntował i że odebrał sobie życie. Zrozumiał, że postępował w sposób niegodny otrzymanej od Boga godności. Ten bunt wobec dotychczasowego sposobu życia, wyrażający się w podniesieniu ręki na samego siebie, mógł być pierwszym krokiem ku nawróceniu. Miłosierdzie Boga jest równie nieskończone jak wyobrażenia Jego miłości. To właśnie dlatego w Niebie dowiemy się o nawróceniu wielu takich ludzi, o których myśleliśmy, że nie zdążyli się nawrócić. Przypowieść o mądrze kochającym ojcu i jego marnotrawnym synu, opowiedziana przez Jezusa, to najlepszy, najbardziej precyzyjny podręcznik wychowania, jaki pojawił się w historii ludzkości. To podręcznik cierpliwej, wychowującej miłości, której zasady sprawdzają się w najtrudniejszych nawet sytuacjach. Popatrzmy na konkretny przykład stosowania twardej miłości, jakiej Jezus uczy nas w analizowanej tutaj przypowieści.

Pewna kobieta prosiła o poradę i powiedziała do mnie: „Mój czternastoletni syn ostatnio przestał już chodzić do szkoły. W sądzie rodzinnym trwa sprawa o pozbawienie mnie praw rodzicielskich. Jestem samotnie wychowującą matką i rzeczywiście ta sytuacja mnie przerasta”. Wyjaśniłem mojej rozmówczynie, że musi usunąć z domu komputer oraz wszelkie inne

urządzenia elektroniczne, gdyż w przeciwnym przypadku jej syn umrze. W obliczu tych słów kobieta wpadła w przerażenie. Powiedziała, że syn nigdy się na to nie zgodzi. Spokojnie wyjaśniłem, że ona nie potrzebuje zgody syna. A jeśli będzie wobec niej agresywny czy wręcz podniesie na nią rękę, to nie ma innego wyjścia, jak zadzwonić na policję i doprowadzić do tego, że syn zostanie umieszczony w zamkniętym ośrodku wychowawczym. Alternatywą jest całkowita destrukcja jego zdrowia fizycznego i psychicznego oraz przedwczesna śmierć. Ta kobieta zdobyła się na tak twardą miłość. Jej syn jest teraz na studiach. Odzyskał zdrowie i radość życia.

Na razie większość rodziców nie potrafi tak stanowczo ratować swoich dzieci. Nie słuchają Boga. Nie chcą przyjąć do wiadomości, że jedyną deską ratunku dla człowieka uzależnionego – dziecka, nastolatka czy dorosłego – jest jego własne cierpienie. My cierpimy wtedy jeszcze bardziej, ale takie cierpienie ma sens.

Jeżeli mamy uzależnionego męża, żonę, syna, córkę, mamę, tatę, to trzeba działać stanowczo i zdecydowanie. Niektóre kobiety mówią mi: „Jeżeli będę tak twardo postępować, że nie wpuszczę do domu pijanego męża, że zadzwonię na policję, to on wyląduje w więzieniu!”. Wyjaśniam wtedy, że lepiej, by uzależniony wylądował w więzieniu niż na cmentarzu. Nawet jeśli uzależniony nie skorzysta z naszej mądrości, a przez to twardej miłości i umrze, to nie my jesteśmy odpowiedzialni za jego śmierć, lecz choroba, w jaką popadł. My natomiast nie daliśmy rady uratować go przed śmiercią, która wpisana jest w każde uzależnienie. Jeśli nie zastosujemy mądrości, czyli twardej miłości, to wbrew naszej woli zabierzemy choremu ostatnią deskę ratunku. Niektóre kobiety mówią:

„Ale ja ślubowałam, że będę kochać męża na dobre i na złe!”. Wtedy odpowiadam: To prawda, ale mąż ślubował, że będzie Panią kochał, a nie, że będzie się upijał i że będzie Panią dręczył”. Małżonek to ktoś jedyny na tej ziemi, kto nam ślubuje miłość i kto nie ma prawa skazywać nas na złą dolę. Jeśli mimo to krzywdzi nas, zamiast kochać, to współmałżonek będzie nadal kochał, ale nie pozwoli się krzywdzić i nie odbierze błędzemu bolesnych konsekwencji popełnianych błędów, gdyż – powtórzmy! – cierpienie błędzącego to dla niego ostatnia już deska ratunku, by miał szansę się odkłamać i uwolnić od niszczących go zniewoleń czy innych form kryzysu.

3.3. ZDRADY MAŁŻEŃSKIE I ODEJŚCIE MAŁŻONKA

Zdrady małżeńskie to jedno z najbardziej dotkliwych zranień, jakie mogą nas dotknąć na tej ziemi. To sytuacja tak bolesna, że zdradzany małżonek nie śpi po nocach. Cały świat się wali. Wydaje się, że to już koniec i że nic nie ma już sensu. Zdrady małżeńskie są odczuwane zwykle jeszcze bardziej boleśnie niż bliski kontakt z uzależnionym małżonkiem, rodzicem czy dzieckiem. To prawda, że uzależnieni potrafią nas bezlitośnie dręczyć. Potrafią doprowadzić do depresji i rozpaczki członków rodziny. Czujemy jednak, że nie czynią tego z premedytacją, że nie są podli, lecz chorzy, zniewoleni, bezsilni. Zwykle mają jeszcze w jakimś stopniu świadomość zła, które czynią, ale ich wolność jest skrajnie ograniczona. Tymczasem małżonek, który dopuszcza się cudzołóstwa i zdradza, łamie przysięgę małżeńską w sposób świadomy i dobrowolny. Zadaje ogromne cierpienie Bogu, współmałżonkowi,

dzieciom, samemu sobie oraz tej trzeciej osobie, którą wikła w wielki grzech.

Przed takim dramatem małżeńskim broni nas sakramentalna przysięga: „Ślubuję ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską”. Żeby nie doszło do tragedii małżeńskiej zdrady, mąż i żona powinni wypełniać wszystkie trzy wymienione tutaj aspekty przysięgi małżeńskiej. Powinni zatem nie tylko nie zdradzać małżonka, ale też coraz bardziej okazywać miłość i nie czynić niczego, co oddala od małżeńskiej uczciwości. Im bardziej ciebie Kocham i im bardziej jestem uczciwy względem Ciebie, tym łatwiej jest mi pozostać Tobie wiernym mężem czy wierną żoną. Wierność to błogosławiony owoc miłości i uczciwości. Gdybym to ja układał tekst przysięgi małżeńskiej, to po tym wszystkim, co wiem już od tysięcy ludzi, zmieniłbym tutaj kolejność na taką: „Ślubuję ci miłość, uczciwość i wierność”, żeby podkreślić, że wierność jest efektem miłości i uczciwości.

Najbardziej chroniony przed zdradami jest ten, kto bardzo kocha współmałżonka i kto jest przeźroczyście uczciwy. Znam takie małżeństwa, w których wszystko, cokolwiek mama czy tata powie żonatemu synowi, on natychmiast powtarza to swojej żonie. Jego żona postępuje dokładnie tak samo. Oboje z góry komunikują swoim rodzicom, że cokolwiek ktoś im powie, to komunikują współmałżonkowi. Małżonkowie mają przecież wręcz obowiązek kochać siebie nawzajem bardziej niż swoje dzieci i bardziej niż swoich rodziców. Podobnie obydwójce – i mąż, i żona – powinni uczciwie mówić sobie wzajemnie wszystko, co dzieje się w ich środowiskach pracy. Jedna z moich znajomych pracuje w branży motoryzacyjnej. W jej miejscu pracy są prawie sami mężczyźni. Wielu z nich próbuje na różne sposoby zaskarbić sobie jej uwagę i sympatię.

Ona o wszystkim – spokojnie i pogodnie – opowiada swojemu mężowi, którego ogromnie kocha i który ją kocha bezwzględnie bardziej niż wszystkich innych bliskich. Tak przezroczyście uczciwi małżonkowie bardzo skutecznie chronią swoją wzajemną wierność.

Problem z wiernością zaczyna się zatem nie dopiero wtedy, gdy ktoś z małżonków wchodzi w romans, czy gdy cudzołoży, ale już wtedy, gdy przestaje być uczciwy wobec żony/męża, gdy zaczyna mieć swoje tajemnice, swoje kontakty, swoje rozmowy z kimś trzecim, o których nie mówi małżonkowi. Brak uczciwości jest pierwszym krokiem ku katastrofie małżeńskiej. Pewien mężczyzna powiedział mi: „Przypadkowo spotkałem na ulicy dawną koleżankę z klasy maturalnej. Ostatni raz widzieliśmy się kilkanaście lat temu. Ona tak serdecznie zaczęła się do mnie odnosić. Okazywała wielką radość i wzruszenie z tego spotkania. Pytała, co u mnie. Mówiła o tym, co u niej. Zapropnowała pójście razem na kawę. Wyjaśniła, że jej małżeństwo jest w poważnym kryzysie, a ona potrzebuje rady. Nie powiedziałem o tej sytuacji żonie. Stchórzyłem. Zadzwoiłem do żony i skłamałem. Powiedziałem, że dziś muszę zostać dłużej w pracy... Przy kawie ona zaczęła mi się zwierzać, że nie układa jej się z mężem, jaki to on niedobry i tak dalej... No i skończyło się romanssem, zdradą małżeńską...”

Mężczyzna, który ze mną rozmawiał, przed spotkaniem z dawną koleżanką z klasy kochał żonę i wykluczał zdradę małżeńską. Nie był jednak na tyle mądry i stanowczy, żeby być wobec swojej żony całkowicie uczciwy. Pierwsze kłamstwo, niby jeszcze drobne, że został dłużej w pracy, zaczęło pociągać kolejne nieuczciwości. Aż stało się to, co najgorszego mogło się wydarzyć. Gdyby był uczciwy, gdyby zrelacjonował żonie

pierwszą rozmowę z załamana znajomą, gdyby konsultował się przy kolejnych rozmowach ze swoją żoną, gdyby zabierał żonę na te kolejne rozmowy, by ona też mogła coś doradzić owej kobiecie, to ryzyko cudzołóstwa i zdrady byłoby małe.

W opisanej powyżej sytuacji uczciwy mąż powie dawnej koleżance z klasy: „Mam żonę i bardzo się cieszę, że moje małżeństwo jest udane. Jeśli chcesz, mogę się z tobą spotkać na dłuższą rozmowę, ale przyjdę z żoną. Jeśli masz zaufanie do mnie, to powinnaś mieć też i do niej, bo ja ją wybrałem na osobę, którą kocham najbardziej na świecie. A skoro chcesz się zwierzyć z problemów małżeńskich, to przy mojej żonie jeszcze więcej zyskasz, gdyż ona doradzi ci dużo lepiej niż ja. Jest kobietą i łatwiej jest wczuć się w twoją sytuację, w twoje przeżycia i potrzeby”. Tak właśnie zachowuje się uczciwy mąż. Podobnie postępuje uczciwa żona. Gdy zaprasza ciebie osoba drugiej płci, wyjaśniaj, że jesteś w małżeństwie i nie zgadzaj się na spotkania, jeśli zapraszający nie chce spotykać się z tobą w obecności twojego małżonka. I mów żonie/mężowi o wszystkich takich sytuacjach.

Jeśli mąż czy żona dowie się o jakichś twoich kontaktach z innymi osobami, o których to kontaktach nie wie od ciebie, to zaczyna się problem i cierpienie. Współmałżonek ma wtedy prawo do nieufności. Małżonkowie mają święte prawo wiedzieć o każdym kontakcie współmałżonka z osobami płci przeciwnej. Po odkryciu jakiejś naszej nieuczciwości współmałżonek ma podstawy do nieufności i podejrzeń. W konsekwencji ma prawo wglądu do naszych SMS-ów i e-maili. Ma prawo zażądać od nas podania wszystkich haseł dostępu w telefonie i komputerze. Ma prawo zażądać bilingu naszych rozmów. Jeśli byliśmy nieroztropni, bo nie do końca uczciwi,

ale mamy czyste sumienie, to nie powinniśmy unosić się dumą, lecz przeprosić i pomóc współmałżonkowi, żeby znowu mógł nam w pełni ufać i być spokojnym o naszą uczciwość. Nie ma prywatnych spraw w małżeństwie! Owszem, prywatne sprawy mogą – i powinny być – ale w życiu zawodowym. Pracodawca nie ma prawa wiedzieć o tym, co dzieje się w naszym małżeństwie i w naszej rodzinie. Natomiast małżonek ma prawo wiedzieć wszystko.

Jeśli już stało się wielkie zło i doszło do zdrady i nasze małżeństwo weszło w najbardziej bolesną formę kryzysu, to co wtedy robić? Jeśli zdradzany małżonek już wie, bo odkrywa romans połączony z cudzołóstwem współmałżonka, to ma obowiązek przeprowadzić szczerą i bardzo twardą rozmowę, w której stawia bezwzględne ultimatum: „Albo od tej chwili zrywasz wszelkie, absolutnie wszelkie kontakty z tą osobą, a mnie dajesz pełne prawo do kontroli twoich rozmów i korespondencji – albo spakuj walizki i dopóki tego nie przerwiesz, będę cię kochać na odległość. Nie możesz być pod moim dachem, prowadząc podwójne życie. Ja się na to nigdy nie zgody”. Jeśli romans dotyczy osoby, z którą współmałżonek pracuje w tej samej firmie, to powinno paść kategoryczne żądanie natychmiastowej zmiany pracy na inną. Wszystko, co ułatwia zdradzającemu małżonkowi trwanie w kontakcie z kochanką czy kochankiem, ułatwia też brnięcie w cudzołóstwo, a przez to utrudnia powrót do zdradzanego małżonka.

Jeśli żona czy mąż odkrywa, że współmałżonek ma „tylko” romans w sensie bliskości emocjonalnej z tą trzecią osobą, to żądanie zerwania wszelkich kontaktów z tą osobą nie musi mieć aż tak radykalnej formy. Jeśli natomiast w grę wchodzi cudzołóstwo i powtarzające się kontakty seksualne, to

zdradzany małżonek nie powinien nawet na dzień zgodzić się na podwójne życie współmałżonka. Konieczne jest wtedy bezwzględne ultimatum: albo natychmiastowe nawrócenie i zerwanie wszelkich kontaktów cudzołożnych – albo opuszczenie domu. Ktoś może powie: „Ależ ja ślubowałam czy ślubowałam, że nie opuszczę małżonka aż do śmierci! Jakże więc mogę zażądać, by opuścił nasz dom?!”. Wyjaśniam wtedy, że taka twarda postawa nie narusza złożonej przez nas przysięgi. To zdradzający nas małżonek nas opuszcza, gdy cudzołoży. Opuszcza nas także wtedy, gdy fizycznie pozostaje z nami pod jednym dachem, a może nawet w jednej sypialni. Tak postępując, rani nas jeszcze bardziej i daje nam pełne prawo do obrony. To nie zdradzany małżonek opuszcza cudzołożnika. To ten, który zdradza, opuszcza. A jeśli chce ten fakt ukryć przed otoczeniem, to jest jeszcze bardziej przewrotny od tego, który ponosi konsekwencje swoich grzechów. Gdy stawiamy ultimatum (nawrócenie albo opuszczenie domu na czas trwania w cudzołóstwie), to bronimy naszego małżeństwa. Zgoda współmałżonka na podwójne życie męża czy żony na długą metę doprowadzi do jeszcze bardziej radykalnego kryzysu niż stosowanie zasady: zero tolerancji dla łamania przysięgi małżeńskiej.

Jeśli współmałżonek jest na razie w głębokim kryzysie i trwa w grzechach ciężkich, to nam w tym momencie pozostaje tylko stanowcza obrona. Jeśli żona wie o podwójnym życiu wiarałomnego męża, a mimo to nadal mu pierze, gotuje, sprząta, a może nawet – co czasem się zdarza – współżyje z nim, to tym samym tworzy mu komfort cudzołożenia i odbiera mu motywację do nawrócenia! Samą siebie natomiast dodatkowo zadręcza. Niektóre żony, które są aż tak naiwne

czy emocjonalnie zastraszone, dorabiają sobie „pobożne” ideologie do swojej naiwności czy bezsilności. Wmawiają sobie w dobrej wierze, że czynią to z wielkiej miłości, albo dla dobra dzieci, czy dla dobra cudzołożnika, bo może on w tej sytuacji bardzo się wzruszy i zerwie z kochanką. Obiektywna prawda jest jednak inna. Tego typu postawa to pomaganie – oczywiście wbrew własnej woli – żeby błędzący mógł błędzić jeszcze bardziej. Mądry małżonek opiera się na obiektywnej prawdzie i stosuje zasadę: jeśli cudzołożysz, to czyn to na własne konto, bez mojej pomocy.

W jaki sposób powinniśmy postępować wtedy, gdy zdradzający małżonek wybrał tę trzecią osobę i zamieszkał z kochanką czy kochankiem? Może ma też już z tą osobą nieślubne dzieci. To są już sytuacje najtrudniejsze. Co w takiej sytuacji powinien zrobić małżonek zdradzony i opuszczony? Po pierwsze, powinien kochać dalej. Miłość jest bowiem bezwarunkowa i nieodwołalna. Bóg kocha mnie w taki właśnie sposób i ja też ślubowałem miłość na zawsze. Innej bowiem miłości nie ma. Po drugie, zdradzany małżonek nie powinien się mścić. Nie powinien odpowiadać złem na zło. Po trzecie, zdradzany małżonek powinien trwać w miłości i wierności małżeńskiej. Po czwarte, powinien rozwijać się intelektualnie, emocjonalnie, moralnie, duchowo, społecznie, religijnie. Nie powinien biernie czekać na nawrócenie i powrót tego, kto zdradził i odszedł.

Mądre przeżywanie sytuacji opuszczenia przez niewiernego małżonka to powinien być czas osobistego wzrastania. Małżonek opuszczony i trwający w wierności małżeńskiej powinien jeszcze bardziej zbliżyć się do Boga. Powinien wejść do jakiejś katolickiej grupy formacyjnej. Najbardziej pomocne będzie

włączenie się do ogniska „Sychar”. Błogosławieństwem będzie praca nad własnym charakterem i nad zamykaniem bolesnej przeszłości z pomocą Programu Dwunastu Kroków – „Wreszcie żyć”. Dzięki podjęciu tego typu form pracy nad sobą to ten małżonek, który pozostał wierny, będzie coraz bardziej promieniował spokojem sumienia i pogodą ducha oraz pewnością, że trwanie w wierności małżeńskiej ma sens i jest błogosławione w każdej sytuacji. Boże wykorzystanie tego trudnego czasu osamotnienia sprawia, że jeśli zdradzający małżonek opamięta się i powróci, to zostanie współmałżonka znacznie dojrzałego i pogodniejszego niż przed odejściem.

Pogodnie trwając w wierności małżeńskiej i solidnie pracując nad swoim wszechstronnym rozwojem, warto wysyłać dyskretne komunikaty o sobie małżonkowi, który odszedł. Można w liście, na przykład z racji świąt czy rocznicy ślubu, wspomnieć o tym, że właśnie ukończyliśmy studia, czy że skończyliśmy dwuletnią pracę nad sobą w jakiejś grupie formacyjnej, że byliśmy na takiej czy innej pielgrzymce albo wycieczce, że odkryliśmy w sobie nowe pasje, hobby czy uzdolnienia. Można też wspomnieć o sukcesach naszych dzieci i o ich radości z tego, że jeden z rodziców poważnie potraktował zobowiązania, które płyną z przysięgi małżeńskiej i rodzicielskiej. Takie zwięzłe, a konkretne informacje, wysyłane raz na jakiś czas do niewiernego małżonka, budują naszą atrakcyjność w jego oczach i ułatwiają mu ewentualne podjęcie decyzji o radykalnym nawróceniu i powrocie.

Jakie są najczęstsze błędy, które popełniają małżonkowie wobec tych, którzy zdradzają? Pierwszy błąd to naiwność. Oto konkretny przykład. Mąż odszedł z kochanką i ma z nią nieslubne dziecko. Jest zamożny. Jego żona pozostaje mu wierna.

Wychowuje ich trójkę dzieci. Utrzymuje je z własnej pracy. Nie podaje niewiernego męża do sądu z wnioskiem o alimenty i ewentualnie o separację, jeśli okaże się ona konieczna, by te alimenty sąd przyznał. Zamiast takiej twardej obrony, popłakuje sobie codziennie. On drwi sobie z jej naiwności i nie pomaga finansowo z własnej woli. Niektóre kobiety w takiej sytuacji jeszcze co kilka dni dzwonią do niewiernego męża i błagają go, żeby wrócił. To jest naiwność wobec krzywdziciela i ponizanie siebie. Heroiczna, delikatna świętość ma moc poruszyć serca ludzi szlachetnych i świętych. Nie może mieć natomiast zastosowania wobec krzywdziciela, ponieważ on w tej fazie życia, w której się teraz znalazł, gardzi dobrocią nie tylko ludzką, ale też miłością samego Boga.

Inny typowy błąd ma miejsce wtedy, gdy zdesperowane żony próbują rozmawiać z kochankami swoich mężów z nadzieją, że przemówią im do serca, że one zlitują się nad prawowitą żoną i nad ślubnymi dziećmi swego kochanka. Takie nadzieje są zupełnie płonne. Przecież tamte kobiety dobrze wiedzą, co czynią i nadal trwają w cudzołóstwie. Poza tym to nie kochanka męża ani nie kochanek żony ślubował nam miłość, wierność i uczciwość, lecz nasz współmałżonek. Wyłącznie z nim mamy podejmować ewentualne rozmowy i wyłącznie współmałżonkowi mamy prawo przypominać, co nam ślubował.

Kolejny częsty błąd to wpadanie w drugą skrajność, czyli nie kierowanie się naiwnością, lecz zemstą. Błąd ten polega na powielaniu zachowań zdradzającego małżonka na zasadzie: „Ty poszedłeś z kochanką, to ja pójdę z kochankiem. Ty złamałeś przysięgę małżeńską, to ja też złamię! Jeszcze ci pokażę, jak to boli!”. Ta postawa jest osobistym dramatem tego, kto się mści i wchodzi na drogę grzechu. Dojrzały małżonek wie, że

współmałżonek nie ma prawa ranić, zdradzać, łamać przysięgi małżeńskiej. Jeśli to czyni, to daje nam prawo do skutecznej obrony, w skrajnych przypadkach do separacji włącznie. Nie daje nam prawa do łamania naszej własnej przysięgi małżeńskiej. Słuszna obrona ma odbywać się w sposób, który nie narusza Dekalogu i nie jest sprzeczny ze złożoną przez nas przysięgą małżeńską.

Od strony moralnej patrząc, lepiej być człowiekiem naiwnym niż łamać własną przysięgę małżeńską, gdyż naiwność jest słabością i znakiem niedojrzałości, lecz nie jest grzechem. Człowiek naiwny nie wie, że jest naiwny. Nie ulega naiwności świadomie i nie ma w tym grzechu. Naiwność nie zamyka drogi do zbawienia. Oczywiście wszyscy jesteśmy powołani do dojrzałości, a nie do naiwności. Lepiej jest jednak cierpieć z naiwności niż na skutek zdrady. Lepiej jest cierpieć na skutek niedojrzałości niż na skutek grzechu. Ten z małżonków, który łamie przysięgę jako drugi, nie ma ani o gram mniej ciężkiego grzechu niż ten, który zrobił to pierwszy. Grzechy innego człowieka nie usprawiedliwiają naszych grzechów. Ponadto, taka postawa mszczącego się, odpłacającego zdradą za zdradę współmałżonka jest skrajnym egoizmem: nie tylko łamię moją przysięgę małżeńską i zamykam sobie drogę zbawienia, ale jeszcze wciągam w ten dramat kolejną osobę – to w sumie już czwarta! – i dramatycznie pogarszam sytuację niewinnie cierpiących dzieci. Jeśli oboje rodzice zawiodą, gdzie znajdą pomoc i oparcie ich dzieci?

Co zatem robić, gdy tu i teraz nie ma szans, aby wspólnie rozwiązywać zaistniały kryzys, gdyż współmałżonek odszedł, cudzołoży i w tej fazie życia nie ma zamiaru się nawracać? Powinniśmy nadal tego winowajcę kochać, gdyż miłość jest

bezwarunkowa. Zwykle na razie nie jesteśmy w stanie okazywać naszą miłość w czynny sposób, gdyż postawa małżonka-krzywdziciela na to nie pozwala. Ojciec z przypowieści Jezusa okazywał marnotrawnemu synowi miłość na odległość dopóty, dopóki syn się nie nawrócił. Możemy co jakiś czas, zwłaszcza w dniu rocznicy zawarcia sakramentu małżeństwa, wysłać SMS-a typu: „Modłę się o to, żebyś respektował twoją przysięgę małżeńską i dzięki temu był szczęśliwy i mógł powrócić na drogę zbawienia”.

Niektóre kobiety mówią: „A może napiszę, że dziękuję mężowi za te lata, gdy ze mną był, gdy czynił coś dobrego?”. Zniechęcam do wysyłania tego typu komunikatów, gdyż Jezus wyjaśnia, że jeśli nasz bliski tu i teraz błądzi, to my tu i teraz mamy obowiązek go upominać i wskazywać drogi nawrócenia. Należy wysłać jeden najważniejszy komunikat: „Jeżeli mężu/żono nawrócisz się, to mój dom i moje serce pozostają dla ciebie otwarte”. Większość małżonków opuszczonych mówi mi, że teraz mają świadomość, że oni też nie byli idealami, że też mogli lepiej wypełniać przysięgę małżeńską, czy wcześniej oraz mądrzej reagować na pierwsze znaki kryzysu u męża czy żony. To oczywiście prawda, gdyż nikt z nas nie jest doskonałym Bogiem. Dobrze mieć pokorę i świadomość naszych własnych słabości, zaniedbań i win. To mobilizuje nas do pracy nad własnym charakterem i nad rozwojem duchowym tu i teraz. Należy jednak pamiętać, że istnieje hierarchia zła. Przed naszą niedojrzałością współmałżonek miał prawo się bronić, ale nie miał prawa nas zdradzać i łamać własnej przysięgi! Nie miał prawa łamać przykazań Dekalogu! Jeśli ma dojść do przeprosin i pojednania, to najpierw musi przeprosić ten, kto uczynił większe zło. Jeśli ofiara krzywdy przeprasza

pierwsza, to może niechęć utwierdzić krzywdziciela w poczuciu słuszności tego, co robi. Czasem to jakby dawać nóż atakującemu nas bandziorowi.

W tym kontekście wydaje mi się przydatne wyjaśnienie, które zwłaszcza odnosi się do kobiet. Otóż, wiele pań oskarża się z tego, że wprawdzie nie skrzywdziło jakimś złym czynem zdradzającego małżonka, ale wiele razy przeżywało w odniesieniu do niego agresję, żal, gniew czy wręcz nienawiść. Otóż, tego typu przeżycia, podobnie jak wszystkie stany emocjonalne, nie podlegają ocenie moralnej i nie są grzechem. W spowiedzi powszechnej mówimy: „że bardzo zgrzeszyłem myślą, mową, uczynkiem i zaniedbaniem”. Do zakresu grzechów nie wchodzi zatem uczucia i emocje. Możemy zgrzeszyć czynami i myślami, bo nad tym, co czynimy i co myślimy, mamy władzę. Emocje i przeżycia pojawiają się w nas bez pytania nas o zgodę (podobnie jak natrętne myśli). One są informacją o naszej sytuacji tu i teraz. Powinniśmy z naszych przeżyć wyciągać wnioski, na przykład takie, że musimy bronić się przed krzywdzicielem, gdyż inaczej popadniemy w rozpacz czy chorobę psychiczną. Nie musimy natomiast oskarżać siebie w sumieniu i przed Bogiem za to, co przeżywamy. Jezus jest samą świętością, a przecież przeżywał różne stany emocjonalne, w zależności od tego, jak postępowali ludzie wokół Niego. W Ogrójcu czuł trwogę, a na krzyżu wyraził w emocjach żal wobec Boga: *Boże mój, Boże mój, czemuś Mnie opuścił?* (Mt 27,46b).

Byłoby dziwne i wręcz nienormalne, gdyby zdradzany małżonek nie przeżywał żalu, smutku, gniewu, buntu, złości, a czasem wręcz nienawiści czy stanów emocjonalnej rozpacz. Ważne, żeby nie kierować się tymi przeżyciami w tym, co

mówimy i co czynimy. Wtedy jesteśmy ludźmi skrzywdzonymi i cierpiącymi, ale nie jesteśmy grzesznikami. Reagowanie emocjonalnym bólem na skrajnie bolesną sytuację życiową jest wręcz oznaką zdrowia psychicznego i duchowego! Nasze bolesne przeżycia w odniesieniu do krzywdziciela nie przekreślają, ani nie unieważniają naszej miłości do niego. Dopóki małżonek trwa w grzechu, pozostaje nam okazywanie miłości głównie przez modlitwę o jego nawrócenie oraz poprzez pracę nad własnym rozwojem duchowym.

Od niejednej kobiety słyszałem takie słowa: „Skoro mój mąż odszedł i jest już z inną kobietą, to ja się modłę, żeby on był chociaż z nią szczęśliwy!”. W obliczu tego typu stwierdzeń muszę twardo protestować. Przecież tego typu komunikaty wysyłane do zdradzającego nas małżonka są zachętą z naszej strony, żeby trwał w ciężkim grzechu i żeby szedł drogą potępienia. Żaden człowiek nie może być na tej drodze szczęśliwy. Niektóre kobiety próbują sobie wmówić, że są bardziej miłosierne i „lepsze” od Boga. W ten sposób czynią jednak gwałt na własnej psychice i na własnym duchu. Stają się niechcący krzywdzicielkami samych siebie. Przecież każda kobieta potwornie cierpi z tego powodu, że mąż zakpił sobie z niej, z dzieci, z Boga, z samego siebie i własnej przysięgi. Nie wolno lekceważyć własnego niezawinionego cierpienia. Nie wolno własnego cierpienia, ani też win krzywdziciela zasłaniać imitacją dobroci. Nie wolno życzyć cudzołożnikowi, żeby był szczęśliwy w cudzołóstwie. Trzeba natomiast mobilizować go do nawrócenia i odzyskania Bożej radości.

Naszą modlitwą, mądrością, miłością, trwaniem przy Bogu, pracą nad własnym charakterem, troską o dzieci i o los zdradzającego małżonka mamy podejmować naszą część

odpowiedzialności za małżeństwo i rodzinę. Czasem taka Boża postawa przynosi wspaniałe owoce nawrócenia winowajcy i powrotem do jedności małżeńskiej. W wielu innych przypadkach jednak – przynajmniej tu i teraz – tak się nie dzieje. Jak postępować w sytuacji, gdy nasze małżeństwo całymi latami pozostaje rozbite, gdyż zdradzający małżonek nie nawraca się i nie powraca? Naszym zadaniem jest trwanie w wierności małżeńskiej za wszelką cenę i w heroiczny, jeśli trzeba, sposób.

Jeśli trwamy i wytrwamy w wierności, to ocalamy siebie. Jesteśmy wtedy błogosławieństwem dla naszych dzieci i dla Kościoła, ponieważ dajemy świadectwo, że można być heroicznie wiernym nauce Chrystusa wbrew wszystkiemu. Jesteśmy błogosławieństwem dla samych siebie, gdyż – trwając w wierności małżeńskiej – wступujemy na drogę świętości. Jesteśmy też wtedy błogosławieństwem dla niewiernego małżonka, gdyż dajemy mu maksymalną szansę na nawrócenie, powrót i odbudowanie małżeństwa. Kilka lat temu po rekolekcjach dla jednego z ognisk „Sychar” podeszli do mnie małżonkowie. Obydwoje mieli po około czterdzieści lat. Mąż trzymał w ramionach maleńkie dziecko. Ona i on opowiedzeli mi pokrótce ich historię. Jak się okazało, mąż kilkanaście lat temu odszedł do innej kobiety, zostawiając żonę z dwójką dzieci. W związku z kochanką mężowi urodziło się dziecko. Żona pozostała mu wierna. Trwała na modlitwie, wychowywała dzieci i pracowała nad swoim rozwojem. Po kilkunastu latach mąż się radykalnie nawrócił, przeprosił, wynagrodził. Żona przyjęła go wtedy z nową radością. Maleńkie dziecko było owocem ich ocalonego małżeństwa. Kobieta skomentowała na koniec ich historię: „Opłacało się czekać i wytrwać w wierności”.

Trzeba pamiętać, że Bóg każdego z nas będzie sądził wyłącznie z naszych własnych uczynków. Nie ma odpowiedzialności zbiorowej. To, co nazywamy naszą odpowiedzialnością za bliskich, to jest odpowiedzialność za naszą postawę wobec nich. Nie jesteśmy natomiast odpowiedzialni za ich sposób reagowania na naszą postawę lub za ewentualny brak reakcji. Bóg nie będzie wyciągał małżonkom średniej arytmetycznej. Może być tak, że jedno z małżonków pójdzie prosto do nieba, a drugie zupełnie gdzie indziej. Nie tylko od Ciebie zależy los Twojego małżeństwa, lecz także od współmałżonka. Ty masz ratować twoje małżeństwo w stu procentach – lecz od tej twojej strony. Jeśli zdradzający małżonek do końca swych dni doczesnych nie nawrócił się, nie powrócił, nie zadośćuczynił i umiera przed tobą, to nawet wtedy możesz mieć nadzieję na jego zbawienie. Ostatnią szansę na nawrócenie i zbawienie ma bowiem każdy z nas w procesie umierania. To dlatego wolno nam modlić się z nadzieją także za tych, którzy umierają w grzechu ciężkim. Tego uczy Kościół i o tym świadczą świadectwa osób, które przeszły częściowo przez proces umierania, doświadczając tak zwanej śmierci klinicznej. Potwierdzają oni, że w procesie umierania jest czas i możliwość świadomego żalu za grzechy i nawrócenia. Jeśli zatem twój współmałżonek zmarł, nie powróciwszy do ciebie, oznacza to, że przegrał życie doczesne, ale nie musi przegrać życia wiecznego. W procesie umierania dostał ostatnią szansę nawrócenia i mógł z niej skorzystać.

Najlepszą wersją pokonywania kryzysu małżeńskiego jest ta, którą przytoczyłem powyżej, gdy mąż powrócił do Boga, do żony, do dzieci i do wierności sobie oraz złożonej przez siebie przysięgi małżeńskiej. W takich przypadkach jesteśmy

naocznymi świadkami Bożej zasady, którą głoszą ogniska „Sychar”: każde małżeństwo sakramentalne jest do uratowania! Gdy zdradzający małżonek radykalnie nawraca się, gdy zaczyna kochać żonę/męża i dzieci bardziej niż przed wejściem w kryzys, to mamy wtedy kawałek nieba na ziemi. Kryzys małżeński prowadzi czasem do definitywnego rozpadu małżeństwa, gdy obie strony łamią własną przysięgę. Częściej na szczęście jest tak, że jedno z małżonków heroicznie trwa w wierności małżeńskiej. Najradośniejsze zakończenie jest wtedy, gdy heroiczna wierność jednej strony doprowadza do radykalnego nawrócenia współmałżonka i do pełnego odbudowania jedności i miłości małżeńskiej oraz rodzicielskiej.

W jaki sposób postępować, gdy zdradzający małżonek daje pierwsze znaki nawrócenia i chęci powrotu i gdy wprost prosi o rozmowę? Oczywiście warto się na taki kontakt i na rozmowę zgodzić. Rozsądnie jest spotkać się wtedy najpierw na terenie neutralnym, na przykład na spacerze czy w kawiarni. Nie jest rozsądne zgadzanie się na pierwszą rozmowę w naszym domu. To może być owocem kolejnych rozmów, jeśli już wyraźnie widzimy radykalne nawrócenie małżonka. Jeśli małżonek, który odszedł, wyraźnie deklaruje, że pragnie pojednania i powrotu, to trzeba ze swej strony okazać otwarcie na taką możliwość. Warto szczerze zakomunikować swoje przeżycia: „Na początku, gdy mnie porzuciłeś, świat mi się zaczął walić i ból był nieznośny. Mimo to pozostałem wiernym temu, co przysięgałem. Teraz, gdy widzę, że się zmieniasz i nawracasz, to cieszy mnie twoja postawa, twoja przemiana. To łagodzi moje zranienia z przeszłości. Chcę jednak jasno określić, jakie są moje warunki twojego powrotu. Po pierwsze, musisz całkowicie zerwać z tamtą osobą. Nie tylko masz przestać z nią

współżyć, ale też przestać z nią mieszkać. Jeśli masz z nią dzieci, to zacznij płacić uczciwe alimenty. Możesz na razie wynająć jakąś kawalerkę czy zamieszkać u rodziców. Po drugie, musisz uregulować swoje relacje z Bogiem, pojechać na zamknięte rekolekcje, odbyć spowiedź generalną. Po trzecie, oczekuję, że rozpoczniesz systematyczną pracę nad sobą, na przykład w oparciu o program Dwunastu Kroków. Jeśli będę widzieć, że spełniasz te wszystkie warunki, to moje zaufanie do ciebie będzie rosnąć i któregoś dnia z radością zgodzę się na to, żebyś wrócił do domu”.

Kilka lat temu zgłosili się do mnie małżonkowie po przejściach. Ich pierwsza wizyta była wręcz bardzo radosna. On wyjaśnił, że kilkanaście lat temu zaczął prowadzić podwójne życie. Spotykał się z kochanką, mieszkając z żoną i córką. Kochanka zaszła w ciążę. Gdy sprawa się wydała, żona trafiła z zawałem do szpitala, a córka, już wtedy osiemnastoletnia, początkowo nie chciała nawet rozmawiać z ojcem. On jednak opamiętał się i okazał stanowczą i szczerą wolę przerwania grzesznego związku. Poprosił żonę i córkę o jeszcze jedną szansę i dostał ją. Odszedł od kochanki, a gdy ta dzwoniła i próbowała wymusić kontakt, telefon pozwalał odbierać żonie lub córce. Dał im też pełen wgląd do swojej korespondencji, e-maili, SMS-ów, bilingów. Wkrótce tamta kobieta zrozumiała, że nie ma już żadnych szans na dalszy romans i nie próbowała już szukać kontaktu z eks-kochankiem. W kilka miesięcy po rozstaniu kochanka urodziła syna. Ojciec dziecka zaczął płacić uczciwe alimenty i konsekwentnie nie miał już żadnego kontaktu z eks-kochanką. Od tamtej pory zaczął okazywać miłość żonie i córce tak ofiarnie i czule, jak nigdy wcześniej. Oto miałem przed sobą jedno z najbardziej szczęśliwych małżeństw, jakie

kiedykolwiek poznałem. Obydwoje ci małżonkowie przyjechali do mnie po to, by podzielić się radością ze swojego odzyskanego małżeństwa i szczęścia. Pragnęli też złożyć świadectwo, by dać nadzieję innym małżonkom w kryzysie.

Sprawa zaczęła się komplikować rok później. Ów mężczyzna poprosił mnie znowu o rozmowę. Tym razem przyjechał sam. Był nerwowy i niespokojny. Powiedział: „Mam poważny problem. Ksiądz zna całą historię mojego życia. Za kilka miesięcy mój nieślubny syn, który urodził mi się kilka miesięcy po tym, jak odszedłem od kochanki, niedługo przystąpi do pierwszej Komunii świętej. Ja oczywiście cały ten czas, przez wszystkie lata uczciwie płaciłem alimenty. Moja żona się na to zgadzała. Nigdy jednak nie widziałem tego dziecka, ani ono mnie. Jednak teraz moje sumienie, mój instynkt ojcowski każe mi poszukać kontaktu z synem, którego dotąd nie widziałem. Jestem w rozterce. Mam taki pomysł, żeby pojechać na tę I Komunię, podejść do syna i powiedzieć mu, że jestem jego tatą, że przepraszam go za moją nieobecność przez te lata jego życia i że go kocham. Mam też pomysł, żeby poprosić jego matkę, telefonicznie, bez kontaktu osobistego z nią, o możliwość brania chłopca na spacer w soboty. Co Ksiądz o tym myśli?”

Odpowiedziałem bez chwili wahania i bez żadnej wątpliwości: „Błagam, niech Pan tego nie robi! Niech się Pan nie pojawia na I Komunii synka i niech Pan się z nim nie spotyka. Niech się Pan modli za niego, w tym samym czasie będzie na Eucharystii, ale w innym kościele. Może Pan zamawiać Msze święte za Pana synka i jego matkę. Jednak proszę nie szukać bezpośrednich kontaktów z nim i z dawną kochanką. Jeśli Pan mnie nie posługa, to nic dobrego Pan nie osiągnie, a dojdzie do wielu dramatów. Po pierwsze, dla Pana żony będzie to bolesne

odnowienie ran sprzed lat. Wtedy wylądowała w szpitalu w staniach przedzawałowych. Teraz ból może być jeszcze większy. Miłość małżeńska zawsze, ale to zawsze, ma pierwszeństwo przed miłością rodzicielską. Nie wolno Panu godzić w miłość małżeńską nawet wtedy, gdyby chodziło o ślubne dziecko. Po drugie, Pana ślubna córka po raz drugi poczuje się zraniona. W niej też odnowią się rany z przeszłości. Po trzecie, będzie Pan tego synka rozpieszczał, chcąc mu wynagrodzić lata nieobecności. Będzie Pan w jego życiu tylko na sobotnich spacerach. Cały ciężar wychowania i tak będzie spoczywał na jego matce. Pan nie będzie z nim odrabiał lekcji, ani reagował na jego złe zachowanie. Pan będzie się tylko z nim bawił i dawał mu coraz droższe prezenty. Nie pomoże to nic w jego wychowaniu, a jedynie wprowadzi zamęt do jego dotychczasowego życia. Po czwarte, tamta kobieta zrobi wszystko, żeby Pana „odzyskać”, czyli wciągnąć znowu w cudzołóstwo. Będzie w tym celu używać waszego synka. Pojawiając się w ich życiu, Pan sam da tej kobiecie okazję do tego, żeby znów Pana kusiła. Po piąte, synek będzie cierpiał z tego powodu, że Pan nie okazuje miłości jego mamie. On sam, nawet nie przymuszany przez matkę, będzie Pana prosił o to, by wszedł Pan do jej domu, by ją przytulił, by zabrał na wspólny spacer, bo takie pragnienie leży w naturze dziecka. Po szóste, Pana ta nowa sytuacja będzie niszczyć fizycznie, psychicznie i duchowo. Stanie się Pan wrakiem”.

Ów mężczyzna wysłuchał wszystkich tych moich argumentów. Stwierdził, że mam dużo racji, że on to wszystko przemyśli, ale chyba jednak zaryzykuje i podejmie kontakt z nieślubnym dzieckiem. Tak też uczynił. Po kilku miesiącach znowu poprosił mnie o rozmowę. Przyjechał. Był wrakiem człowieka. Wyglądał na kogoś, kto w kilka miesięcy postarzał się o wiele

lat. Przyznał ze łzami w oczach, że wydarzyły się te wszystkie dramatyczne sytuacje, przed którymi go ostrzegałem. Już po pierwszym spotkaniu z synkiem, żona wyładowała w szpitalu. Gdy on był bowiem na spacerze z nieślubnym dzieckiem, dawna kochanka wysłała do jego żony SMS-a o treści: „Wygrałam! Twój mąż do mnie wrócił!”. Ślubna córka oznajmiła ojcu, że tym razem już nigdy mu nie przebaczy. Z kolei dla nieślubnego synka kontakty z tatą stały się miejscem rozpieszczania. Z każdym kolejnym spotkaniem chłopczyk stawał się coraz bardziej niegrzeczny, arogancki, agresywny.

Opisuję tę historię tak szczegółowo po to, żeby dać konkretne argumenty tym z czytelników, którzy staną przed podobnymi dylematami małżonka, który powrócił, lub gdy on sam stanie przed tego typu wątpliwościami, czy pierwszeństwo ma miłość małżeńska, czy też może jednak miłość rodzicielska. Oczywiście wiem, że uznając bezwzględne pierwszeństwo miłości małżeńskiej, cierpieć będą na tym niewinne dzieci nieślubne. Jednak prawdziwa miłość do dzieci przejawia się właśnie w tym, że dorośli wykluczają cudzołóstwo i przekazywanie życia dzieciom nieślubnym, bo wiedzą, że w każdej wersji los takiego dziecka będzie bolesny.

Wyjątkowo skomplikowana sytuacja ma miejsce wtedy, gdy stroną, która odeszła i zdradza, jest żona. Wówczas możliwości są dwie: żona, chcąc powrócić do męża, musi albo zostawić dzieci zrodzone poza małżeństwem z ich ojcem, albo – jeśli mąż wyrazi taką gotowość – może wychowywać je w małżeństwie, do którego powraca. Musi wtedy radykalnie zerwać wszelkie więzi z dawnym kochankiem. Oczywiście postawa męża będzie w dużym stopniu zależała od stopnia przemiany powracającej żony. Im bardziej radykalne będzie jej nawrócenie oraz im

większą miłość będzie okazywała mężowi po nawróceniu, tym większe jest prawdopodobieństwo, że mąż, który nie przestał kochać i pozostawał wierny niewiernej żonie, szczerze przyjmie jej dzieci do domu i do serca, uznając je za swoje.

Najbardziej trudna i skrajnie skomplikowana sytuacja ma miejsce wtedy, gdy obydwójce małżonkowie dopuścili się zrad. Bywa tak, że mąż opuścił żonę i dzieci, związał się z kochanką, która z kolei opuściła swojego męża, zabierając ze sobą swoje ślubne dzieci do nowego związku. Następnie z tego cudzołożnego związku narodziły się kolejne dzieci. Podobnie żona męża, który odszedł, nie była mu wierna. Ona też związała się z kochankiem. Czasem bywa to mężczyzna żonaty, który opuścił swoją małżonkę i dzieci. Również w obliczu tak skomplikowanych sytuacji jedynym zgodnym z wolą Boga rozwiązaniem jest radykalne nawrócenie i powrót do wierności Bogu, sobie i niewiernemu – w tej fazie życia – małżonkowi. Uniwersalną zasadą w każdym przypadku, dotyczącym sakramentalnych małżonków, jest wypełnianie własnych zobowiązań, wynikających ze złożonej przysięgi małżeńskiej. Małżonkowie, żyjący w związkach cudzołożnych, dają sobie szansę na powrót do siebie wtedy, gdy przynajmniej jedno z nich opuszcza kochanka i to także wtedy, gdy pojawiają się nieślubne dzieci. Nie dają sobie szansy na nawrócenie i na powrót do wierności, jeśli tkwią w tych drugich związkach. Nie dają też szansy swoim kochankom, by i ci się nawrócili i powrócili do swoich prawowitych małżonków.

W książce *Sychar. Znowu razem*¹⁴, Anna daje świadectwo o swojej historii. Odeszła od swojego niesakramentalnego

¹⁴ www.znowu-razem.sychar.org, www.ania-i-andrzej.sychar.org lub www.aa.sychar.org

partnera, z którym miała trójkę dzieci, a to doprowadziło do pojednania z jej sakramentalnym mężem, który był w tym czasie w drugim związku z inną kobietą, z którą miał dziecko. Wychodząc z trójką dzieci z niesakramentalnego związku, Anna nie miała pewności, że jej mąż zrobi to samo, co ona, że zechce opuścić kochankę i że wróci do żony. Swojego wyjścia nie uzależniała od zachowania jej męża, lecz od woli Boga, który chce, byśmy byli wierni podjętym przez siebie zobowiązaniom. Anna liczyła się z tym, że może spędzić resztę życia w pojedynkę, kochając na odległość męża. Taka postawa bardzo uwiarygodniła ją w oczach męża. Uwiarygodniła również jej nawrócenie. Opuszczając niesakramentalny, grzeszny związek, rozpoczęła w realny sposób proces pojednania się z sakramentalnym mężem, który w momencie, gdy wychodziła z grzesznego związku, nie myślał o pojednaniu z nią.

Bezwzględnym warunkiem, by otworzyć sobie drogę do pojednania z sakramentalnym małżonkiem, jest wyjście z niesakramentalnego, cudzołożnego związku. Nawet trwanie w tak zwanym „białym związku” nadal jest zdradą Boga, małżonka i złożonej przysięgi, gdyż zdrada nie ogranicza się tylko do sfery seksualnej. Ponadto narzeczeni ślubują sobie przecież nie tylko wierność, ale także okazywanie sobie wzajem miłości z bliska: „i że cię nie opuszczę”. „Biały związek” oznacza, że osoby w nim trwające nadal nie wypełniają przysięgi i nadal ranią Boga i sakramentalnego małżonka. Jedynym dobrym rozwiązaniem jest wyjście z grzesznego związku. Wtedy mamy do czynienia z jasnym sygnałem nawrócenia i z faktyczną pomocą, by współmałżonek, który jest w drugim związku, również się nawrócił i powrócił do pierwotnych zobowiązań.

Kolejny problem pojawia się wtedy, gdy małżonek opuszczony trwa w wierności, a dzieci, które samotnie wychowuje, stają się dorosłe i zamierzają zawrzeć związek małżeński. W tej sytuacji syn czy córka ma prawo zaprosić niewiernego rodzica na swój ślub sakramentalny. Warunkiem zaproszenia jest jednak to, że tata czy mama przyjdzie na mój ślub bez nowego „partnera”. Jeśli na przykład ojciec powie, że chce przyjść z nową „żoną”, to należy powiedzieć twardo: „Nie! Albo przyjdiesz sam, albo nie przychodz wcale!”. Jeśli dziecko nie do końca rozumie, dlaczego powinno zachować taką twardość, to rodzic, który pozostał wierny, powinien precyzyjnie wytłumaczyć, o co tutaj chodzi. Chodzi mianowicie o to, żeby niewierny rodzic nie zakpił sobie z sakramentalnego ślubu syna czy córki. Trzeba twardo wyjaśniać: „Moje dziecko, nie kpij sobie z własnego ślubu! Jeśli pozwolisz, żeby na twój sakramentalny ślub ojciec przyszedł ze swoją kochanką, to tym samym dasz jasny komunikat, że za nic masz tę przysięgę, którą złożył, bo zapraszasz kogoś, kto taką przysięgę złamał i dajesz jeszcze temu komuś prawo przyjścia z kochanką, czyli z widzialnym dowodem łamania przysięgi małżeńskiej. Jaką zatem wartość przykładasz do tej przysięgi? Żadną!”.

Dla przykładu, jeśli, ślub bierze córka, a rodzicem zdradzonym jest mama, to powiedz, mamó, swojemu dziecku: „Córeczko, jeśli zaprosisz na swój ślub tatę z kochanką, to tak, jakbyś mówiła twojemu narzeczonemu, że wprawdzie on teraz ci przysięga, że cię nie zdradzi i nie opuści, ale dajesz mu prawo, żeby tę przysięgę złamał, żeby od ciebie odszedł, żeby kiedyś związał się z inną kobietą, bo ty to przecież akceptujesz! Twój tata tak właśnie postąpił, a ty pozwalasz, żeby udawał, iż nic się nie stało i żeby na twoim weselu bawił się z kochanką,

czyli żeby kpił z uroczystości, w której bierze udział”. Jest nie do pomyslenia, żeby na uroczystą Mszę świętą, na której narzeczeni składają sobie przysięgę wiernej i nieodwołalnej miłości, zapraszać kogoś z kochankiem czy kochanką, czyli kogoś, kto publicznie potwierdza, że nadal, tu i teraz, kpi sobie z sakramentalnej przysięgi małżeńskiej, z własnych zobowiązań i z samego Boga.

A jak postępować w sytuacji, gdy dorosłe już dziecko nie myśli o zawarciu sakramentalnego małżeństwa, lecz zaprasza rodziców na tak zwany „ślub cywilny”. Wtedy należy stanowczo odmówić i nie brać udziału w tej farsie. Oczywiście wcześniej należy precyzyjnie wyjaśnić przyczynę naszej stanowczej odmowy. Otóż, kontrakt cywilny zwany „ślubem” cywilnym jest nie tylko oficjalnym publicznie ogłoszonym początkiem grzesznego konkubinatu, lecz jest też fikcją prawną. Po pierwsze, w ogóle nie pada tam słowo „miłość”, ani „wierność”. Prawo państwowe nie może bowiem nikogo zobowiązywać do miłości. Osoby podpisujące kontrakt cywilny deklarują jedynie, że dołożą starań, aby ich związek był udany. Nie jest jednak sprecyzowane, o jakie starania chodzi. Czy jeśli cywilny „mąż” w którymś momencie zacznie „żonę” bić, to ich związek jest udany? Sporo mężczyzn uważa, że tak. Po drugie, jeśli jedna ze stron nie wywiąże się z tego, co podpisuje, a druga strona udowodni to w sądzie, to na przykład zdradzający „mąż” nawet nie dostanie mandatu, nie mówiąc już o karze więzienia. A przecież złamał umowę zawartą na piśmie! Oto cała fikcja prawna!

Nawet jeśli kobieta udowodni w sądzie, że jej cywilny „mąż” doprowadził ją do stanów lękowych, nerwicy, zawału, bo dołożył wszelkich starań, żeby ich związek był nieudany, a sąd

to wszystko uzna i orzeknie rozwód z winy „męża”, to i tak nie poniesie on żadnej kary. Co więcej, jeśli przyjdzie do tego samego urzędu z nową kobietą, to urząd ten pozwoli zawrzeć mu następny związek cywilny. A później ewentualnie kolejny, po kolejnym rozwodzie orzeczonym z jego winy. Jeśli będziemy te zasady wyjaśniać córce, to może ona negować fikcyjność umowy cywilnej i twierdzić, że przecież jeśli urodzą się dzieci, a „mąż” cywilny odejdzie, to będzie musiał płacić alimenty. Tak, ale to nie wynika z kontraktu cywilnego, lecz z kodeksu rodzinnego. Ojciec dziecka musi płacić alimenty także wtedy, gdy nie ma ślubu cywilnego z matką jego dzieci.

Pora na kilka słów podsumowania. Podaję powyżej bardzo twarde i jednoznaczne zasady. One nie wynikają z moich przekonań, lecz z nauczania Jezusa. To Syn Boży wyjaśnia, że małżonkowie ślubują sobie miłość nieodwołalną i że miłość małżeńska ma pierwszeństwo przed wszystkimi innymi formami miłości, w tym także przed miłością rodzicielską. Kobieta, która współżyje z nie swoim mężem, musi się godzić – czy jej się to podoba, czy nie – na to, że może zostać matką samotnie wychowującą dziecko. Miłość małżeńska jest sakramentalna, a miłość rodzicielska taką miłością nie jest. Z miłości małżeńskiej mają rodzić się dzieci, które rodzice przyjmują z miłością, wychowują i puszczają w świat, a sami okazują sobie nadal miłość małżeńską – z bliska i aż do śmierci. Należy być wiernym powyższym zasadom, a resztę zawierzyć Bogu.

Zasada pierwszeństwa miłości małżeńskiej przed rodzicielską musi być zastosowana bezwzględnie, czyli również w takim przypadku, gdy z sakramentalnego małżeństwa nie urodziły się dzieci, natomiast zostały zrodzone w związku cudzołożnym. Także i wówczas małżonek, który chce się

nawrócić, ma obowiązek opuścić kochankę/kochanka i powrócić do bezdzietnego współmałżonka sakramentalnego. W encyklice św. Jana Pawła II *Familiaris Consortio* ta kwestia wydaje mi się niewystarczająco doprecyzowana. Czytamy tam o przypadku, gdy powrót do zdradzonego małżonka nie jest możliwy na przykład ze względu na wychowywanie dzieci w nowym związku. Powrót do sakramentalnego małżonka – jeśli ten trwa w wierności i jest gotów na pojednanie – jest zawsze możliwy i jest zawsze wymogiem moralnym.

Ja, kapłan katolicki, nie mogę udzielić rozgrzeszenia człowiekowi, który już nie współżyje wprawdzie z kochanką czy kochankiem, ale jeszcze nie powrócił do małżonka, który trwa w wierności i czeka na powrót współmałżonka. Narzeczeni ślubują sobie bowiem nie tylko wierność, lecz także to, że siebie nie opuszczą. Jeśli ktoś już nie cudzołoży, ale jeszcze nie wraca do sakramentalnego małżonka, który na niego czeka, to nadal ma drugi grzech ciężki, bo zaniedbuje okazywanie małżonkowi miłości z bliska. Jeśli natomiast jego współmałżonek nie czeka na niego (bo sam na przykład jest w drugim związku albo nie chce pojednania), to aby otrzymać rozgrzeszenie bez powracania do sakramentalnego małżonka musi nie tylko przestać już współżyć, ale opuścić cudzołożny związek. Jeśli obydwójce małżonkowie wyszli z cudzołożnych związków, to ten dostanie rozgrzeszenie, który będzie otwarty na pojednanie i powrót do jedności małżeńskiej.

W tym miejscu poruszę sprawę, która bardzo mocno mi leży na sercu. Od kilkunastu lat stanowczo rozmawiam z księżmi, którzy organizują duszpasterstwa osób żyjących w związkach niesakramentalnych i czasem nazywają takie związki „małżeństwami”. Moja wrażliwość i wyostrzona

świadomość w tym względzie zaczęła się kilkanaście lat temu. Przyszła wtedy do mnie pewna kobieta i opowiedziała swoją historię. Oto jej mąż, bardzo bogaty człowiek, odszedł od niej i związał się z kochanką. Przed sądem ona stanowczo walczyła o to, żeby nie doszło do rozwodu. Niestety sąd stanął po stronie jej męża, który chciał rozwodu. Sąd stanął zatem po stronie tego małżonka, który złamał sakramentalną umowę małżeńską, mimo że ta umowa uznawana jest przecież także przez polskie państwo. Ponadto mąż oszukał sąd, bo zataił przed nim większość swoich dochodów. W konsekwencji sędzia przyznał na opuszczone dzieci jedynie bardzo niskie alimenty. Ten właśnie niewierny i bezlitosny dla żony oraz dzieci mąż i ojciec wkrótce włączył się w swojej parafii do duszpasterstwa osób żyjących w związkach niesakramentalnych. Okazało się, że szybko stał się pomocnikiem i prawą ręką kapłana, który prowadził tę grupę przy parafii. Jeździł z tym księdzem po Polsce i opowiadał o tym, jaka to miłość i wierność panuje w związkach niesakramentalnych.

Postanowiłem pojechać do tamtego księdza i osobiście z nim rozmawiać. Wcześniej poszedłem na Eucharystię, którą odprawiał ów ksiądz dla osób żyjących w związkach cudzołożnych. W czasie obrzędów Komunii świętej do księdza podchodziły pary kochanków. Każdą z tych par ksiądz uroczyście błogosławił wielką hostią. Po Mszy świętej, przez kilka godzin rozmawiałem z owym kapłanem. Pomimo moich bardzo silnych argumentów on uparcie trwał przy swoim. Jakiś czas później napisał artykuł – opublikowany w katolickim tygodniku! – pod takim oto tytułem: „Żeby się nie rozwiedli drugi raz”¹⁵. W tekście wyjaśnił, że stara się pomagać, aby „choć te drugie

¹⁵ Zob. <http://bit.ly/2TSyPuF>

małżeństwa były dobre”! W ten sposób ów ksiądz publicznie przyznaje, że wspiera ochrzczonych w tym, aby trwali w cudzołóstwie, zamiast motywować ich do nawrócenia!

Opisuję przypadek tego księdza dlatego, żeby w sytuacji, gdy ktoś z czytelników tej książki stanie przed koniecznością poważnej rozmowy z księdzem, który ma równie wypaczone spojrzenie na duszpasterstwo osób żyjących w związkach niesakramentalnych, jak wspomniany ksiądz, miał gotowe argumenty do rozmowy z takim kapłanem. Poważnym błędem jest zaczynanie troski o małżeństwa przeżywające kryzys od duszpasterstwa tak zwanych „małżeństw” niesakramentalnych. Pierwszym zadaniem kapłanów jest otoczenie duszpasterską troską małżonków zdradzonych i opuszczonych, którzy trwają w wierności małżeńskiej. Takie osoby trwają w heroicznej miłości. Są żywym dowodem na to, że jeśli mąż czy żona dopuszcza się zdrady, to nie znaczy, że współmałżonek uczyni to samo i też wejdzie na drogę grzechu. Przeciwnie, w Polsce większość małżonków opuszczonych trwa w wierności małżeńskiej. Takie osoby są godne najwyższego szacunku. Są znakiem nadziei dla współczesnego świata, że istnieją jeszcze osoby zdolne do heroicznej wierności i że takich osób jest dużo!

Jezus najpierw chronił i wspierał, chronił osoby krzywdzone, odrzucone i w każdej sytuacji trwające przy Bogu. A krzywdzicieli stanowczo upominał i równie stanowczo wzywał do nawrócenia. Wyobraźmy sobie, co przeżywa opuszczona, wierna niewiernemu mężowi parafianka, która słyszy, że proboszcz tworzy duszpasterstwo osób żyjących w związkach cudzołożnych, a jej istnienia nawet nie zauważa. Wyobraźmy sobie, jak cierpią nastoletnie dzieci takiej kobiety, gdy słyszą z ambony ogłoszenie, iż w parafii właśnie zostaje tworzona grupa

wsparcia dla ludzi żyjących w cudzołóstwie – jak ich ojciec – a księża nie tworzą żadnej grupy wsparcia dla ich heroicznie kochającej mamy, która pozostaje wierna przysiędze małżeńskiej i która ratuje te dzieci przez skrajnym cierpieniem? Jeśli kapłani chcą prowadzić duszpasterstwo osób żyjących w cudzołóstwie, to najpierw powinni tworzyć grupy wsparcia dla małżonków opuszczonych i trwających w wierności małżeńskiej, bo to wynika z elementarnej wrażliwości i z naśladowania Chrystusa, który ludziom krzywdzonym okazywał największą bliskość i wsparcie. Na razie można odnieść wrażenie, że w Kościele w Polsce milczy się na temat osób – w większości kobiet – które toczą heroiczną walkę o trwanie w wierności i czystości, mimo że małżonek łamie swoją przysięgę i odchodzi z kochanką czy kochankiem. Patrząc na dominujące obecnie formy duszpasterstwa małżeństw w kryzysie, zdecydowanie łatwiej dowiemy się, że istnieją ci, którzy złamali swoją przysięgę, niż że istnieją ci, którzy z heroiczną wytrwałością pozostają wierni temu, co przysięgali.

Zbyt rzadko też mówimy o tym, że Kościół nie uznaje rozwodów, a jednocześnie nie tylko uznaje, ale wręcz wprowadza instytucję separacji małżeńskiej. Kościół nigdy nie uznaje rozwodów z tego oczywistego powodu, że Kościół poważnie traktuje człowieka, który złożył przysięgę małżeńską. Także wtedy, gdy ów człowiek nie traktuje poważnie własnej przysięgi. Kościół nigdy nie będzie lekcewał faktu, że małżonek, który lekcewał przysięgę małżeńską, lekcewał nie tylko siebie, współmałżonka i dzieci, ale też lekcewał samego Boga, którego wziął na świadka swojej przysięgi. Z drugiej strony Kościół ustanawia instytucję separacji małżeńskiej, gdyż równie poważnie jak przysięgę małżeńską, traktuje cierpienie

zdradzanego czy w inny sposób krzywdzonego współmałżonka. Jeśli krzywdzony małżonek występuje do sądu o separację cywilną po to, by bronić siebie i dzieci przed drastycznymi cierpieniami, ale krzywdzący małżonek doprowadzi do rozwodu, to strona krzywdzona nie powinna nigdy przedstawiać się jako osoba po rozwodzie. Jest to bowiem szlachetna osoba, która trwa w małżeństwie, trwa przy Bogu, może przystępować do Komunii świętej, a formalny status osoby rozwiedzionej ma na skutek przewrotnego działania współmałżonka oraz na skutek krzywdy, jaką wyrządził tej osobie niesprawiedliwy sędzia.

Małżonek drastycznie krzywdzony ma moralne prawo do sprawdzenia, czy jego małżeństwo zostało zawarte w ważny sposób. Rzadko współmałżonek wpada w głęboki kryzys dopiero po ślubie, mimo że przed ślubem był człowiekiem szlachetnym i dojrzałym, chociaż i taka sytuacja jest oczywiście możliwa. Znacznie częściej dzieje się jednak tak, że w trakcie małżeństwa odsłania się poważny kryzys, jaki małżonek przeżywał jeszcze przed zawarciem małżeństwa, lecz zdołał ukryć czy zataić przed narzeczoną czy narzeczoną swoją kryzysową przeszłość i swoją poważną niedojrzałość w czasie zawierania sakramentalnego małżeństwa. Zobowiązania, jakie podejmują niedoskonali przecież ludzie, mogą być w określonych sytuacjach nieważne. Odnosi się to również do sakramentów nieważnie przyjmowanych. Mówimy wtedy o świętokradztwie.

Powyższa, teoretyczna zasada, musi być jednak konfrontowana z motywacjami, jakimi kierują się ci małżonkowie, którzy decydują się na skierowanie do sądu kościelnego wniosku o zbadanie, czy ich małżeństwo było ważnie zawarte.

Składanie wniosku do sądu biskupiego – jako czyn ludzki – ma wartość moralną, która nie zależy tylko od przedmiotu czynu (proces stwierdzania nieważności), ale również od intencji i okoliczności. Dlatego nie można zrezygnować z oceny moralnej złożenia wniosku do sądu biskupiego, biorąc pod uwagę intencje małżonka składającego wniosek i okoliczności złożenia tego wniosku. W ocenie intencji ważne jest rozeznanie, czy złożenie wniosku nie jest próbą moralnego usprawiedliwienia cudzołóstwa przez usunięcie „przeszkody sakramentu”. Czy sam fakt bycia w cudzołożnym związku nie ma wpływu na intencje małżonka składającego wniosek i czy nie jest to w jakiś sposób dwuznaczne moralnie? Żeby rozeznąć, jakie są prawdziwe intencje składania wniosku, warto postawić sobie następujące pytania:

- Czy złożenie wniosku o stwierdzenie nieważności małżeństwa nie wynika z braku zaufania do Boga, że ma On moc rozwiązać każdy kryzys małżeński i że dzięki współpracy z Bogiem można mieć nadzieję na uzdrowienie każdego małżeństwa?

- Czy małżonek nie kieruje się zranionym sercem, spowodowanym krzywdą ze strony współmałżonka, na przykład długotrwałą zdradą, której nie przebaczył jeszcze w swym sercu?

- Czy małżonek, składający wniosek, ma jasną świadomości znaczenia złożonej przez siebie przysięgi małżeńskiej?

- Czy składający wniosek małżonek kieruje się raczej chęcią ułożenia sobie życia z kimś innym niż naprawą własnego małżeństwa?

- Co się wydarzyło takiego w relacji małżeńskiej, że wcześniej małżonek nie miał wątpliwości co do ważności swojego związku, a teraz je ma?

- Czy złożenie wniosku nie jest ucieczką od trudności, kryzysu, samotności i od trudu wzrastania w ofiarnej miłości na wzór Chrystusa?

Drugim – obok motywacji – kryterium oceny wniosku o stwierdzenie nieważności, są okoliczności, czyli analiza skutków, jakie rodzi złożenie wniosku i ewentualny wyrok, stwierdzający nieważność małżeństwa. Czy małżonek składający wniosek do sądu biskupiego, który wcześniej zdradzał swoją żonę i zdradza ją dalej, trwając w cudzołożnym związku, nie będzie budził zgorszenia? Czy złożenie przez niego wniosku do sądu biskupiego nie będzie odebrane jako kolejny, skrajnie rażąco wyraz lekceważenia sakramentu małżeństwa?

Ważnym rodzajem moralnych skutków złożenia wniosku o stwierdzenie nieważności małżeństwa, są konsekwencje dla dzieci. Czy cierpienia dzieci po wyroku sądu biskupiego, stwierdzającego nieważność małżeństwa, są mniejsze niż cierpienia dzieci po orzeczeniu separacji czy rozwodu przez sąd cywilny?

W naszych czasach zauważa się coraz większą presję na „sprawdzanie” ważności sakramentu w sytuacjach kryzysu małżeńskiego. Tej presji ulegają nawet niektórzy członkowie wspólnoty „Sychar”, której charyzmat jest zorientowany na ratowanie małżeństwa na drodze nawrócenia, pracy nad własnym charakterem i wzrostu miłości do Boga oraz do małżonka. Kto nie chce ratować swojego małżeństwa, ten nie chce pełnić woli Boga, a jedynie próbuje uciekać od pracy nad sobą i od trudnych sytuacji, a dąży do tego, żeby otworzyć sobie drogę do nowego związku. Nawet w skrajnych przypadkach, gdy dany związek małżeński został zawarty w skrajnie niedojrzały sposób czy wręcz był ewidentnie nieważny, to

najlepszym rozwiązaniem dla osób ochrzczonych, które żyły we wspólnocie małżeńskiej, jest radykalne nawrócenie obojga małżonków, dorastanie do miłości małżeńskiej tu i teraz oraz odnowienie czy złożenie na nowo przysięgi małżeńskiej, a nie szukanie więzi z kimś innym¹⁶.

Kilka lat temu nie zgodziłem się na pobłogosławienie sakramentalnego związku małżeńskiego, który zamierzała zawrzeć moja bliska krewna. Wskazałem jej i jej narzeczonemu precyzyjne powody, które sprawiały, że ich związek z powodu ich oczywistej, głębokiej niedojrzałości psychospołecznej, a także z powodu jego uzależnień, nie mógłby zostać zawarty w ważny sposób. Bywają małżeństwa w oczywisty sposób zawarte nieważnie. Każdy z małżonków, który ma w tej kwestii jasne dowody i świadków, ma prawo do szukania prawdy przed sądem biskupim. Zupełnie inna, bo niemoralna, jest sytuacja wtedy, gdy o stwierdzenie nieważności małżeństwa stara się małżonek, który wszedł w kryzys, dopuścił się cudzołóstwa i chce zawrzeć nowy związek z kochanką czy kochankiem. Ktoś taki gotów jest nawet kłamać czy szukać fałszywych świadków, by osiągnąć swój niemoralny cel. Warto pamiętać, że w sytuacji, gdyby małżeństwo takiego człowieka rzeczywiście z jego winy okazało się nieważne, to nie może zawrzeć nowego, ważnego małżeństwa dopóty, dopóki nie usunie swojej cechy czy słabości, która spowodowała tę nieważność. Trzeba pamiętać, że to, czy dane małżeństwo zostało zawarte ważnie, czy też nie, zależy wyłącznie od tego, jakie cechy, postawy i motywacje mieli narzeczeni przed zawarciem

¹⁶ Ważna w tym kontekście jest wypowiedź ks. Stanisława Cierkowskiego na temat minimalnej dojrzałości, jaka jest wymagana do ważnego zawarcia związku małżeńskiego: www.waznosc.sychar.org.

małżeństwa. Jeżeli kryzys przyszedł później, to małżeństwo pozostaje ważne, lecz przeżywa kryzys.

Niektóre sądy biskupie stosują praktykę, że osoba składająca podanie o zbadanie ważności jej małżeństwa, proszona jest o złożenie pisma potwierdzającego, że ma już cywilną separację małżeńską lub cywilny rozwód. Stawianie takiego warunku nie jest zasadne. Małżonek ma prawo do szukania prawdy o tym, czy jego małżeństwo zostało zawarte ważne, niezależnie od tego, czy przed sądem cywilnym toczy się jakaś sprawa dotycząca tegoż małżeństwa, czy też nie. Jedynie wtedy, gdy w dwóch kolejnych instancjach sąd kościelnych orzeknie, że dane małżeństwo zostało zawarte nieważne, należy wziąć rozwód cywilny, by sprawę uregulować także w odniesieniu do wymogów prawa państwowego.

Rozdział 4

WARUNKI WYCHODZENIA Z KRYZYSU

Jak wspominałem, w obliczu kryzysu swojego małżeństwa małżonkowie mają do wyboru dwie drogi. Mogą szukać „rozwiązań” łatwych, czyli takich, które wydają się mniej bolesne czy wygodniejsze, ale w rzeczywistości prowadzą do jeszcze większego kryzysu, do jeszcze większej krzywdy, do mnożenia cierpienia, zła, grzechu. Mogą też szukać rozwiązań prawdziwych, czyli takich, które są dojrzałe, zgodne z zasadami Ewangelii i które nie łamią przysięgi małżeńskiej. Ów wybór między „rozwiązaniami” łatwymi, a rozwiązaniami prawdziwymi i prawymi, dotyczy nie tylko kryzysów małżeńskich, lecz w ogóle każdej trudnej sytuacji w relacjach międzyludzkich. Zawsze mamy taki właśnie wybór. Przykładowo, jeśli dziecko nie przygotowało się solidnie do klasówki, to rozwiązaniem łatwym – chociaż oczywiście jedynie pozornym i na krótką metę – będzie ucieczka z lekcji i pójście na wagar. Jeśli dorosły popełni jakiś poważny błąd, to może się upić, żeby choćby na chwilę o tym zapomnieć. Jeśli ktoś z małżonków został zdradzony przez męża czy żonę, to może pomyśleć, że najprostszym rozwiązaniem jest związanie się z nowym

„małżonkiem”. Tego typu „rozwiązania” w istocie nie przynoszą ratunku w kryzysie, lecz jedynie ów kryzys pogłębiają. Uczciwe, zgodne z wolą Boga, rozwiązania trudnych sytuacji z definicji są niełatwe. W przypadku trudności małżeńskich rozwiązania prawdziwe zawsze muszą być zgodne ze złożoną przysięgą małżeńską. W przeciwnym przypadku wejdzimy w jeszcze większy kryzys i poszerzymy krąg drastycznie krzywdzonych osób, począwszy od niewinnych dzieci.

4.1. PRAWDA I MIŁOŚĆ

Warunkiem decydowania się na rozwiązania trudne, ale właśnie prawdziwe i uczciwe, jest mądrość w myśleniu oraz szukanie pełnej prawdy o bolesnej sytuacji, w której znaleźli się małżonkowie. Wszystko, co dobre, zaczyna się od uczciwego, prawego myślenia. Jezus od świtu do nocy uczył ludzi mądrze, realistycznie, uczciwie myśleć. Stawiał pytania, opowiadał przypowieści, pomagał w obserwacji świata, życia, ludzi. Gdy to wszystko nie przynosiło owocu, to mówił z bólem do słuchaczy, że mają oczy, a nie widzą i że mają uszy, a nie słyszą. Pokonywanie poważnych trudności małżeńskich wymaga stawiania sobie wysokich wymagań. Wymaga uczciwości, czasem radykalnego nawrócenia, a zawsze solidnej pracy nad sobą i współpracy z łaską.

W przypadku nawrócenia do ofiarnej, wiernej, a jednocześnie mądrej miłości – czyli do miłości okazywanej w formie, jaka jest roztropna w obliczu danego kryzysu małżeńskiego – konieczne jest też uporządkowanie myślenia. Konieczne jest nawrócenie w sensie szukania pełnej prawdy o zaistniałej

sytuacji oraz o najlepszych, Bożych sposobach pokonywania dramatycznie nieraz piętrzących się trudności. Drugi – obok dojrzałego myślenia – warunek pokonywania kryzysu to nawrócenie w działaniu. Kto zaczyna precyzyjnie, mądrze, uczciwie, czyli w sposób Boży myśleć o sposobach pokonywania trudności, ten powinien przejść od myślenia do konsekwentnego działania. Warunek trzeci pokonywania kryzysu małżeńskiego to współpraca z łaską Boga, to szukanie Jego bliskości poprzez zamknięte rekolekcje, spowiedź generalną, codzienną, serdeczną i ufną modlitwę, wieczorny rachunek sumienia, czytanie Biblii, włączenie się w jakąś katolicką grupę formacyjną. Jeden z mężczyzn, który stał w obliczu dramatycznego kryzysu swojego małżeństwa, postanowił codziennie uczestniczyć w Eucharystii tak długo, jak długo w Boży sposób nie rozwiąże bolesnych trudności małżeńskich, z jakimi musiał się zmierzyć. Po kilku miesiącach jego małżeństwo zostało uratowane i odnowione.

Korzystanie z częstej, wręcz codziennej Eucharystii, to najpotężniejsze źródło czerpania z Bożej mocy w codzienności. To miejscem, w którym spotykamy się z Bogiem dla nas obecnym, kochającym za nic, bezwarunkowo, nieodwołalnie, z bliska. To miejsce karmienia się Bogiem oddającym za nas życie na krzyżu. To miejsce spotkania z Miłością i Prawdą, nieustannie dla nas obecną, która pozostaje z nami aż do skończenia świata. W obecności Chrystusa trwającego dla nas w Ofierze Eucharystii, odkrywamy za każdym razem na nowo, że być człowiekiem to być kimś kochanym. „Jestem kochany” – oto najprostsza i najważniejsza definicja człowieka. Jestem kochany – i to przez samego Boga! – także wtedy, gdy nie kocha mnie małżonek. A także wtedy, gdy to ja nie kocham małżonka i samego siebie.

Świadomość, że jestem kochany na zawsze i w każdej sytuacji, że nigdy nie jestem sam i że dosłownie wszystko mogę w Chrystusie, który mnie umacnia, to punkt wyjścia w pokonaniu najbardziej nawet dotkliwych kryzysów małżeńskich.

Gdy miałem siedem lat, to odkryłem, że moja mama codziennie rano o godzinie piątej trzydzieści wychodziła z domu na Mszę świętą. Nie chwaliła się tym przede mną. Gdy pewnego zimowego poranka zapytałem, o której dziś wstała, odpowiedziała szczerze, że przed piątą – i że tak robi codziennie, aby zdążyć na poranną Eucharystię, zanim mnie obudzi i zanim zrobi śniadanie. Byłem tym zszokowany! Przestraszyłem się o mamę i o jej zdrowie. Już wtedy wiedziałem, że moja mama ciężko pracuje od świtu do nocy z troski o swoich bliskich, a także krewnych, przyjaciół i znajomych. Owego zimowego poranka spontanicznie poprosiłem: „Mamusi, nie chodź, proszę, codziennie na Mszę świętą! Idź tylko w niedzielę, to wtedy będziesz miała więcej siły!”. Mama odpowiedziała z uśmiechem: „Synku, mam tak dużo siły i radości życia właśnie dlatego, że chodzę na Mszę świętą codziennie”. Tamtego dnia ja też zapraǳnę miałem mieć tak dużo siły, jak moja mama. Nie mogłem się odtąd doczekać I Komunii świętej, a po jej przyjęciu zapisałem się do ministrantów. Od tamtej pory uczestniczyłem w Eucharystii każdego dnia – do matury włącznie. Później nic się nie zmieniło, gdyż wstąpiłem do seminarium duchownego.

4.2. WIĘŻ Z BOGIEM W EUCHARYSTII

Dlaczego Eucharystia jest źródłem aż tak potężnej duchowej siły? Dzieje się tak dlatego, że Msza święta to coś zupełnie

wyjątkowego na tej ziemi. To spotkanie z Bogiem bliskiego, najbliższego stopnia. To spotkanie z Bogiem fizycznie dla nas tutaj obecnym aż do skończenia świata. Największym znakiem miłości na tej ziemi jest oddanie życia za drugą osobę. Człowiek nie może uczynić niczego więcej. Tylko Syn Boży w ludzkiej naturze uczynił jeszcze więcej: nie tylko oddał za nas życie, gdyż do końca nas ukochał, lecz po zmartwychwstaniu wrócił i pozostał z nami, gdyż wie, że tego bardzo potrzebujemy.

Pierwszym sposobem wyrażania miłości jest fizyczna obecność w życiu drugiego człowieka. Kochać to być obecnym. Także fizycznie obecnym. Dobrą ilustracją tej zasady jest miłość w rodzinie. Gdyby ktoś z małżonków był przekonany, że kocha współmałżonka i dzieci, a nie miał dla nich czasu, nie przebywał z nimi fizycznie, gdyby unikał domu i spotkań z nimi, to jego miłość byłaby pustą deklaracją. Gdy ktoś nie był obecny w życiu osób najbliższych, to nie może twierdzić, że ich kocha. Tam, gdzie brak obecności, tam trudno jest mówić o miłości w najważniejszych kontaktach międzyludzkich: w rodzinie czy wśród krewnych i przyjaciół.

Największym znakiem miłości na tej ziemi jest oddanie życia za bliźnich. Człowiek nie może uczynić niczego więcej. Tylko Syn Boży uczynił jeszcze coś więcej: nie tylko oddał za nas życie, gdyż do końca nas ukochał, ale jednocześnie pozostał z nami, gdyż wie, że tego bardzo potrzebujemy. On miał moc, by oddać życie z miłości do nas i by je znowu odzyskać. Zmartwychwstały Chrystus jest nie tylko kimś żywym. On jest kimś obecnym. Rzeczy po prostu są: w sposób dla nich nieświadomy i niedobrowolny. Osoby natomiast potrafią być obecne, czyli znajdować się w obliczu innych osób w sposób świadomy i dobrowolny, w sposób ukierunkowany na dobro

osoby. Być obecnym to zatem coś znacznie więcej niż po prostu być, istnieć czy być żywym. Z drugiej strony być obecnym nie zawsze znaczy być widzialnym. Dane rzeczy istnieją dla nas tylko wtedy, gdy są dla nas widzialne. Dane osoby mogą być intensywnie obecne w naszym życiu także wtedy, gdy ich fizycznie nie widzimy.

Popatrzmy na konkretny przykład, który ilustruje różnicę między „być” a „być obecnym”. Oto czteroletni chłopczyk bawi się w swoim pokoju z mamą. Po pewnym czasie mama wyjaśnia dziecku, że musi teraz pójść do kuchni, aby gotować obiad. Piotruś boi się jeszcze samotności, więc rodzice nie zostawiają go nigdy samego w domu. W opisywanej sytuacji chłopczyk jednak nie protestuje. Bawi się dalej. Jest spokojny. Mama wyszła wprawdzie z pokoju, ale dla Piotrusia ona jest tam nadal obecna. Piotruś jest pewien, że mama go kocha i cieszy się nim. Z tego powodu – mimo, że jej teraz nie widzi i nie słyszy – ufa, że mama nie wyszła z domu i że nie pozostawiła go samego. Jest pewien, że ona nieustannie nasłuchuje, co się z nim dzieje. Jeśli będzie jej potrzebował, to ona usłyszy najcichsze nawet wołanie syna i natychmiast pojawi się w jego pokoju. Gdyby natomiast w pokoju Piotrusia pojawiła się jakaś obca osoba, to wcale nie stałby się on dzięki temu spokojniejszy. Przeciwnie, mógłby się przestraszyć i rozplakać. Chłopczyk nie potrzebuje tego, by ktoś z nim po prostu przebywał. On potrzebuje kogoś, kto jest dla niego obecny. Potrzebuje osoby, której obecność będzie wyrażała miłość i troskę, a nie jedynie fizyczne pojawienie się w danym pomieszczeniu.

Powyższy przykład dobrze ilustruje, co to znaczy być obecnym. Istotą i podstawowym warunkiem, by być dla kogoś obecnym, nie jest więc ani widzenie oczyma, ani dotykanie

ręko ma drugiej osoby, lecz miłość i zaufanie. Jeśli z kimś łączą mnie więzi miłości i zaufania, to ta osoba jest zawsze obecna w moim życiu, mobilizuje mnie, umacnia, dodaje pewności siebie i otuchy. Także wtedy, gdy w danym momencie nie widzę jej, ani nie słyszę. Także wtedy, gdy dzieli nas odległość tysięcy kilometrów. Gdy natomiast nie ma między nami takiej więzi, to ty jedynie istniejesz, po prostu jesteś, lecz nie jesteś dla mnie. Nie jesteś obecny w moim życiu. Nie koncentrujesz się na moich radościach i troskach. Jestem ci obojętny. Czasem nawet mnie nie zauważasz. Masz oczy, ale nie widzisz mnie i nie dostrzegasz mojego wyrazu twarzy. Masz uszy, ale nie słyszysz tego, co się we mnie dzieje, ani tego, co przeżywam. Twoje istnienie nie jest wyrazem miłości wobec mnie. Twoje istnienie nie cieszy mnie, ani nie umacnia. Nie daje mi poczucia bezpieczeństwa. Twoje istnienie mnie raczej wtedy niepokoi. Czasem powoduje lęk. Bywa, że niesie zagrożenie lub krzywdę. Nie wiem bowiem, co oznacza dla mnie twoje pojawienie się w mojej przestrzeni życiowej.

Brak obecności to brak miłości. Miłość karmi się obecnością. Miłość rodzi się, rozwija i trwa dzięki obecności i poprzez obecność. Zrozumiały, że obecność ta powinna być dostosowana do wieku i potrzeb tych, których kochamy, do rodzaju więzi, które nas z nimi łączą, do stopnia odpowiedzialności, jaką za nich ponosimy. Najbardziej intensywna i stała powinna być nasza obecność dla najbliższych: dla małżonka, dla dzieci, dla rodziców, dla rodzeństwa, dla przyjaciół, a także dla tych osób, które szczególnie potrzebują naszej obecności, na przykład dla starszych, chorych, osamotnionych. Obecność jest wyrazem i potwierdzeniem miłości. Jest też najlepszą metodą wychowawczą. Wiedział o tym wspomniały wychowawca

trudnej młodzieży – św. Jan Bosco, którego podstawowym sposobem wychowywania i zapobiegania złu była nieustanna obecność wśród wychowanków. W naszych czasach boleśnie odczuwa się niedostatek wzajemnej obecności wśród ludzi sobie najbliższych. W sposób szczególny odnosi się to do mężczyzn. W wielu rodzinach niepokoi zwłaszcza brak obecności ojca. Dla chłopców jest to wielka krzywda, bo nie mają oni wtedy wzorca i autorytetu mężczyzny. Stała obecność ojca jest potrzebna synowi, aby ten mógł się dowiedzieć, co znaczy być dojrzałym mężczyzną, co znaczy być kochającym i odpowiedzialnym mężem oraz ojcem. Jeśli ojciec jest zbyt mało obecny w życiu syna, to taki chłopiec szuka wzoru mężczyzny u kolegów z ulicy, albo w prymitywnych filmach. W ten sposób sam staje się często karykaturą mężczyzny. Ma poważne trudności, by zrozumieć własną płęć oraz by dojrzałe podjąć i wypełnić podstawowe role społeczne.

Także dla dziewczynek nieobecność, niedostateczna obecność czy zła obecność ojca jest wielką krzywłą. Nie pozwala im bowiem uwierzyć, że są kochane i że zasługują na miłość, skoro tata nie ma dla nich czasu, skoro pieniądze, odwiedzanie znajomych czy jakieś hobby, to coś ważniejszego niż kontakt z własną córką. Ponadto w takiej sytuacji dziewczęta są dosłownie głodne męskiej obecności, bliskości, czułości. W konsekwencji poszukują zaspokojenia tego głodu poza rodziną. Wiążą się z nieodpowiedzialnymi mężczyznami, gdyż łatwo manipulować dziewczyną, która jest za mało kochana i wspierana przez własnego ojca. Coraz częściej i coraz wcześniej takie dziewczyny szukają ciepła i miłości poza domem rodzinnym. Dosłownie za każdą cenę. Zwykle kończy się to konfliktami sumienia, wielkimi krzywdami fizycznymi, psychicznymi i moralnymi.

Brak obecności to brak miłości. Jednak sama obecność nie wystarczy. Miłość wymaga konkretnych słów i czynów, wymaga aktywności, zaangażowania dla dobra drugiego człowieka. Wymaga poświęcenia mu własnego czasu, własnych sił, własnego zdrowia. Czytelnym przykładem takiej właśnie miłości aktywnej i ofiarnej jest miłość kobieca. Kochająca żona i matka w dzień i w nocy ofiarowuje najbliższemu swoją pracowitą obecność. Ofiaruje obecność aktywną nieraz aż do granic heroizmu i ludzkiej wytrzymałości. Kochająca kobieta chroni, karmi, pielęgnuje, wychowuje, wspiera własnym przykładem, modlitwą i nadzieją. Kobieta-matka ofiaruje część swojej krwi i kawałek własnego ciała, żeby mógł narodzić się nowy człowiek. Więcej uczynił tylko Chrystus: na krzyżu z miłości do nas oddał całe swoje ciało i przelał wszystką swoją krew.

Doświadczanie obecności Chrystusa w Eucharystii i karmienie się tam Jego miłością to źródło siły na co dzień, by mierzyć się z własną słabością i by pokonywać najtrudniejsze nawet problemy małżeńskie czy rodzicielskie. Eucharystia to miejsce osobistego spotkania z Chrystusem. To miejsce, w którym Zbawiciel przytula nas do siebie (por. Mt 19,14). Gdy rozmawiam z dziećmi, które po raz pierwszy spotykają się z Chrystusem w Komunii świętej, to nawiązuję wtedy do sceny biblijnej, w której Jezus bierze w ramiona i błogosławi dzieci. Wyjaśniam, że była to jakby pierwsza Komunia święta tamtych dzieci. Przyjść Komunię świętą to bowiem przytulić się do kochającego Boga, który jest dla nas obecny, gdyż nas kocha miłością mamy i taty jednocześnie.

W Eucharystii Jezus opisuje sposób, w jaki nas kocha. Ten sposób okazywania miłości człowiekowi przez Boga wyrażony jest w czterech słowach, które słyszymy w czasie Mszy

w modlitwie eucharystycznej: „Jezus **wziął** chleb, **pobłogosławił, połamał i rozdał**”. Słowa, które Jezus wypowiedział nad chlebem i które kapłan powtarza w czasie każdej Eucharystii, opisują nie tylko to, co stało się z tamtym kawałkiem chleba w czasie ostatniej Wieczerzy i co miało stać się kilka godzin później z samym Chrystusem. Słowa te opisują jednocześnie naturę Bożej miłości do człowieka. Otóż, Bóg Ojciec **wziął** z miłością każdego z nas. Od zawsze i na zawsze. Zanim nasi rodzice przekazali nam życie, zanim nas zobaczyli. Odtąd nie musimy za wszelką cenę walczyć o miłość ludzi, zwłaszcza o miłość tych, którzy nie chcą lub nie potrafią kochać. W czasie każdej Eucharystii mamy szansę wsłuchiwać się w głos Boga, który każdego człowieka kocha i przygarnia, a nie w głos tego świata, który wszystkich ludzi segreguje po to, żeby wielu z nich odrzucić. Im bardziej jestem pewien, że Bóg pokochał mnie od chwili mojego poczęcia, tym bardziej czuję się bezpieczny i tym bardziej staję się niezależny od miłości ludzi.

Jezus nie tylko **wziął** chleb, lecz także **pobłogosławił**. Bóg nieustannie błogosławi każdego z nas. Błogosławić to potwierdzać miłość. To życzyć dobra drugiej osobie. To mówić o niej z szacunkiem, nadzieją, troską. To potwierdzać słowami i czynami, że ta osoba jest kochana i cenna w naszych oczach. Prawda o byciu błogosławionymi przez Boga jest niezwykle potrzebna każdemu z nas. Wielu ludzi czuje się bowiem – przynajmniej w niektórych okresach życia czy w pewnych środowiskach – raczej dziećmi przekleństwa niż dziećmi błogosławieństwa. Czasem nawet w małżeństwie i rodzinie. Ponadto nasza cywilizacja wzmaga głód i potrzebę bycia błogosławionym. Żyjemy w czasach, w których człowiek łatwiej wypowiada nad drugim człowiekiem złe niż dobre słowo. To

czasu, w których coraz więcej ludzi nie ma barier w wyrażaniu agresji, wrogości czy nienawiści, wstydy się natomiast wyrażać miłość, czułość, wdzięczność. Wielu ludzi wstydy się obecnie błogosławić. W Eucharystii karmimy się bliskością Tego, który wyłącznie nas błogosławi: zawsze i w każdej sytuacji.

Jezus wziął chleb, pobłogosławił i **połamał**. Bóg, który nas kocha, nie tylko przyjmuje nas z miłością i nieustannie nam błogosławi, czyli potwierdza, że nas kocha. On chce coś w nas połamać. W geście łamania chleba Chrystus zapowiedział symbolicznie nie tylko swój własny los (będzie połamany na krzyżu dla naszego zbawienia), lecz także los każdego człowieka na tej ziemi po grzechu pierworodnym. Potrzeba połamania w sobie czegoś, to ten aspekt Bożej miłości, który rozumiemy i przyjmujemy najtrudniej. Słowa: „łamać” i „być łamanym” źle nam się kojarzą, bo żyjąc na tej ziemi, którą zamieniliśmy na dolinę ciemności i padół łez, często czujemy się połamani w sposób bolesny i niezasłużony. Ten nie-Boży świat codziennie próbuje połamać w nas to, co najpiękniejsze, czyli miłość, czystość, wolność, radość, świętość. I czyni to podstępem, bez pytania o naszą zgodę. Naszym zadaniem jest zrozumieć, że Bóg łamie nas w zupełnie inny sposób, niż ten świat nas łamie. Świat, w którym żyjemy, chce w nas połamać to, co najlepsze i najcenniejsze, łącznie z naszym sumieniem i naszymi największymi aspiracjami oraz ideałami. Tymczasem Bóg pragnie połamać w nas jedynie to, co grzeszne, niedojrzałe, egoistyczne, co zagraża naszej miłości, wolności, naszemu powołaniu. I czyni to tylko wtedy, gdy my się na to zgadzamy, gdy współpracujemy z Bogiem, by połamać w sobie starego człowieka i żeby codziennie się nawracać.

Jezus **rozdał** chleb, który najpierw wziął, pobłogosławił i połamał. Czwarty aspekt Bożej miłości do każdego z nas

to właśnie owo rozdawanie. Bóg nas wybrał, pobłogosławił i z naszą pomocą połamał w nas to, co nie Boże po to, aby nas rozdawać. On pragnie, byśmy stawali się bezinteresownym darem miłości dla innych. Gdyby Bóg rozdał nas bliźnim zanim pomógłby nam przezwyciężyć naszą grzeszność i nasz egoizm, to okazalibyśmy się złym, fałszywym darem. Bylibyśmy darem pozornym, a czasem wręcz trującym. Gdyby natomiast Bóg nie rozdał nas bliźnim, wtedy pozostalibyśmy starym człowiekiem, człowiekiem egoizmu, człowiekiem, który nie może być szczęśliwym, gdyż nie kocha.

Trzeba czuwać nie tylko nad tym, żeby nie zatrzymywać Bożej miłości wyłącznie dla samych siebie. Trzeba też czuwać nad tym, żeby nie wpuszczać w nasze życie tych ludzi, którzy sami się w to nasze życie pchają, mimo że nie są posłani przez Boga, bo jeszcze nie karmią się Jego miłością i błogosławieństwem i jeszcze się nie nawrócili, czyli nie pozwolili jeszcze Bogu, żeby połamał w nich to, co przeszkadza im kochać. Przykładem takiej sytuacji jest mężczyzna uzależniony, egoistyczny, agresywny, nieczysty, który wprasza się w życie szlachetnej kobiety i zapewnia ją, że kocha i że jest posłany do niej przez samego Boga. Biada takiej osobie, która tego typu toksyczny „dar” przyjmie, gdyż wchodzi wtedy na drogę skrajnie bolesnego cierpienia, krzywdy i rozczarowania.

Chrystus obdarował nas Eucharystią jako szczególnym miejscem, w którym doświadczamy, że jesteśmy przez Boga kochani i w którym uczymy się Bożej miłości. Eucharystia jest nieustannym przypomnieniem ceny, jaką Syn Boży zapłacił dla naszego zbawienia. Wołał pozwolić, by ludzie przybili Go do krzyża, niż wycofać miłość do człowieka. Każda Msza Święta jest uobecnieniem faktu, że Chrystus do końca nas

umiłował i że z miłości ku nam pozostaje z nami aż do skończenia świata. Każda Komunia święta to umacnianie wiary i nadziei, to umacnianie w sobie wewnętrznego człowieka po to, by trwać w przyjaźni z Bogiem, by Boga słuchać bardziej niż ludzi i niż samego siebie. Eucharystia to niezwykle wymowny znak, jakim posługuje się Stwórca, aby nakłonić człowieka do nawrócenia i pokuty, aby doprowadzić człowieka do przyjaźni z Nim, do **życia nadprzyrodzonego, do tego „tego życia, które jako jedyne może zaspokoić najgłębsze pragnienia ludzkiego serca” (IM, 3).**

Jeśli odpowiadamy miłością na miłość, to Eucharystia staje się dla nas szkołą miłości do Boga i jednocześnie szkołą miłości do człowieka. Każda Msza święta to kolejna lekcja miłości, jakiej udziela nam Chrystus. Na końcu Eucharystii zostajemy przez Niego posłani, żeby kochać Boga nade wszystko, a ludzi aż tak ofiarnie i wiernie, jak Chrystus nas pokochał, gdyśmy byli jeszcze grzesznikami. On posyła nas najpierw do naszych bliskich: do małżonka, dzieci, rodziców, rodzeństwa, krewnych, przyjaciół, znajomych. On pomaga nam, byśmy objęli samych siebie i innych ludzi miłością dojrzałą, wierną, kompetentną, miłością dostosowaną do potrzeb i zachowań danej osoby. On pokochał nas w taki właśnie sposób. Jednych pocieszał, rozgrzeszał i przytulał. Innym mówił twarde słowa bolesnej prawdy, wzywał do nawrócenia i ostrzegał. Niektórym wywracał stoły. Wobec każdego człowieka umiał dobrać takie słowa i czyny, które stwarzały szansę na duchowy rozwój i poprawę życia. Miłość do najbliższych oznacza, że mamy dla nich czas, że potrafimy być dla nich czuli i pracowici, że dzielimy z nimi radości i cierpienia, a także wspólny stół. Stół eucharystyczny powinien zatem mieć swoją kontynuację w stole rodzinnym,

domowym, przy którym karmimy się nie tylko fizycznie, ale także psychicznie, moralnie, duchowo, religijnie.

Nie wystarczy jednak objąć Chrystusową miłością naszych bliskich i zasiadać wspólnie przy rodzinnym stole. Przecież także poganie kochają tych, którzy są im bliscy i którzy okazują im miłość. Chrystus uczy nas w Eucharystii większej miłości. Znacznie większej miłości. On posyła nas nie tylko do bliskich, ale również do naszych nieprzyjaciół oraz do tych naszych siostr i braci, którzy są chorzy, biedni, krzywdzeni, bezsilni, zaburzeni, odrzuceni. Bez takiego poszerzenia miłości chrześcijaństwo zostaje zredukowane do rzędu jeszcze jednej ideologii, albo do szlachetnej wersji pogaństwa. Chrześcijaństwo zaczyna się tam, gdzie zaczyna się miłość bezinteresowna, charytatywna. Chrześcijaństwo zaczyna się tam, gdzie człowiek uczy się od Chrystusa miłości wobec ludzi najmniejszych w oczach tego świata, wobec tych, którzy nie radzą sobie z życiem, którzy ryzykują, że przegrają życie doczesne i wieczne, wobec tych, którzy potrzebują naszego wsparcia i którzy nie mogą się odplacić za naszą miłość. Przy końcu życia doczesnego będziemy sądzeni z miłości. I to przede wszystkim z takiej właśnie miłości wobec najmniejszych i najbardziej potrzebujących. Na sądzie ostatecznym Chrystus zapyta nas nie tylko o to, czy kochaliśmy małżonka, dzieci, rodziców, krewnych i przyjaciół, lecz także o to, czy kochaliśmy głodnych, spragnionych, nagich, przybyszów, chorych, uwięzionych (por Mt 25,35-36). Eucharystia ziemską stanie się Eucharystią wieczną, przemieni się w ucztę eschatologiczną wtedy, gdy uczymy się takiej właśnie miłości, gdy zaczynamy kochać w taki sposób, w jaki zostaliśmy przez Chrystusa pokochani.

Rozdział 5

ZAMYKANIE BOLESNEJ PRZESZŁOŚCI

Ktoś może powie: „Już wiem, jak tu i teraz radzić sobie z trudnościami w małżeństwie i rodzinie. Wiem, że najpierw mam zapobiegać takim trudnościom poprzez codzienne okazywanie miłości małżonkowi, poprzez solidne wychowywanie dzieci (kochać i wymagać) oraz poprzez kurczowe trzymanie się Boga i słuchanie Go w każdej sytuacji. Już wiem, że mam prawo usuwać z mojego życia osobistego, małżeńskiego i rodzinnego wszystkie osoby trzecie, które są zagrożeniem dla mojego małżeństwa i rodzicielstwa, nawet jeśli są to moi rodzice czy teściowie. Już wiem, że jeśli ktoś bliski wpada w uzależnienie czy inny głęboki kryzys, to mam kochać tę osobę twardą miłością i pozwolić jej cierpieć, bo inaczej nigdy się nie zmieni. Już wiem, że jeśli zdradził i opuścił mnie małżonek, to mam prawo do obrony, do separacji i wywalczenia alimentów włącznie, ale nie mam prawa do łamania mojej przysięgi. Już wiem, że jeśli to ja zdradziłem małżonka, to mam się radykalnie nawrócić i powrócić do żony czy męża oraz dzieci. To wszystko już wiem i z pomocą Boga postaram się uczynić. Ale co z przeszłością, w której popełniałem błędy

i która nie daje mi spokoju?”. O tym właśnie mówi ostatni rozdział tej książki. Warunkiem zamknięcia bolesnej przeszłości jest pojednanie z Bogiem, pojednanie z samym sobą oraz pojednanie z bliźnimi. Popatrzmy, na czym polega pojednanie w tych trzech aspektach.

5.1. POJEDNANIE Z BOGIEM

Każdy z nas potrzebuje pojednania z Bogiem z wielu powodów. Dwa z tych powodów są najczęstsze i najgroźniejsze, gdyż najbardziej radykalnie niszczą naszą więź ze Stwórcą. Powód pierwszy to chowanie się przed Bogiem czy wręcz ucieczka od Boga na skutek naszych grzechów i wyrzutów sumienia. Im bardziej ktoś błądzi, tym częściej usiłuje sobie wmówić, że jeśli tylko oddali się od Boga albo uwierzy, że Boga nie ma, to wtedy będzie mógł łamać Dekalog bezproblemowo i bez żadnych konsekwencji. Zwykle ci, którzy – jak Adam – chowają się przed Bogiem z powodu swoich grzechów, dorabiają sobie jakąś ideologię po to, by usprawiedliwić ucieczkę przed Stwórcą.

Pewien student oznajmił mi, że odszedł od Boga i że już w Niego nie wierzy, gdyż Kościół wyrządził i wyrządza ludziom straszne krzywdy. Wobec takiego postawienia sprawy uśmiechnąłem się do mego rozmówcy i stwierdziłem, że jestem o niego spokojny, gdyż skoro jest wrażliwy na cierpienie człowieka, to nigdy nie będzie ateistą. Zaskoczony moimi słowami student zapytał: „Dlaczego nie miałbym stać się ateistą?”. Wtedy wyjaśniłem, że nie pozwoli mu na to właśnie ta jego wrażliwość na krzywdy i cierpienia ludzi, gdyż nigdy w historii ludzkości tak niewielka grupa, jaką stanowią ateści,

nie zadała tak wielkich cierpień niewinnym ludziom. W samym tylko XX wieku i w samej tylko Europie dwa totalitarne systemy walczące z Bogiem – komunizm i faszyzm – w bestialski sposób zamordowały kilkadziesiąt milionów niewinnych ofiar. W dalszej części rozmowy mój rozmówca sam przyznał, że zaczął chować się przed Bogiem wtedy, gdy coraz bardziej krzywdził siebie oraz dziewczynę, która mu zaufała. Drugim – obok grzechu – powodem zrywania czy zniekształcania więzi z Bogiem jest obarczanie Go odpowiedzialnością za całe zło tego świata. Zwykle tendencja ta przejawia się w zarzucaniu Bogu, że zsyła na nas jakieś bolesne cierpienie, zamiast pomagać nam żyć w radości, albo przynajmniej, że dopuszcza takie cierpienie, chociaż w swej wszechmocy mógłby i powinien skutecznie uchronić nas przed tym, co boli.

Niezależnie od tego, jaki jest powód oddalania się od Boga i zrywania przyjaźni z Nim, konsekwencje stają się zwykle szybko widoczne i okazują się coraz bardziej dramatyczne. Im bardziej oddalamy się od Boga, tym bardziej jesteśmy wydani na pastwę naszych własnych słabości czy na łaskę i niełaskę innych ludzi. Gdy oddalamy się od Boga, czyli Tego, który jako jedyny w pełni nas rozumie i który jako jedyny gwarantuje nam na krzyżu, że nigdy nie przestanie nas kochać, wtedy pustkę po Nim usiłujemy zapełnić więzią z samym sobą, z drugim człowiekiem albo z jakąś rzeczą, w której zaczynamy pokładać całą nadzieję.

Zniszczona czy zniekształcona więź z Bogiem prowadzi do tego, że zniszczone lub boleśnie zniekształcone stają się nasze więzi z samym sobą, z bliźnimi i z otaczającą nas rzeczywistością. Kto myśli, że będzie szczęśliwie żył bez przyjaźni z Bogiem, ten jest podobny do niemiłosiernego dla siebie

poszukiwacza szczęścia, który natarczywie szuka radości tam, gdzie nie można jej znaleźć.

Skoro grzech jest pierwszym i najczęstszym powodem zerwania więzi z Bogiem, to pierwszym i koniecznym warunkiem pojednania z Nim jest nawrócenie. Jedynie ten, kto się odwrócił od zła i grzechów, kto tu i teraz zaczął kochać, a przez to nie oddala się już od Boga ani nie krzywdzi innych ludzi, może owocnie podjąć trud pojednania. Drugim – obok nawrócenia – warunkiem pojednania z Bogiem jest dojrzałe rozumienie natury Bożego miłosierdzia. Pojednanie z Bogiem jest możliwe wtedy, gdy wiemy, że Bóg nie jest ani naiwny czy pobłażliwy wobec zła, ani nielitościwy wobec grzesznika.

Przykładem naiwnego rozumienia miłosierdzia może być alkoholik, który uznał już swój problem, lecz mimo to nie korzysta z pomocy terapeutów czy grup wsparcia, nie pracuje nad sobą, nie rozwija się duchowo, a całą odpowiedzialność za wyjście z kryzysu zrzuca na Boga. Równie naiwnie Boże miłosierdzie interpretuje żona alkoholika, która nie korzysta z pomocy specjalistów i grup wsparcia, nie uczy się twardej miłości do błędzącego, lecz oczekuje, że Bóg w cudowny sposób uratuje ją i całą rodzinę bez żadnej współpracy i bez żadnego wysiłku z jej strony.

Pojednać się z Bogiem może tylko ten, kto rozumie, że Bóg w swojej miłości jest nie tylko miłosierny, ale też mądry, i że właśnie dlatego nie uczyni za mnie tego, co we współpracy z Jego łaską jestem w stanie i powinienem uczynić. Dojrzałe rozumienie Bożego miłosierdzia oznacza przyjęcie do wiadomości, że Bóg nie może zmusić mnie do przyjęcia Jego miłosierdzia, bo respektuje moją wolność i nie traktuje mnie jak bezwolnej marionetki, która może liczyć wyłącznie na Jego

litość. Nie przyjmuje Bożego miłosierdzia i nie pojedna się z Bogiem ten, kto sam dla siebie nadal pozostaje niemiłosierny, kto sam siebie krzywdzi, gdyż nie słucha Boga, czy kto wiąże się z ludźmi, którzy Go nie słuchają.

Pojednanie z Bogiem jest możliwe wtedy, gdy już wiemy, że Jego miłosierdzie ma na celu pomaganie nam, byśmy uwolnili się od ciężaru złej przeszłości, i to nie tylko po to, byśmy odczuli ulgę, lecz przede wszystkim po to, byśmy tu i teraz mieli siłę stawać się coraz bardziej podobni do Jezusa. Boże miłosierdzie nie tylko uwalnia nas od złej przeszłości, lecz także mobilizuje nas do zmiany postępowania w teraźniejszości.

Przykładem trafnego rozumienia natury Bożego miłosierdzia jest prorok Natan ze Starego Testamentu (por. 2 Sm 11-12). Dostrzega on, że król Dawid wpada w dramatyczny kryzys. Ulega pożądaniu i staje się dla siebie niemiłosierny. Popęnia cudzołóstwo i krzywdzi kobietę, którą wciąga w to samo zło. W tej fazie życia król Dawid jest do tego stopnia niemiłosierny, że zleca zabójstwo męża tej kobiety, którą wziął sobie za kochankę. Natan nie pozostaje obojętny na los swojego króla. Odważnie idzie do człowieka, który dopuścił się potwornego zła. Nie jest wobec Dawida ani okrutny, ani pobłażliwy. Nie rzuca mu w twarz prawdy o popełnionych grzechach ani nie ucieka się do naiwnego pocieszania winowajcy na zasadzie, że nic strasznego się nie stało. Znajduje sposób, by pomóc Dawidowi, aby ten uznał prawdę o sobie, aby nawrócił się, przeprosił Boga i wynagrodził wyrządzone przez siebie zło.

Prorok Natan nie przekreśla Dawida, ale też nie usprawiedliwia go i nie stosuje wobec niego taryfy ulgowej. Jest empatyczny na podobieństwo Boga. Trafnie wczuwa się

w dramatyczną sytuację króla. Objawia mu gorzką prawdę w sposób jasny i pełny, a jednocześnie roztropny i miłosierny. Opowiada Dawidowi historię bogacza, który ma wiele owieczek, a mimo to odbiera jedną jedyną owieczkę biednemu sąsiadowi, by wyprawić przyjęcie dla swojego gościa. Gdy Dawid trafnie ocenia okrucieństwo owego bogacza, wtedy Natan wyjaśnia: *Ty jesteś tym człowiekiem* (2 Sm 12,7). Postępując tak stanowczo i jednocześnie mądrze, Natan naśladuje miłosierdzie Boga. Jest miłosierny wobec grzeszącego króla, ale w taki sposób, by pozostać miłosiernym również wobec siebie i nie stać się kolejną ofiarą Dawida. Gdyby bowiem od razu rzucił królowi w twarz bolesną prawdę, wtedy ten w porywie wściekłości mógłby go zabić. W konsekwencji prorok by zginął, a sytuacja upominanego króla stałaby się jeszcze bardziej dramatyczna.

Trzecim – obok nawrócenia i rozumienia natury Bożego miłosierdzia – warunkiem pojednania jest precyzyjne odróżnianie pojednania od przebaczenia. Przebaczenie oznacza wyzbycie się żalu i gniewu wobec krzywdziciela, a także darowanie mu krzywd i win, które wobec nas zaciągnął. Pojednać się oznacza coś więcej. Pojednanie wiąże się bowiem z odzyskaniem bliskości pomiędzy poróżnionymi dotąd stronami. Przebaczenie jest warunkiem i początkiem pojednania. O ile przebaczyć można bez względu na postawę winowajcy, o tyle pojednanie, czyli odbudowanie pozytywnych więzi, wymaga zaangażowania obu stron. Przebaczenie dokonuje się w sercu danego człowieka i zależy od niego samego – od jego psychicznej i duchowej dojrzałości, od jego więzi z Bogiem, od jego dobrej woli i gotowości do darowania doznanych krzywd, od tego, na ile naśladuje postawę miłosiernego Boga. Natomiast

pojednanie zależy od dwóch stron, czyli od tego, który został skrzywdzony, oraz od tego, który wyrządził krzywdę.

Ludzie dobrej woli powinni wymagać od siebie gotowości do przebaczenia winowajcy i do pojednania się z nim, gdy tylko przestanie krzywdzić i gdy powróci przemieniony, tak jak uczynił to syn marnotrawny. Z kolei ten, który zawinił, jest zobowiązany do nawrócenia się, do wynagrodzenia wyrządzonego przez siebie zła i do takiej postawy, by stało się możliwe pojednanie z tymi, których krzywdził. Nigdy zatem nie zależy tylko od jednej strony to, czy dojdzie do pojednania. W związku z tym nikomu nie wolno powiedzieć: „Idź i pojednaj się z drugim człowiekiem!”. Wydając takie polecenie, stawilibyśmy rozmówcę w obliczu zadania, którego spełnienie zależy od dwóch osób, a nie od jednej.

Miłosierny Bóg chce, by każdy z nas był miłosierny, czyli by przebaczał z serca swemu winowajcy. Jednak to, czy dojdzie do pojednania, zależy również od postawy drugiego człowieka. Przebaczenie jest dziełem jednej osoby, a pojednanie jest owocem wspólnego wysiłku dwojga ludzi. Wyjątkiem jest pojednanie z Bogiem, gdyż w tej relacji tym, który zerwał więź przyjaźni, może być wyłącznie człowiek i tylko człowiek może zablokować proces pojednania ze Stwórcą.

Zwykle pojednanie z Bogiem redukujemy do obowiązku nawrócenia, czyli do zrobienia uczciwego rachunku sumienia, szczerego żalu za popełnione zło, wyspowiadania się, postanowienia poprawy i zadośćuczynienia za wyrządzone krzywdy. Te wszystkie aspekty są oczywiście koniecznym warunkiem, by pojednanie z Bogiem stało się możliwe i by w ogóle się zaczęło, ale nie gwarantują jeszcze pełni tego pojednania. Są one punktem wyjścia, ale nie punktem dojścia w procesie

pojednania. Pojednanie z Bogiem to coś więcej niż nawrócenie i zamknięcie grzesznej przeszłości. Pełnia pojednania ze Stwórcą dokonuje się dopiero wtedy, gdy człowiek bez wahania i wątpliwości odkrywa i uświadamia sobie fakt, że Bóg jest niewinny, że to nie On jest sprawcą naszych trudności, cierpień, krzywd czy różnych innych form doświadczanego zła i borykania się z ciężarem życia w doczesności.

To nie przypadek, że wielu chrześcijan myśli, iż to Bóg zsyła nam krzyże i cierpienia. Gdy nie słuchamy Boga i gdy w konsekwencji krzywdzimy siebie i bliźnich lub gdy ktoś inny nie słucha Boga i krzywdzi nas oraz siebie, wtedy łatwiej jest nam pogodzić się z myślą, że to, co bolesne, pochodzi od Boga, niż uznać, że sami wyrządzamy sobie krzywdę lub że krzywdzi nas małżonek, ojciec czy matka, syn czy córka, brat czy siostra, narzeczony czy narzeczona albo ktoś, komu zaufaliśmy i kogo traktowaliśmy jak wiernego przyjaciela. To, co bolesne, nie pochodzi od Boga. Jest natomiast konsekwencją tego, że przychodzi nam kochać niedoskonałych ludzi, że my sami grzeszymy – jak syn marnotrawny – lub że jesteśmy naiwni i pozwalamy, by krzywdzili nas ci, którzy nie chcą lub nie potrafią kochać. Czasem doświadczamy zupełnie niewinnego cierpienia, lecz także wtedy nie jest ono wolą Boga. Zwykle za niewinnym cierpieniem jednego człowieka kryje się wina innego człowieka lub skutki grzechów poprzednich pokoleń – począwszy od Adama i Ewy.

Popatrzmy na konkretne przykłady sytuacji, w których przychodzi pokusa, by obarczać Boga odpowiedzialnością za cierpienia i krzyże, które pochodzą od ludzi. Jeśli jakiś mężczyzna popadł w alkoholizm, narkomanię, erotomanię czy hazard i na skutek uzależnienia zadaje niewyobrażalne

cierpienie sobie i swoim bliskim, to łatwiej będzie mu twierdzić, że to Bóg dopuścił do takiej strasznej sytuacji czy wręcz ją zesłał, niż że to on sam zgotował taką gehennę sobie i swoim bliskim. Podobnie, jeśli jakaś żona odkrywa, że zdradza ją mąż, to łatwiej jej będzie uwierzyć w to, że to Bóg zesłał jej takiego męża i taki krzyż, niż że to ona może zbyt pochopnie związała się z tym mężczyzną czy że po ślubie zaczęła popełniać błędy i częściowo także ona jest odpowiedzialna za kryzys w małżeństwie.

Kolejnym przykładem jest sytuacja, w której krzywdzi nas ktoś, kto jest silniejszy od nas, na przykład pracodawca czy agresywny sąsiad, który sprawuje jakąś ważną funkcję i dlatego czuje się bezkarny. Łatwiej wtedy protestować przeciw Bogu niż przeciw rzeczywistemu krzywdzicielowi, gdyż Bóg się nie zemści, a bezduszny pracodawca czy zły sąsiad może nam wyrzucić kolejną krzywdę. Im bardziej nasze życie – z naszej czy bez naszej winy – wiąże się z krzywdami i cierpieniem, z rozczarowaniem i bólem, tym większą mamy skłonność, by obarczać Boga odpowiedzialnością za taką sytuację. Dopóki jednak myślimy, że to Bóg zsyła nam to, co bolesne i co odbiera nam radość życia, dopóty nie jesteśmy z Nim pojednani, także wtedy, gdy się nawracamy i staramy się tu i teraz żyć zgodnie z Dekalogiem.

Bóg przychodzi do nas w widzialnej postaci w swoim Synu i pozwala się przybić do krzyża właśnie po to, byśmy wiedzieli, że On jest naszym najwierniejszym Przyjacielem, który nas rozumie i który w każdej sytuacji wyciąga do nas swoją pomocną dłoń. Niemiłosierni dla siebie są ci, którzy twierdzą, że to Bóg zsyła ludziom krzyże, choroby, bolesne próby czy inne rodzaje cierpienia i nieszczęścia. Jakże mogą uwierzyć

w miłosierną miłość Boga do człowieka ci, którzy myślą, że od Boga pochodzi nie tylko prawda i miłość, ale również to, co jest dla nas krzywdą, ciężarem, krzyżem czy co sprawia, że tracimy radość życia?

To właśnie dlatego warunkiem pojednania z Bogiem jest świadomość, że to nie On zsyła nam krzyże, lecz że to my, ludzie, skazaliśmy na krzyż niewinnego Boga, mimo że przeszedł On przez ziemię w ludzkiej naturze, czyniąc dobrze. Pojednać się z Bogiem możemy dopiero wtedy, gdy uznamy, że On jest zupełnie niewinny i że to nie Bóg jest źródłem tego, co prowadzi do cierpienia i co nazywamy krzyżem. Pojednać się z Bogiem to uznać, że On pozwolił się obarczyć naszymi krzyżami, gdyż chciał być ostatnim ukrzyżowanym. Kto trwa w Jego miłości, ten nie nakłada już żadnego krzyża ani sobie, ani innym ludziom.

Na pełne pojednanie z Bogiem otwierają się ci, którzy poważnie traktują prawdę o tym, że Bóg, który jest miłością, kocha nas bez żadnej naszej zasługi i że nigdy nie przestanie kochać. Dla takich ludzi jest oczywiste, że Bóg objawiony w swoim Synu – Jezusie Chrystusie – używa swej wszechmocy wyłącznie po to, by komunikować nam swoją miłość, by nas szukać i ratować, gdy się zagubimy, a nie po to, by komuś zsyłać cierpienia lub by kogoś wystawiać na próbę. Jeśli rodzice naprawdę kochają swoje dzieci, to nigdy nie ześlą im tego, co bolesne. Przeciwnie, zrobią wszystko, by nie tylko szlachetnie wychowywać swoje dzieci, lecz by rozwijały się one w oparciu o doświadczenie miłości i radości, a nie w oparciu o doświadczenie jakichś bolesnych prób, chorób czy innych krzyży. Pojednać się z Bogiem do końca to uznać, że nie jest On gorszy od kochających rodziców, lecz że to oni naśladują Boga, gdy

poruszają niebo i ziemię, aby ich dzieci nie musiały doświadczać tego, co bolesne.

Ci, którzy jedną się z Bogiem, wiedzą, iż błędne jest znane powiedzenie o tym, że „kogo Bóg kocha, temu krzyże zsyła”. Po pierwsze, powiedzenie to zakłada błędnie, że Bóg nie kocha wszystkich ludzi, a jedynie tych, którym zsyła coś bolesnego. Po drugie, powyższe powiedzenie równie błędnie zakłada, że miłość wiąże się ze zsyłaniem cierpienia czy przynajmniej z jego dopuszczaniem. Bóg kocha nas bardziej od najbardziej nawet kochających rodziców. To właśnie dlatego Jezus mówi swoim uczniom, że pragnie, aby nasza radość była pełna. Jednocześnie wyjaśnia, co jest tego warunkiem: *Jak Mnie umiłował Ojciec, tak i Ja was umiłowalem. Wytrwajcie w miłości mojej! Jeśli będziecie zachowywać moje przykazania, będziecie trwać w miłości mojej, tak jak Ja zachowałem przykazania Ojca mego i trwam w Jego miłości. To wam powiedziałem, aby radość moja w was była i aby radość wasza była pełna. To jest moje przykazanie, abyście się wzajemnie miłowali, tak jak Ja was umiłowalem* (J 15,9-12). Pojednanie z Bogiem zaczyna osiągać swoją pełnię wtedy, gdy wypełniamy duchowy testament ukrzyżowanego Jezusa, czyli gdy kochamy Boga nade wszystko i gdy kochamy jedni drugich taką miłością, jaką On pierwszy nas pokochał. Naśladujemy wtedy miłosiernego Boga, który umieścił pierwszych ludzi w raju i który przychodzi do nas w ludzkiej naturze, aby zdejmować z nas krzyże, a nie żeby te krzyże na nas nakładać.

Jezus mówi też: *Przyjdźcie do Mnie wszyscy, którzy utrudzeni i obciążeni jesteście, a Ja was pokrzepię. Weźcie moje jarzmo na siebie i ucztujcie się ode Mnie, bo jestem cichy i pokorny sercem, a znajdziecie ukojenie dla dusz waszych. Albowiem jarzmo moje*

jest słodkie, a moje brzemie lekkie (Mt 11,28-30). Nasz Zbawiciel wie, że życie w miłości i kierowanie się Bożymi przykazaniami to jest jakiś rodzaj jarzma, bo przecież wymaga od nas dyscypliny, nawracania się, pracy nad charakterem, czujności aż do końca. Wie też i to, że najbardziej nieznośne brzemie i niemiłosiernie przygniatające nas jarzmo pojawia się wtedy, gdy łamiemy zasady Dekalogu, gdy w miejsce Boga stawiamy jakąś rzecz czy jakiegoś człowieka, gdy zabijamy, cudzołożymy, kradniemy, kłamujemy, ulegamy pożądaniu. Niemiłosierni wobec siebie są ci, którzy uważają, że Bóg pragnie, byśmy cierpieli, i że to właśnie cierpienie jest kryterium zbawienia.

Tymczasem Jezus wyjaśnia, że jedynym kryterium zbawienia będzie miłość, a nie cierpienie, gdyż zbawiony to ktoś, kto stał się podobny do Boga, a Bóg jest miłością i radością, a nie krzyżem i cierpieniem. Jezus nie był cierpiętnikiem. Nie szukał cierpienia. Wielokrotnie bronił się przed krzywdzicielami. A gdy raz – z miłości do Ciebie i do mnie – zrobił wyjątek i dobrowolnie wydał się w ręce nieprzyjaciół, to w Ogrójcu na samą myśl o czekającym Go cierpieniu czuł taką trwogę, że aż pocił się krwią (por. Łk 22,39-44).

W pełni pojednać się z Bogiem może tylko ten człowiek, który wie, że Bóg zsyła nam jedynie swojego Syna, czyli Prawdę, Miłość i Radość. Wszystko inne pochodzi od ludzi i od złego ducha. Bóg nikomu nie ześle czegoś bolesnego. Stwórca nigdy nie ześle nam czegoś, przed czym wzbraniał się Jego ukochany Syn w ludzkiej naturze. Właśnie dlatego w pełni pojednać się z Bogiem może tylko ten, kto bez wahania uzna, że Bóg nie odpowiada za żadną formę cierpienia. Pojednać się z Bogiem do końca to uznać, że wszystko to, co w moim życiu i w życiu innych ludzi jest bolesne, nie pochodzi od Niego. To

z całą mocą powiedzieć sobie, że Bóg wziął mnie z miłością od mojego poczucia i że nigdy nie przestanie mnie kochać.

Pojednać się z Bogiem to odkryć, że w każdej fazie mojego życia Bóg pomagał, pomaga i będzie mi pomagał swoją obecnością i miłością, abym szedł drogą błogosławieństwa i życia, a nie drogą cierpienia i agonii. Pojednać się z Bogiem to uznać, że On wie, iż cierpienie jest dla nas groźne, bo prowadzi wielu ludzi do załamania i rozpacz, do buntu wobec Stwórcy i do samobójstwa. Pojednać się z Bogiem do końca to odkryć, że On nie zsyła nam nawet tego cierpienia, z którego mądrze korzystamy i które mobilizuje nas do nawrócenia, jak to miało miejsce w przypadku syna marnotrawnego. Żadne cierpienie nie jest zamierzone przez Boga. W każdym natomiast cierpieniu Bóg pomaga nam swoją obecnością i miłością, byśmy okazali się silniejsi od tego cierpienia i nie ulegli rozpacz.

Czasem któryś z moich rozmówców twierdzi, że nie ma potrzeby, żebym „broniał” Boga i żebym tak stanowczo podkreślał, że On nie zsyła na nas cierpienie i krzyż, lecz czyni wszystko, byśmy z Jego pomocą uwalniali się od tego, co nas boli. Niektórzy z nich twierdzą, że nie ma takiej potrzeby, gdyż są przekonani, że potrafiliby zaprzyjaźnić się z Bogiem i zawierzyć Mu swoje życie nawet wtedy, gdyby zsyłał im to, co bolesne. Takie zdanie wyrażają częściej kobiety niż mężczyźni. Nie mam wątpliwości, że to ich przekonanie jest szczerze. Doświadczenie pokazuje jednak, że nie da się zaprzyjaźnić na śmierć i życie z Bogiem, który stworzyłby nas do szczęścia i radości, a jednocześnie zsyłałby nam to, co oddala nas od szczęścia i chęci życia. Tak jak nie da się z radością trwać latami przy człowieku, który zsyła na nas bolesne cierpienia, tak nie dałoby się trwać z radością na całą wieczność w Bogu, gdyby On zsyłał

nam to, czego Jego własny Syn nie chciał w Ogrójcu i na krzyżu. Wcześniej czy później nie tylko wykrzyczelibyśmy z Jezusem: *Boże mój, Boże mój, czemuś Mnie opuścił?* (Mt 27,46), ale też zbuntowalibyśmy się na takiego Boga. Byłoby to jedynie kwestią czasu i skali cierpienia.

Pojednać się do końca z Bogiem to odkryć, że On trwał przy nas i że kochał nas także w tych sytuacjach czy w tych latach naszego życia, w których z jakichś względów byliśmy subiektywnie przekonani, że nas nie kochał, że o nas zapomniał, że kochał nas mniej niż innych ludzi albo że mógł nas kochać i pomagać nam bardziej, niż to robił. Pojednać się z Bogiem to uświadomić sobie, że jeśli w jakimś okresie mojego życia wydawało mi się, że Bóg za mało okazywał mi swoją obecność i miłość, to przyczyna takiego odczucia leżała po mojej stronie. To moja postawa lub postawa innych ludzi sprawiała, że zamykałem się na znaki obecności Boga w moim życiu i że nie wierzyłem w Jego miłość. Pojednać się z Bogiem to uznać, że całkowita odpowiedzialność za zerwane z Nim więzi leży po stronie człowieka.

Czy jednak to nie sam Jezus wyjaśnia, że przynajmniej niektóre cierpienia i krzyże pochodzą od Boga? Przecież mówi wprost: *Jeśli ktoś chce iść za Mną, niech się wyrzeknie samego siebie; niech weźmie swój krzyż i niech Mnie naśladuje* (Mt 16,24). W tym stwierdzeniu Jezusa o wzięciu krzyża najważniejsze jest słowo „swoj!”. Chodzi o krzyże dźwiganie przez słuchaczy Jezusa, a nie o Jego krzyż! Jezus nie ześle nikomu krzyża. Wyjaśnia natomiast, że kto chce pójść za Nim, ten powinien przyjść do Niego z całą swoją rzeczywistością, a więc także ze swoimi słabościami, cierpieniami i krzyżami. Warunkiem pójścia za Jezusem nie jest doskonałość, lecz realizm, czyli pójście

za Nim ze wszystkim, co nosimy w sercu, a zatem również z tym, co nas boli, i z krzyżami, jakie sami nakładamy sobie czy jakie nakładają na nas inni ludzie.

Skoro Bóg jest niewinny i nie zsyła nam tego, co bolesne, skoro Jezus chce, by Jego radość była w nas i by nasza radość była pełna (por. J 15,11), to w takim razie pojawia się pytanie o źródło cierpienia i tego, co nazywamy krzyżem. Pytanie to jest zasadne i nurtuje ludzi wszystkich czasów i każdego kolejnego pokolenia. Odpowiedź, jakiej na to pytanie udziela chrześcijaństwo, jest jednoznaczna: głównym źródłem cierpienia jest człowiek, gdy – jak Adam i Ewa – nie słucha Boga, a także szatan, oczywiście na tyle, na ile ulegają mu poszczególni ludzie i całe społeczeństwa. Jesteśmy w stanie ukonkretnić tę odpowiedź.

Nasze cierpienie bywa, po pierwsze, ceną za miłość do ludzi niedoskonałych: za miłość małżeńską, rodzicielską, kapłańską, za miłość odpowiedzialnego wychowawcy i wiernego przyjaciela, za miłość patrioty i człowieka sprawiedliwego, za miłość człowieka, który wprowadza pokój, który przebacza, który kocha nawet nieprzyjaciół, który staje się dla innych ludzi bezinteresownym darem, który kocha tak, jak Chrystus pokochał nas pierwszy. W każdym z tych przypadków cierpienie jest ceną za naśladowanie Chrystusa. Nawet wtedy, gdy miłość do niedoskonałych i grzesznych ludzi wprowadza nas na drogę krzyżową, nasze życie nie przestaje być drogą błogosławieństwa. Cena za miłość bywa szczególnie bolesna wtedy, gdy kochamy tych, którzy nas nie kochają i których wyjątkowo trudno kochać. Lepiej jednak cierpieć, czyniąc dobrze, niż cierpieć, czyniąc źle.

Drugim źródłem cierpienia jest nasz grzech. Każdy grzech nieuchronnie prowadzi do bolesnych konsekwencji. Bóg

przestrzega nas przed grzechem właśnie dlatego, że nie chce, byśmy skazywali siebie na cierpienie. Przykładem cierpienia wynikającego z grzechu jest historia syna marnotrawnego, który nie był karany ani przez ojca, ani przez innych ludzi. On sam zsyłał sobie cierpienie w postaci głodu, osamotnienia i poniżenia.

Cierpienie, którego doświadczamy na skutek popełnianego przez nas zła, jest nam potrzebne po to, byśmy mogli się zastanowić i zmienić dotychczasowy, błędny sposób postępowania. Niestety, nie wszyscy ludzie wyciągają wnioski z cierpienia, które zadają sami sobie. Niektórzy brną w jeszcze większe zło, a winę za swoją dramatyczną sytuację przypisują niewinnemu Bogu. Gdyby Bóg dokonywał cudów i odbierał nam cierpienie, które sami sobie zsyłamy jako skutek naszych błędów, to wtedy błędzilibyśmy jeszcze bardziej, gdyż po grzechu pierwotnym łatwiej jest czynić zło niż dobro. Po co mielibyśmy wybierać dobro, jeśli czynienie zła nie wiązałoby się z cierpieniem?

Po trzecie, bywa i tak, że cierpimy zupełnie bez naszej winy, na przykład na skutek jakiejś nieuleczalnej i niezawinionej przez nas choroby albo na skutek jakiegoś kataklizmu przyrody, choćby z powodu powodzi, która zniszczyła nasz dobytek. W takim przypadku cierpienie pozostaje tajemnicą, ale i wtedy możemy być całkowicie pewni, że to nie Bóg zesłał nam takie doświadczenie i że to nie On jest sprawcą naszego cierpienia. Zwykle za niewinnym cierpieniem jednego człowieka kryje się wina drugiego. W takich przypadkach najczęściej zdajemy sobie z tego sprawę, a mimo to wolimy atakować niewinnego Boga niż naszego rzeczywistego krzywdziciela. W głębi serca wiemy bowiem, iż Bóg nigdy nie robi

nam krzywdy, a krzywdziciel może skrzywdzić nas ponownie wtedy, gdy powiemy mu o złu, które nam wyrządził, albo gdy upomnimy się o zadośćuczynienie.

W Starym Testamencie w wielu miejscach spotykamy się z twierdzeniem i przekonaniem o tym, że Bóg zsyła cierpienie albo je dopuszcza. Ówcześni ludzie nie potrafili jeszcze uświadomić sobie tak wyraźnie jak my związku między ich grzechami a niezawinionym cierpieniem wielu ludzi – ofiar krzywd, zdrad, wojen czy kataklizmów natury, którą człowiek zaczął zaburzać. Dopiero wtedy, gdy Bóg w Jezusie Chrystusie do końca objawił swoją miłość, mogliśmy odkryć, że On chroni nas przed tym wszystkim, co nazywamy krzyżem i co odbiera nam radość.

Gdy ktoś krzywdzi siebie lub gdy zadaje nam cierpienie, to nie dlatego, że Bóg takie zachowanie dopuszcza, lecz dlatego, że ten człowiek nie słucha Boga ani się z Nim nie konsultuje. Moglibyśmy mówić o tym, że Bóg dopuszcza zło w postaci grzechu czy niezawinionego cierpienia jedynie wtedy, gdyby sprawcy tego zła konsultowali się z Bogiem i gdyby uzyskali od Niego choćby milczącą zgodę. W rzeczywistości nikt nie otrzymuje od Boga żadnej formy zgody na wyrządzanie komuś krzywdy czy na zadawanie komuś cierpienia. Przeciwnie, Bóg w swoim wcielonym Synu czyni wszystko – do śmierci na krzyżu włącznie – by już nikt z nas nikogo nie krzywdził, lecz by każdy z nas kochał oraz chronił przed cierpieniem siebie i bliźnich. Wolą Boga jest to, byśmy się wzajemnie miłowali na wzór Jego Jedyne Syna.

Gdy rozmawiam z ludźmi, którzy twierdzą, że Bóg dopuszcza krzywdy i niezawinione cierpienia, które są ich udziałem, to przy bliższej analizie okazuje się, że w głębi serca

ludzie ci wiedzą, że zło nie pochodzi od Boga i że Bóg nie tylko żadnego zła nie dopuszcza, ale stanowczo się sprzeciwia każdej jego formie i zawsze staje po stronie krzywdzonych. Dla większości moich rozmówców twierdzenie, że Bóg dopuszcza zło czy krzywdę, oznacza coś innego, niż wynikałoby z dosłownego rozumienia ich słów. Za pomocą tego wyrażenia komunikują oni to, że czują się kochani i wspierani przez Boga także wtedy, gdy ktoś ich krzywdzi. Wiedzą, że Bóg jest wtedy po ich stronie, że ich nie opuścił ani o nich nie zapomniał, że pomaga im, by się bronili bez ulegania pokusie zemsty czy bez popadania w rozpacz.

Przypuszczam, że także święci mówili właśnie w tym znaczeniu o dopuszczaniu zła przez Boga. Gdy chodzi o stygmatyków, to są oni zjawiskiem wyjątkowym, a z wyjątków nie wynikają żadne powszechnie obowiązujące reguły. Być może oni tak bardzo utożsamiali się z męką Jezusa, że aż fizycznie stawali się do Niego podobni również i w tym względzie. Tylko w jednym aspekcie można powiedzieć, że Bóg dopuszcza zło, krzyże, niezawinione cierpienia, a mianowicie w tym znaczeniu, że Bóg dał człowiekowi prawdziwą wolność. Tę wolność Stwórca respektuje nawet wtedy, kiedy źli ludzie podnoszą na Niego rękę, gdy przychodzi do nas w ludzkiej naturze. Uczeń Jezusa wie, że wolność ma sens, bo tylko ludzie wolni mogą kochać i stawać się podobni do Boga. Kto kocha, ten nie zsyła krzyży i cierpień ani bliźnim, ani sobie. Kto natomiast jeszcze nie kocha, ten dzięki wolności ma szansę nawrócić się i z pomocą Boga zacząć kochać tak, jak sam pierwszy został pokochany.

W kontekście niewinnego cierpienia pojawia się poważna wątpliwość: skoro Bóg nie chroni nas przed niewinnym

cierpieniem, to albo nas nie kocha, albo nie jest wszechmocny. Na tak postawiony problem chrześcijaństwo odpowiada stanowczo: Bóg kocha nas i jest wszechmocny, jednak używa swej wszechmocy jedynie na sposób miłości. A to znaczy, że nie steruje naszym losem, bo Bóg nie jest dyktatorem. Oczywiście Stwórca mógłby używać swej wszechmocy po to, by nie pozwolić jakiemuś bandycie, aby na mnie napadł, czy sprawić, by pijany kierowca nie najechał na mnie samochodem. Gdyby jednak to czynił, wtedy sterowałby światem w taki sposób, że stalibyśmy się jedynie bezwolnymi marionetkami w Jego ręku. Musiałby odbierać wolność nie tylko innym ludziom, ale również i mnie, bo przecież mnie także zdarza się, że świadomie czy wbrew mej woli, na przykład ze słabości, zadaję cierpienie innym ludziom. I to najczęściej tym, których najbardziej kocham.

Bóg nie steruje światem, ale też nie pozostaje obojętny na nasze cierpienie. Czyni wszystko, byśmy ustrzegli się tego, co odbiera nam radość życia. Daje nam przykazania, które chronią nas przed krzywdą i cierpieniem. Wskazuje nam optymalną drogę postępowania, czyli życie w miłości i prawdzie właśnie po to, byśmy już tu, na ziemi, żyli długo i szczęśliwie.

Skoro chrześcijaństwo jest religią radości i skoro Bóg czyni wszystko, aby nasza radość była pełna, to w takim razie dlaczego w chrześcijaństwie tak ważny jest krzyż – symbol straszliwego cierpienia? Otóż, symbolem chrześcijaństwa nie jest jakikolwiek krzyż, lecz wyłącznie krzyż Chrystusa, gdyż, oddając za nas życie na krzyżu, Zbawiciel w sposób szczególny i ostateczny objawił nieodwołalną miłość Boga do człowieka. Zbawienie nie przyszło przez krzyż. Czasem używamy wprawdzie tego sformułowania, ale jest ono jedynie skrótem

myślowym. Zbawienie przyszło przez miłość niewinnego Boga-Człowieka, którego grzeszni ludzie przybili do krzyża. Odtąd krzyż jest wyrazem tajemnicy, która jest większa niż sam krzyż. A jednocześnie pozostaje on znakiem niepokojącym, bo krzyż Chrystusa nie jest przecież tym samym krzyżem, co krzyż złoczyńców.

Święty Paweł miał świadomość tego, że ukrzyżowany Chrystus przez jednych ludzi będzie uznany za głupstwo, a przez innych za zgorzenie. Pisał wprost: *Tak więc, gdy Żydzi żądają znaków, a Grecy szukają mądrości, my głosimy Chrystusa ukrzyżowanego, który jest zgorzeniem dla Żydów, a głupstwem dla pogan, dla tych zaś, którzy są powołani, tak spośród Żydów, jak i spośród Greków, Chrystusem, mocą Bożą i mądrością Bożą* (1 Kor 1,22-24). Krzyżem Chrystusa gorszą się ci, którzy marzą o przemocy miłości, czyli o zwycięstwie dobra nad złem kosztem wolności i godności człowieka. Bóg tak „kochający” rzeczywiście nigdy by nie pozwolił się ukrzyżować, ale też nie byłby Bogiem, który jest Miłością i który respektuje wolność człowieka. Z kolei krzyż Chrystusa uważają za głupstwo ci, którzy lekceważą miłość Boga do człowieka. Oni szydzą z Ukrzyżowanego, gdyż są wyznawcami znacznie mniejszej „miłości”. Oni wyznają „miłość” niewierną i wygodną, która w rzeczywistości jest zamaskowanym egoizmem.

Pojednać się z Bogiem w pełni może jedynie ten, kto uczy się od Stwórcy twardego realizmu. Bóg nie ukrywa przed człowiekiem, że po grzechu pierwotnym nikt z nas nie uniknie cierpienia, bo niektórzy wybierają drogę przekleństwa i śmierci. Jednocześnie przypomina nam o tym, że cierpienie nie jest celem naszego życia. Jest zawsze ciężarem. Czasem niemiłosiernym i nieznośnym. Ono ma sens tylko wtedy, gdy

prowadzi do prawdy i miłości, czyli do tego, co uwalnia nas od cierpienia. Prawdę tę ilustruje postawa sportowca, który podejmuje wielki wysiłek i narzuca sobie żelazną dyscyplinę. Nie czyni tego po to, by cierpieć, lecz dlatego, że ma nadzieję na zwycięstwo, które przynosi radość. Pokonując ból i zmęczenie, już w czasie wyczerpującego treningu cieszy się perspektywą przyszłego zwycięstwa nad sobą i nad własnymi ograniczeniami. U zawodnika, który pierwszy wbiega na metę, grymas bólu przemienia się w uśmiech. W pełni jedna się z Bogiem ten, kto już wie, że Bóg robi wszystko, by Jego radość była w nas i by nasza radość była pełna.

Pojednać się z Bogiem do końca to nie tylko uświadomić sobie, że On nigdy nie jest przyczyną moich cierpień i krzyży. To nie tylko uznać, że w każdej sytuacji Stwórcy kocha mnie mocniej i mądrzej, niż mógłbym tego zapragnąć w najpiękniejszych nawet marzeniach. Pojednać się z Bogiem w pełni to także uznać, że Stwórca ma we wszystkim rację, że wszystkie Jego przykazania są słuszne, że wszystkie bez wyjątku są naszą mądrością i radością, że one niezawodnie prowadzą do szczęścia doczesnego i wiecznego.

Pojednać się z Bogiem to także uznać, że nie jest łatwo kochać nas, grzesznych ludzi, którzy często nie umiemy kochać nawet siebie, to uznać, że Bogu nie jest łatwo komunikować miłość do nas właśnie dlatego, że w niektórych sytuacjach obarczamy Go odpowiedzialnością za nasze złe czyny i za krzyże, które sobie nakładamy lub które nakładają na nas ludzie wtedy, gdy nie słuchają Boga. Nie jest łatwo okazywać nam miłość, bo często wytwarzamy sobie karykaturalny obraz Boga, czasem strasząc się Nim, a innym razem naiwnie się Nim pocieszając.

Pojednać się z Bogiem w dojrzały sposób to uznać, że Stwórca jest wobec nas miłosierny również wtedy, gdy nie wysłuchuje niektórych naszych prośb lub gdy nie kieruje się naszymi wyobrażeniami na temat Jego miłości. Pojednać się z Bogiem to żyć w całkowitym, nienaruszalnym zaufaniu w Jego miłość i w Jego mądrość. To słuchać Boga w każdej sytuacji i za każdą cenę. To trwać w przyjaźni z Nim w każdej okoliczności. To słuchać Go nie tylko bardziej niż innych ludzi, ale też bardziej niż siebie: niż swojego ciała, swoich przekonań, przeżyć, pragnień czy aspiracji.

Niektórzy twierdzą, że pojednanie z Bogiem – przynajmniej w pewnych przypadkach – wiąże się z tym, że to my, ludzie, mamy coś Bogu do wybaczenia, a nie tylko On ma coś do wybaczenia nam. Takie postawienie sprawy wiąże się z zupełnie błędnym założeniem, że czasem Bóg okazuje się krzywdzicielem i że potrzebuje wtedy przebaczenia z naszej strony. Jest jednak możliwa sytuacja, w której jakiś człowiek jest subiektywnie przekonany o tym, że Bóg zawinił czymś wobec niego. Dzieje się tak zwłaszcza wtedy, gdy ktoś bez żadnej winy ze swojej strony miał wyjątkowo bolesne dzieciństwo, wcześniej lub w tragicznych okolicznościach stracił kogoś bliskiego, borykał się z niezawinionymi przez siebie dotkliwymi trudnościami zdrowotnymi, psychicznymi, rodzinnymi czy społecznymi, stał się ofiarą kataklizmów czy rażącej niesprawiedliwości społecznej. Taki człowiek może ulec przekonaniu, że ostatecznie ma prawo obarczać Boga winą za ten stan rzeczy, bo to przecież On jest Stwórcą i Panem tego świata.

Ludziom, którzy mają żal do Boga i którzy przypisują Mu odpowiedzialność za zło i cierpienie, z jakim się stykamy w świecie doczesnym, warto wyjaśnić, że Bóg każdemu z nas

dał prawdziwą wolność. Jeśli nie wykorzystujemy tej wolności po to, by kochać i by stawać się coraz bardziej podobnymi do Boga, to wykorzystujemy ją w taki sposób, że sami zaczynamy cierpieć i że zadajemy cierpienia innym ludziom. W pierwszym odruchu – zwłaszcza w obliczu zupełnie niezawinionego przez nas cierpienia – mamy prawo wykrzykiwać: „Boże, za co mnie to spotkało? Dlaczego zesłałeś na mnie ten krzyż czy to cierpienie?”. Ważne jest jednak, by po takim emocjonalnym odruchu buntu przyszła refleksja i uświadomienie sobie, że Bóg zsyła nam swojego wcielonego Syna, a On przynosi nam swoją radość, a nie nasze krzyże.

Pojednanie z Bogiem w obliczu bolesnych tajemnic naszego życia polega na odkryciu, że Bóg rozumie nasz krzyk bólu i buntu oraz że z Jego pomocą jesteśmy w stanie pokonać każde zło i okazać się silniejszymi od każdego cierpienia. Człowiek pojednany z Bogiem nie boi się świadomości, że w przeszłości miał czasem niesłusznie żal do Boga, bo już wie, że to, co było czy jest bolesne w jego życiu, nie pochodzi od Boga, ale że z pomocą Boga każde trudne doświadczenie i każde cierpienie można zamienić w dobro. Człowiek pojednany z Bogiem ufa Mu w każdej sytuacji. Także wtedy, gdy niewinnie cierpi i gdy nie jest w stanie zrozumieć przyczyn swojego cierpienia.

5.2. POJEDNANIE Z SAMYM SOBĄ

Pierwszym z błogosławionych owoców nawrócenia i pojednania z Bogiem jest pojednanie człowieka z samym sobą. Nie jesteśmy w stanie uwierzyć w Boże miłosierdzie i być miłosierni dla bliźnich dopóty, dopóki żyjemy w konflikcie ze sobą, dopóki

odnosimy się do siebie z wrogością, dopóki jesteśmy niemiłosierni dla nas samych. Kto nie jest pojednany ze sobą, ten zamienia własne życie w nieznośny ciężar. Trudno przecież cieszyć się własnym istnieniem wtedy, gdy mamy do siebie żal za błędy popełnione w przeszłości czy za zło, które popełniamy tu i teraz. Trudno cieszyć się sobą, gdy działamy na własną szkodę, gdy krzywdzimy siebie, gdy doprowadzamy się do rozpaczycy czy mamy myśli samobójcze. To właśnie dlatego najpierw potrzebujemy pojednania z Bogiem. Gdy doświadczamy tego – jak marnotrawny syn, który powraca – że Bóg nie wypomina nam naszej nawet najbardziej złej przeszłości, lecz okazuje czułość i radość z tego, że ocaliliśmy się, to wtedy zaczynamy być zdolni do przyjęcia siebie w podobny sposób.

Nawet wtedy gdy doświadczymy już pojednania z Bogiem, pojednanie ze sobą pozostaje zwykle wyjątkowo trudnym zadaniem. Najtrudniej jest bowiem przebaczyć sobie i nie wracać już do przeszłości czy do złych wspomnień, którymi czasem wręcz się zadreczamy. Ilustracją tej prawdy może być następująca historia. Do księdza zgłasza się parafianka i twierdzi, że od pewnego czasu Bóg objawia jej się w czasie snu. Ksiądz reaguje niedowierzaniem. Wtedy kobieta zapewnia, że to nie są jej chore wyobrażenia, gdyż Bóg objawia jej za każdym razem jakieś ważne prawdy, o których ona wcześniej nie miała pojęcia. W tej sytuacji duchowny poleca kobiecie, by w czasie ponownego objawienia się Boga we śnie zapytała Go o grzechy tego księdza. Po tygodniu kobieta powróciła i wyjaśniła: „Proszę Księdza, Bóg objawił mi się w kolejnym śnie i powiedział, że już dawno zapomniał grzechy Księdza”.

Każdy z nas potrzebuje pojednania w relacji ze sobą przynajmniej z trzech ważnych powodów. Po pierwsze dlatego,

że każdy z nas czasem albo wręcz często krzywdzi siebie. Po drugie, człowiek potrzebuje pojednania ze sobą dlatego, że krzywdzi innych ludzi. Zło, które wyrządzamy naszym bliźnim, obciąża nieuchronnie nasze sumienie i powraca do nas w postaci niemiłych, a czasem bolesnych konsekwencji. Zło wyrządzone przez nas innym ludziom wcześniej czy później obraca się przeciwko nam. Jeśli to zło jest poważne i wyrządzone przez nas długofalowo, to ono ogromnie nas niepokoi i radykalnie niszczy nasze więzi z innymi osobami, począwszy od więzi z najbliższymi. Zło, którego dopuszczamy się w odniesieniu do bliźnich, powoduje w nas ogromne napięcia emocjonalne, natrętne myśli, poważne obawy o nasz los doczesny i o zbawienie wieczne. Nie jest łatwo żyć i w miarę normalnie funkcjonować wtedy, gdy ktoś słusznie żywi do nas głęboki żal, gdy przez nas płacze, gdy musi wzywać policję z naszego powodu, gdy już nam nie ufa, gdy w uzasadniony sposób czyni nas odpowiedzialnymi za swoje cierpienie. Ciężko jest nam żyć wtedy, gdy stajemy się dla kogoś przekleństwem i ciężarem, zamiast być błogosławieństwem i wsparciem.

Po trzecie, każdy z nas potrzebuje pojednania ze sobą dlatego, że w niektórych sytuacjach pozwala się krzywdzić innym ludziom. Jeśli ktoś krzywdził mnie wtedy, gdy byłem małym dzieckiem, to mam żal wyłącznie do krzywdziciela, bo przecież nikt nie ma prawa krzywdzić drugiego człowieka. Nie mam natomiast żalu do siebie, gdyż jako dziecko nie byłem w stanie skutecznie bronić się przed krzywdzicielem. Jeśli jednak ktoś krzywdził mnie wtedy, gdy byłem nastolatkiem czy gdy jestem już dorosły, to mam nie tylko żal do krzywdziciela, ale też odczuwam słuszny w tej sytuacji żal do siebie o to, że pozwoliłem się krzywdzić, że okazałem się naiwny, że nie

wyciągałem wniosków z niemiłosiernego nieraz postępowania innych ludzi. Ten żal do siebie jest szczególnie bolesny wtedy, gdy w mojej naiwności czy bezradności pozwalałem się krzywdzić przez całe lata, nie broniąc się w rozsądny sposób i nie podejmując wysiłku, by zmienić sytuację, która stała się dla mnie nieznośna.

Co powinienem zrobić z tym potrójnym żalem do siebie o to, że krzywdziłem siebie, że krzywdziłem innych ludzi, i to się teraz na mnie mści, a także o to, że pozwalałem się krzywdzić tym, którzy mnie dręczyli, zamiast kochać? Otóż, w takiej sytuacji powinienem naśladować miłosiernego Boga, który przebacza mi i który pomaga mi żyć w nowy, mądry i radosny sposób. Być miłosiernym wobec siebie to przebaczyć sobie minione błędy i grzechy, wyciągając z nich stanowcze wnioski tu i teraz, by do tych błędów i grzechów już nigdy nie powracać.

Pojednanie ze sobą nie polega zatem na przyznaniu sobie racji. Pojednać się ze sobą nie znaczy też zaakceptować siebie takiego, jaki jestem. Przeciwnie, punktem wyjścia w okazywaniu miłosierdzia sobie jest uznanie konieczności radykalnej przemiany siebie po to, by już nie krzywdzić bliźnich, by nie pozwalać na to, aby inni mnie krzywdzili i by nie być już nieprzyjacielem w odniesieniu do siebie. Okazać sobie miłosierdzie to uznać bolesną prawdę o własnych błędach i grzechach z przeszłości, przebaczyć sobie popełnione w przeszłości zło, jednak pod warunkiem, że już do niego nie powracam.

Dojrzałe przebaczenie sobie tego, co mnie boli we mnie i w moim dotychczasowym życiu, wymaga uznania faktu, że odnosi się ono jedynie do złej przeszłości, bo tej nie jestem w stanie już zmienić. Przebaczenie sobie nie może natomiast w żadnym wypadku odnosić się do mojej terażniejszości, jeśli

nadal czynię zło, które mnie niepokoi i które rani moją więź z samym sobą. Jestem bowiem w stanie zmieniać terażniejszość. Nie muszę tu i teraz pozostawać niewolnikiem bolesnej przeszłości i trwać w tym, co złe. Z tego właśnie powodu nigdy nie wolno mi przebaczać sobie złej terażniejszości. Jedynym lekarstwem na terażniejszość, która mnie niepokoi, jest natychmiastowe nawrócenie. Nie istnieje w tym względzie żadne inne lekarstwo. Kto grzeszy i nie nawraca się, ten jest niemiłosierny dla siebie. Ktoś taki nie będzie w stanie pojednać się ze sobą dopóty, dopóki zła przeszłość będzie jego terażniejszością, czyli dopóki nie przestanie popełniać błędów z przeszłości.

W dążeniu do pojednania ze sobą trzeba wystrzegać się dwóch niezwykle niebezpiecznych, wręcz destrukcyjnych postaw. Pierwsza skrajność polega na tym, że ktoś nie przebacza sobie błędów z przeszłości, chociaż już się nawrócił. Ktoś taki jest okrutny dla siebie, gdyż odbiera sobie nadzieję na lepszą przyszłość, nie przyznaje już sobie prawa do dobrej terażniejszości i do odzyskania radości życia. Ktoś taki niepotrzebnie i bezlitośnie zadręcza siebie. Tymczasem Jezus nie chce, byśmy się zadręczali, lecz byśmy się nawracali i przebaczaali sobie to zło, które jest już przeszłością.

Druga skrajność to pobłażliwość wobec siebie. To sytuacja, w której człowiek wprawdzie przebacza sobie minione błędy, lecz nadal do nich powraca i w dalszym ciągu wyrządza te same krzywdy sobie czy bliźnim. Warunkiem zamknięcia złej przeszłości jest wymaganie od siebie dobrej terażniejszości. Pojednać się ze sobą może jedynie ten, kto odciął się od grzesznej czy bolesnej przeszłości, czyli ten, kto tu i teraz kieruje się Dekalogiem, prawdą, miłością i odpowiedzialnością, kto zwycięża zło z przeszłości dobrem czynionym w terażniejszości.

Warunkiem dojrzałego pojednania ze sobą jest pokonanie zarówno pokusy bycia okrutnym wobec siebie, jak też pokusy pobłażania sobie i przebaczenia sobie zła, którego nadal się dopuszczam. Zwykle łatwiej jest nam być w dojrzały sposób miłosierdnymi dla innych ludzi niż dla siebie z tego powodu, że w relacji ze sobą przeżywamy wyjątkowo intensywne stany emocjonalne, które prowokują nas do postaw skrajnych. Jedynie wtedy, gdy w obliczu naszych słabości i grzechów naśladujemy miłosierną miłość Boga wobec człowieka, mamy szansę nie być dla siebie ani ludźmi okrutnymi, którzy zadręczają siebie, ani bezkrytycznymi i pobłażliwymi, czyli takimi, którzy naiwnie przebaczą sobie popełnione zło, mimo że nadal to zło popełniają i mimo że nadal nie wyciągają wniosków ze złej przeszłości.

Jednym z powodów pojawiających się trudności w dojrzałym przebaczeniu sobie i w mądrym pojednaniu ze sobą jest złe uformowane sumienie. W takiej sytuacji albo dany człowiek nie dostrzega swoich win i grzechów, albo też widzi zło tam, gdzie go nie ma, i zadręcza siebie niepotrzebnymi wyrzutami sumienia. Prawe i dobrze uformowane sumienie upomina nas, ale nie zadręcza. Ono mobilizuje nas do zmiany złej przeszłości, ale nie prowadzi do zadręczania siebie z powodu popełnionych przez nas błędów i grzechów. Dojrzałe przeżywane poczucie winy wyraża się poprzez smutek i żal, które pomagają nam w stanowczym dystansowaniu się od złej przeszłości i w uczciwym zadośćuczynieniu tym ludziom, których skrzywdziliśmy.

Natomiast wypaczone sumienie albo jest niewrażliwe na zło, które popełniamy, albo przeciwnie – widzi zło wszędzie, czyli także tam, gdzie go nie ma. W pierwszym przypadku nie uznajemy w ogóle potrzeby przebaczenia sobie grzesznej przeszłości, bo ze wszystkiego naiwnie się rozgrzeszamy,

a w przypadku drugim zadręczamy się skrupułami i przesadnymi wyrzutami sumienia, które sprawiają, że stajemy się więźniami przeszłości i nie mamy siły, by żyć mądrze i uczciwie w terażniejszości.

Poważna trudność w przebaczeniu sobie i w zamknięciu złej przeszłości ma miejsce wtedy, gdy ktoś ocenia swoje minione zachowania w oparciu o obecny stan sumienia czy o osiągnięty tu i teraz stopień świadomości i wrażliwości moralnej. Człowiek dojrzały wie, że sumienie – podobnie jak prawo – nie działa wstecz. Obecny stan sumienia powinniśmy oceniać nasze obecne czyny. Klasycznym przykładem niepotrzebnego zadręczania siebie jest sytuacja kobiety, która w przeszłości dopuściła się aborcji i nieraz przez wiele lat zadręcza się z powodu zabicia własnego dziecka. Nie uwzględnia przy tym faktu, że w tamtym czasie nie wiedziała jeszcze, iż w fazie rozwoju prenatalnego człowiek jest człowiekiem. Oceniając swój zły czyn, nie bierze też pod uwagę drugiego ważnego faktu, a mianowicie tego, że ojciec jej dziecka szantażował ją psychicznie i nalegał, aby zgodziła się na aborcję. Niemiłosierny dla siebie jest ten, kto obecnym stanem sumienia ocenia swoje złe czyny, które popełnił wtedy, gdy jego sumienie nie było jeszcze tak uformowane i wrażliwe, jak jest teraz. Dopóki trwa ten stan, dopóty dojrzałe pojednanie ze sobą pozostaje niemożliwe.

Inną przeszkodą w przebaczeniu sobie i w pojednaniu ze sobą bywa chora duma. Chodzi tu o taką postawę wobec siebie, która sprawia, że wymagam od siebie nadludzkiej wręcz doskonałości czy że ulegam pokusie perfekcjonizmu. Człowiek kierujący się taką chorą dumą, a przez to wyolbrzymionymi i nierealnymi oczekiwaniami wobec siebie, nie chce uznać faktu, że ma prawo być kimś niedoskonałym i że od początku

swego istnienia nie dysponował takim rozróżnianiem dobra i zła czy taką mądrością, jaką osiągnął wraz z upływem lat w oparciu o kolejne doświadczenia życiowe. Nie pojedna się ze sobą ten, kto ulega perfekcjonizmowi, czyli przekonaniu, że ma do wyboru jedynie dwie możliwości: albo będzie kimś doskonałym, albo ma wręcz obowiązek być nieszczęśliwy i zadrećać siebie z powodu najmniejszej choćby słabości czy niedoskonałości.

Pojednać się ze sobą jest w stanie jedynie ten, kto jest świadomy tego, że nie jest kimś doskonałym, bo nie jest Bogiem, i że po grzechu pierworodnym z reguły łatwiej jest mu czynić zło niż dobro. Pojednać się ze sobą potrafi tylko ten, kto przyznaje sobie prawo, by odnosić się do siebie z miłością, mimo rozczarowania sobą i zanim stanie się kimś dojrzałym, niż był dotąd. Pojednanie ze sobą blokuje natomiast ten, kto uważa, że najpierw powinien się radykalnie zmienić, a dopiero wtedy będzie miał prawo pokochać siebie i przebaczyć sobie złą przeszłość. Pojednać się ze sobą to przyjąć siebie z miłością i pomimo żalu i pretensji, jakie każdy z nas w określonych sytuacjach słusznie żywi do siebie.

Jezus wzywa nas do tego, byśmy kochali także nieprzyjaciół. To oznacza, że powinniśmy kochać siebie nawet wtedy, gdy w jakiejś fazie życia odnosimy się do siebie jak wróg. Pojednać się ze sobą potrafi ten, kto wie, że w relacjach międzyludzkich, a zatem także w relacji ze sobą obowiązuje zasada: najpierw miłość, a następnie rozwój i dojrzałość. Jedynie ten nieprzyjaciel, który doświadcza, że jest kochany, ma szansę się zmienić i przestać być wrogiem. Zasada ta dotyczy również tego nieprzyjaciela, którego od czasów Adama i Ewy każdy człowiek nosi w sobie.

Pełne pojednanie ze sobą oznacza coś więcej niż tylko przebaczenie sobie złej przeszłości, czyli wybaczenie sobie tego, że w przeszłości krzywdziliśmy siebie, że sprowadzaliśmy na siebie bolesne konsekwencje krzywd, jakie wyrządzaliśmy naszym bliźnim, czy że pozwalaliśmy się krzywdzić innym ludziom. W pełni pojednany ze sobą jest ten, kto pogodził się z faktem, że żyje, że bez własnej wiedzy i zgody został „wrzucony” w ten świat, że urodził się w tej konkretnej rodzinie i w tym konkretnym domu, w tym państwie i w tym czasie, że ma takie właśnie cechy fizyczne, psychiczne i duchowe, że chodził do tych szkół, że spotkał takich właśnie kolegów i znajomych, że otrzymał takie wychowanie i zdobył takie wykształcenie, że związał się z tymi konkretnymi ludźmi i że jego obecna sytuacja egzystencjalna jest taka, a nie inna.

Kto jedna się ze sobą w tym najgłębszym wymiarze, ten nie musi wmawiać sobie, że wszystko w nim samym, w jego historii i w jego relacjach międzyludzkich mu się podoba. Chodzi natomiast o to, by nie prowadzić wojny ze sobą. Pojednać się ze sobą to przyjąć bez buntu prawdę o własnej przeszłości i teraźniejszości. To nie tracić energii i siły na pytanie o to, dlaczego taka właśnie była moja przeszłość i dlaczego taka właśnie jest moja rzeczywistość, lecz skupić się na pytaniu o to, jakie wnioski wyciągam z przeszłości i co dobrego mogę uczynić ze skarbem mego człowieczeństwa w teraźniejszości.

5.3. POJEDNANIE Z TYMI, KTÓRYCH KRZYWDZIŁEM

Kto w dojrzały sposób pojednał się z Bogiem i ze sobą, kto doświadczył miłosiernej miłości Boga i przebaczył sobie zło,

którego dopuścił się w przeszłości, ten potrafi w dojrzalszy sposób popatrzeć na słabości innych ludzi. Taki człowiek uświadamia sobie, że inni – podobnie jak on sam – też są niedoskonalimi i czasem grzeszą. Dostrzega, że w niektórych sytuacjach oni sami nie wiedzą, co czynią, i że – podobnie jak on – potrzebują Bożego miłosierdzia oraz ludzkiego przebaczenia. Gdy ktoś nie potrafi z serca przebaczyć swemu bratu czy siostrze, to zwykle świadczy to o tym, że nie pojednał się jeszcze z Bogiem i że jest niemiłosierny wobec siebie. Im więcej miłosierdzia przyjmuję od Boga oraz im bardziej jestem pojednany ze sobą, tym bardziej skłonny jestem do wyciągnięcia ręki do tych ludzi, z którymi nie żyję w zgodzie. Nie jestem w stanie pojednać się z bliźnim, jeśli jestem w stanie walki ze sobą. Najpierw muszę uporządkować moje życie osobiste, dopiero wtedy będę gotowy do tego, by uporządkować moje trudne relacje z bliźnimi.

Potrzebujemy pojednania z drugim człowiekiem w dwóch różnych sytuacjach życiowych, a mianowicie wtedy, gdy kogoś skrzywdziliśmy, oraz wtedy, gdy sami zostaliśmy przez kogoś skrzywdzeni. Co mamy uczynić w tym pierwszym przypadku, czyli w sytuacji, w której to my potrzebujemy miłosierdzia od kogoś, wobec kogo byliśmy niemiłosierni? Otóż, w takim przypadku nie wolno mi iść do skrzywdzonej przeze mnie osoby i żądać czy prosić, by mi przebaczyła i by już nie wracała do przeszłości. Taka postawa z mojej strony byłaby przejawem arogancji oraz wyrazem lekceważenia zła, które wyrządziłem. Jeśli kogoś skrzywdziłem, to powinienem teraz wymagać czegoś od siebie, a nie żądać przebaczenia od bliźniego, którego skrzywdziłem. Moje zadania w tym względzie opisuje Jezus w pierwszej części przypowieści o dłużniku, który staje w obliczu swego wierzyciela:

Dlatego podobne jest królestwo niebieskie do króla, który chciał rozliczyć się ze swymi sługami. Gdy zaczął się rozliczać, przyprowadzono mu jednego, który mu był winien dziesięć tysięcy talentów. Ponieważ nie miał z czego ich oddać, pan kazał sprzedać go razem z żoną, dziećmi i całym jego mieniem, aby tak dług odzyskać. Wtedy sługa upadł przed nim i prosił go: „Panie, miej cierpliwość nade mną, a wszystko ci oddam”. Pan ulitował się nad tym sługą, uwolnił go i dług mu darował (Mt 18,23-27).

Jeśli chcę, by skrzywdzony przeze mnie człowiek przebaczył mi wyrządzone mu zło, to powinienem do niego pójść z własnej woli, a nie dlatego, że nie mam co jeść, gdzie mieszkać czy że ściga mnie policja. Mam pójść do tego człowieka nie po to, by go o coś prosić, lecz po to, by z bólem opisać zło, którego się dopuściłem, by szczerze za to zło przeprosić i by za to zło zacząć wynagradzać w sposób konkretny i wielkoduszny. Jeśli pożyczyłem pieniądze, to oddaję. Jeśli okłamywałem, to mówię, jaka jest prawda. Jeśli stosowałem przemoc, to teraz okazuję miłość i życzliwość. Jeśli zdradzałem, to teraz jestem wierny. Jeśli przysporzyłem cierpienia, to teraz wnoszę w życie tej drugiej osoby radość i nadzieję. Muszę zatem najpierw spełnić warunki, by skrzywdzony przeze mnie człowiek był skłonny mi przebaczyć.

Konieczne jest to, bym nie tylko uznał moje winy, które zaciągnąłem wobec bliźniego, i bym szczerze za te winy przeprosił. Nie mniej konieczne jest to, bym opisał kategorie krzywd, jakie wyrządziłem bliźniemu. Dopiero wtedy dla

skrzywdzonego przeze mnie człowieka stanie się jasne, że wreszcie do mojego sumienia dotarła świadomość zła, jakiego się dopuściłem. W tej dziedzinie grożą dwie skrajności. Skrajność pierwsza to ucieczka w ogólności, typu: „Przepraszam za to, że między nami różnie bywało”. Tego typu ogólnikowe stwierdzenie to ucieczka od prawdy o moich winach. Równie groźna jest skrajność druga, czyli szczegółowe opisywanie z detalami krzywd, jakich się dopuściłem. Jeśli mąż stosował przemoc wobec żony czy ją zdradzał, a teraz się radykalnie zmienił, to wręcz nie powinien opisywać szczegółowo sposobów, jakimi dawniej dręczył żonę czy szczegółów związanych z jego małżeńskimi zdradami. Takie szczegóły dodatkowo raniłyby bowiem tę osobę, którą pragniemy przeprosić. Chodzi tu zatem o wyliczenie kategorii wyrządzonych krzywd bez wchodzenia w szczegóły. To wystarczy, by krzywdzona przeze mnie osoba widziała, że się zmieniłem i że zrobiłem uczciwy rachunek sumienia.

Kolejnym warunkiem dojrzałego pojednania z osobą, którą krzywdziłem, jest cierpliwość z mojej strony. Zwykle ten, kto się zmienia, kto uznaje swoje winy, kto szczerze przeprosza i wynagradza, pragnie niemal natychmiast zobaczyć owoce podjętego przez siebie wysiłku. Tymczasem krzywdzona osoba potrzebuje nieraz dłuższego czasu, by się upewnić, że moje przeprosiny są szczerze i że moja zmiana postępowania jest stała. Cierpliwość jest ważna zwłaszcza w relacji kobieta – mężczyzna. Z reguły mężczyźni łatwiej jest zamknąć złą przeszłość i niemal natychmiast wyciszyć bolesne wspomnienia, jeśli krzywdziciel nawróci się, opiszę kategorie swoich win, szczerze przeprosi i zacznie wielkodusznie wynagradzać. Z perspektywy skrzywdzonych kobiet sprawa wygląda jednak

inaczej. Kobiety są zwykle wrażliwsze emocjonalnie niż mężczyźni, a psychiczne czy moralne zranienia goją się w ich przypadku znacznie dłużej. Jeśli mężczyzna nie uwzględni tego faktu i oczekuje natychmiastowego pojednania i zapomnienia ze strony kobiety, to zadaje jej kolejne cierpienie i oddala perspektywę pojednania.

Kto dotąd krzywdził, ten powinien być nie tylko cierpliwy, gdy stara się o odzyskanie pozytywnych więzi ze skrzywdzoną przez siebie osobą, ale powinien też przyznawać tej osobie prawo do weryfikacji jego nawrócenia i szczerości jego deklaracji. Nie można oczekiwać, że zmiany w relacjach międzyludzkich nastąpią natychmiast, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Jeśli mąż oszukiwał żonę i prowadził podwójne życie, to teraz nie tylko powinien się radykalnie zmienić, ale powinien też przyznać żonie prawo do kontrolowania go i do sprawdzania tego, co robi wtedy, gdy nie ma jej obok. Powinien umożliwić żonie dostęp do swojego komputera, do swojej korespondencji mailowej, do swoich stron na portalach społecznościowych czy do swojego telefonu komórkowego.

Podobnie ten, kto wychodzi z uzależnienia alkoholowego, powinien rozumieć, że jego bliscy – a zwłaszcza matka, żona czy córka – potrzebują wielu miesięcy, a czasem nawet lat, by znowu mu zaufać. Odzyskanie zaufania jest zwykle długim procesem. Bywa on utrudniony z tego względu, że krzywdzona wcześniej osoba może teraz poczuć się bezpieczna i znacznie odreagowywać swoje cierpienia doznane w przeszłości. Może się zdarzyć, że żona trzeźwiejącego alkoholika zacznie wypominać mężowi to, co jest już tylko jego bolesną przeszłością. Może mieć tendencję do tego, by zrzucać na męża odpowiedzialność za wszystko, co do tej pory było bolesne w ich

małżeństwie i rodzinie. Także za to, co w rzeczywistości nie było jego winą. W takiej sytuacji trzeźwiejący alkoholik ma prawo bronić się przed obciążaniem go odpowiedzialnością za nieswoje winy. Powinien jednak empatycznie wczuwać się w ciągle jeszcze bolesne przeżycia żony i zachowywać pogodę ducha. Trud pojednania ze skrzywdzoną osobą to jedna z nieuniknionych konsekwencji niemiłosiernego sposobu postępowania krzywdziciela w przeszłości.

Jeśli uczciwie spełnię wszystkie wyżej opisane warunki, by pojednanie ze skrzywdzoną przeze mnie osobą stało się możliwe, a mimo to bliźni nie będzie chciał mi przebaczyć i pojednać się ze mną, to ja i tak wchodzę już na drogę nawrócenia i zbawienia. Jestem bowiem odpowiedzialny za moją postawę wobec człowieka, którego skrzywdziłem, a nie za jego reakcję na moje nawrócenie, na moje przeprosiny i na mój trud wynagradzania za popełnione przeze mnie zło. Na końcu życia doczesnego Jezus nie zapyta mnie o to, czy otrzymałem przebaczenie ze strony tych, których skrzywdziłem, lecz o to, czy przestałem ich krzywdzić i czy zacząłem kochać (por. Mt 25,31-46).

W sytuacji, gdy nie chce mi przebaczyć i pojednać się ze mną ktoś, kogo przeprosiłem i kogo już nie krzywdzę, lecz kocham, to wtedy mam podstawy do niepokoju o los takiej osoby, gdyż okazuje się ona zatwardziała, a przynajmniej niedojrzała emocjonalnie. Ktoś taki nie naśladuje miłosiernego ojca, który urządza święto pojednania, gdy tylko syn marnotrawny wraca przemieniony i gdy szczerze przeprasza. Pełnia pojednania z osobą, którą dawniej krzywdziłem, ma miejsce wtedy, gdy się nawróciłem, gdy z serca przeprosiłem, gdy ofiarnie wynagrodziłem za popełnione zło, gdy tu i teraz odnoszę się do tej

osoby z miłością i gdy ona ze swojej strony odzyskuje do mnie zaufanie, gdy okazuje swoją radość z mojej przemiany, gdy na różne sposoby komunikuje mi wdzięczność za dobro, które czynię w terażniejszości. Taka pełnia pojednania jest możliwa w praktyce, a nie tylko w teorii.

Pewien mężczyzna opowiedział mi o tym, że przed laty bezlitośnie krzywdził swoją żonę, wikłając się w romans z inną kobietą. Po pewnym czasie radykalnie się zmienił, powracając do życia w miłości, wierności i uczciwości małżeńskiej. Odtąd zaczął kochać swoją żonę jeszcze bardziej niż przed kryzysem. Jego małżonka była obecna przy tej rozmowie. Miała w oczach łzy wzruszenia i z wielką radością potwierdziła, że teraz czuje się bardziej kochana i wspierana przez męża. Nawet wtedy, gdy pojednanie osiągnie taką pełnię, bolesne wspomnienia z przeszłości mogą się jeszcze pojawiać – zarówno u krzywdzonego, jak i u krzywdziciela. Jednak takie wspomnienia szybko przemijają i nie mają destrukcyjnego wpływu ani władzy nad nami, gdyż radosna terażniejszość jest dla nas zdecydowanie ważniejsza niż nawet najbardziej bolesna przeszłość.

5.4. POJEDNANIE Z TYMI, KTÓRZY MNIE KRZYWDZILI

Wbrew pozorom pojednanie z tymi, którzy mnie skrzywdzili, okazuje się zwykle bardziej skomplikowane niż pojednanie z tymi, których ja skrzywdziłem. Gdy to ja jestem krzywdzicielem, wtedy niemal cała odpowiedzialność za proces pojednania spoczywa na mnie, a kroki, które powinienem podjąć, są jasno określone. W takiej sytuacji mogę dokładnie uświadomić sobie wszystko to, co powinienem zrobić.

Natomiast w przypadku, gdy to ja jestem osobą krzywdzoną, zdecydowanie większa odpowiedzialność za naprawę zaburzonych relacji spoczywa na tej drugiej osobie. W tej sytuacji pole działania z mojej strony jest mniejsze. Zwykle łatwiej jest nam przepraszać, niż przyjmować przeprosiny. Zwykle też łatwiej jest nam odnaleźć się w sytuacji, w której rezultat podjętych wysiłków zależy głównie od naszego działania, niż w sytuacji, w której inicjatywa powinna należeć do kogoś innego.

Zadaniem osoby skrzywdzonej jest ustrzeżenie się przed postawami skrajnymi. Pierwsza skrajność to stawanie się niemiłosiernym wobec krzywdziciela. W tę skrajność popadają ci, którzy deklarują, że nigdy nie przebaczą swoim krzywdzicielom. Nie przebaczą nawet wtedy, gdy krzywdziciele spełnią zawiązką wszystkie warunki pojednania. Taka postawa jest przejawem okrucieństwa i zatwardziałości tych, którzy wcześniej zostali skrzywdzeni. Teraz oni stają się krzywdzicielami. Krzywdzą przede wszystkim siebie, gdyż stają się niewolnikami bolesnej przeszłości i sprawiają, że ich terażniejszość jest niemiłosierna. Pierwszą zatem skrajnością jest brak miłosierdzia. Drugą skrajnością można nazwać niemiłosiernym miłosierdziem, a dokładniej niemiłosiernie naiwnym miłosierdziem. W skrajność tę popadają ci, którzy nie tylko w sercu przebaczą krzywdzicielowi, ale też mówią mu o tym i okazują mu zaufanie, mimo że on nie zmienia się, nie przeprasza, nie wynagradza, lecz nadal krzywdzi.

Koniecznym warunkiem dojrzałej postawy wobec krzywdziciela i uczynienia wszystkiego, co tylko z naszej strony możliwe, by doszło do pojednania, jest najpierw pojednanie ze sobą. Nie będę w stanie pojednać się z ludźmi, którzy mnie krzywdzili, jeśli tu i teraz krzywdzę siebie. Jeśli w moim obecnym życiu mam poważny żal o coś do siebie, jeśli przeżywam

niepokój i ból w kontakcie ze sobą, to wtedy – zwykle nieświadomie – dążę do tego, by podtrzymywać napięcie w relacjach z innymi ludźmi. Mniej bowiem boli przekonanie, że cierpię z winy bliźnich, niż uznanie prawdy, że tu i teraz cierpię przede wszystkim z własnej winy.

Ilustracją powyższej zasady może być postawa studentki, która poprosiła mnie o rozmowę. Opowiedziała mi o tym, że kilka lat temu zmarł jej ojciec-alkoholik, który dręczył ją i jej matkę. Stwierdziła, że ma ogromny żal nie tylko do zmarłego ojca, ale też do żyjącej matki, która próbowała za wszelką cenę usprawiedliwiać pijaństwo męża, a swoje cierpienia i napięcia emocjonalne odreagowywała na jedynej córce. Moja rozmówczyni wyjaśniła mi, że w wakacje ma zamiar pojechać do rodzinnego domu i po raz pierwszy otwarcie wykrzyczy swój ból i pretensje. Wtedy zapytałem ją o to, jak wygląda jej obecne życie. Zareagowała zmieszaniem, a po chwili wyznała, że zaniedbała studia, że ma do zaliczenia dwa zaległe egzaminy i że pół roku wcześniej uwikłała się w więź z mężczyzną, który ją krzywdzi, a ona mimo to nie potrafi z nim zerwać.

Wyjaśniłem wtedy tej młodej kobiecie, że jeśli przed wyjazdem na wakacje solidnie przygotowuje się do egzaminów i natychmiast rozstanie się z mężczyzną, przez którego cierpi, wtedy znacznie się cieszyć życiem tu i teraz i dzięki temu będzie gotowa do dojrzałej rozmowy z matką na temat bolesnej przeszłości. Jeśli sama będzie dojrzała i szczęśliwa, to pojedzie do domu już nie po to, by odreagować na matce swoją złość, uwarunkowaną w dużym stopniu własnymi błędami popełnianymi tu i teraz, lecz po to, by powiedzieć matce o tym, że ją kocha i że już rozumie, jak trudno jest kobiecie bronić się przed mężczyzną, który krzywdzi, zamiast wspierać.

Moim pierwszym zadaniem jest nadal kochać krzywdziela. Uczeń Jezusa nie wycofuje miłości do nikogo, kocha także krzywdziela, gdyż miłość jest bezwarunkowa. Oznacza to, że osoba przez nas kochana nie musi zasługiwać na miłość. Nikogo nie wolno szantażować wycofaniem miłości. Po drugie, na nikim – choćby był największym krzywdzicielem – nie wolno się mścić. Trzecim zadaniem tego, kto został skrzywdzony, jest przebaczenie krzywdzicielowi minionych krzywd. Chodzi o przebaczenie, które dokonuje się w naszym sercu i na razie nie jest komunikowane krzywdzicielowi. O tym, że przebaczyliśmy naszemu winowajcy zło wyrządzone w przeszłości, mówimy Bogu, spowiednikowi i może komuś z naszych bliskich czy przyjaciół. Czy i ewentualnie kiedy powiemy o tym również samemu krzywdzicielowi, zależy nie od nas, lecz od jego postawy. Nie możemy uczynić nic mądrzejszego, niż odciąć się od bolesnej przeszłości i nie wspominać już zła, które ktoś nam kiedyś wyrządził. W przeciwnym przypadku niepożebnie rozdrapujemy rany z przeszłości.

Jeśli krzywdziciel, którego nie przestaję kochać, na którym się nie mszczę i któremu przebaczyłem w sercu minionie krzywdy, nie nawraca się, lecz nadal błądzi i w dalszym ciągu próbuje mnie krzywdzić, to tu i teraz mam prawo stanowczo się przed nim bronić. W skrajnych sytuacjach mam prawo wzywać policję, skierować sprawę do sądu, a nawet zdecydować się na separację małżeńską, gdy krzywdzicielem okazuje się małżonek. W sercu przebaczam krzywdzicielowi, choćby się jeszcze nie nawrócił, jednak zakomunikuję mu to przebaczenie wtedy, gdy spełni warunki, jakie Jezus ukazuje we wspomnianej już wcześniej przypowieści o dłużniku i wierzycielu.

Pojednanie z krzywdzicielem może mieć miejsce dopiero wtedy, gdy winowajca przyjdzie do mnie z własnej inicjatywy, gdy opíše zło, które mi wyrządził, gdy szczerze przeprosi, gdy – przemieniony i nawrócony – zacznie z własnej woli wynagradzać za krzywdy, których się dopuścił. Dopiero wtedy mogę powiedzieć, że w sercu przebaczyłem mu już dawno. Nie mogłem jednak tego zakomunikować wcześniej, gdyż komunikowanie przebaczenia komuś, kto nadal usiłuje mnie krzywdzić czy kto nie uznaje jeszcze swoich win, nie byłoby przejawem Bożego miłosierdzia, lecz ludzkiej naiwności czy bezradności. Pamiętajmy o tym, że ojciec z przypowieści Jezusa okazał miłosierdzie marnotrawnemu synowi wtedy, gdy syn przyszedł przemieniony, gdy uznał swoją winę, gdy żałował i przeprosił. I ani sekundy wcześniej!

Pojednanie z człowiekiem, który dopuścił się zła wobec mnie, oznacza zatem wybaczenie mu w moim sercu krzywd i win, które wyrządził mi w przeszłości, i stanowczą obronę z mojej strony przed kolejnym złem w teraźniejszości. Czy będzie oznaczać coś więcej, to już zależy od postawy winowajcy. Jeśli któregoś dnia uzna swój błąd, jeśli się nawróci i zacznie wynagradzać za wyrządzone mi zło, to pojednanie oznaczać będzie nie tylko przebaczenie mu jego minionych win, ale też stopniowe obdarowywanie go coraz większym zaufaniem i wdzięcznością tu i teraz. Jeśli natomiast błędzący nadal będzie próbował nas krzywdzić, to powinniśmy przebaczyć mu w sercu zło, które już nam wyrządził, ale tu i teraz mamy prawo się przed nim stanowczo bronić. Nie chcemy przecież, by ten, kto wyrządza nam krzywdy, stał się jeszcze większym krzywdzicielem niż dotąd.

W postawie wobec siebie i bliźnich powinniśmy zatem naśladować Boga, który jest miłosierny, ale nie jest nigdy naiwny.

Bóg jest mądrością. Jeśli mylimy miłosierdzie z pobłażaniem złu czy z rozpieszczaniem krzywdziciela, to jesteśmy niemiłosierni dla bliźnich, którzy błędzą, gdyż ułatwiamy im trwanie na złej drodze życia. Naszym zadaniem jest naśladowanie Boga, który w swym mądrym miłosierdziu przebacza nam za każdym razem, gdy się nawracamy i zaczynamy kochać, ale nie komunikuje nam swego przebaczenia dopóty, dopóki postępujemy źle. W przeciwnym przypadku Bóg nie mobilizowałby nas do nawrócenia i nie pomagałby nam w stawaniu się świętymi, czyli podobnymi do Niego.

Jezus wzywa nas do tego, byśmy nawet wielokrotnie przebaczaali naszym winowajcom i byli miłosierni (por. Mt 18,21-22). Nie znaczy to jednak, że mamy być naiwni i pobłażać ludziom błędzącym. Jeśli żona zadzwoni do męża, który mieszka z kochanką, i powie mu: „Mężu, ja ci wszystko wybaczam i twojej partnerce też!”, to taka postawa nie ma nic wspólnego z miłosierdziem i przebaczeniem. Nawet jeśli żona wróci do domu po umacniających ją duchowo rekolekcjach, jeśli uświadomi sobie dzięki łasce Bożej na tych rekolekcjach, że także i ona coś zawiniła względem męża i Bóg jej to wybaczył, jeśli pojednała się z Bogiem i z samą sobą, to nawet wówczas, nie powinna komunikować swojego przebaczenia mężowi, jeśli on trwa w cudzołóstwie zamiast się nawracać i wynagradzać. Powinna natomiast starać się przebaczyć mężowi w swoim sercu. Bóg przebacza nam zawsze, ale okazuje miłosierdzie dopiero wtedy, gdy się nawracamy i ani sekundy wcześniej. O losie krzywdziciela rozstrzyga to, czy się nawróci i zacznie kochać, a nie to, czy krzywdzona osoba mu przebaczy. Czasem księża głoszą konieczność przebaczenia, a później, na przykład na zakończenie rekolekcji, wydają polecenie: „A teraz idź

i się pojednaj!”. Stawiają wówczas przed świeckimi zadanie niemożliwe do wykonania. O ile bowiem przebaczenie jest procesem jednostronnym, o tyle do pojednania wymagane jest współdziałanie obydwu stron, a inicjatywa musi należeć do tego, kto krzywdził czy kto bardziej krzywdził. Jeżeli krzywdziciel radykalnie nawróci się i zacznie okazywać nam miłość, jakiej nigdy wcześniej nie okazywał, to będzie nam znacznie łatwiej nie tylko przebaczyć aktem świadomości i woli, ale też przebaczyć w wymiarze emocjonalnym. Wtedy wyciszają się myśli, wspomnienia, rany.

5.5. POJEDNANIE, GDY KRZYWDA JEST WZAJEMNA

Pojednanie jest procesem nie tylko błogosławionym, ale też trudnym. Sprawa komplikuje się wtedy, gdy obydwie osoby są współwinne, czyli obydwie – chociaż zwykle nie w tych samych proporcjach – w jakimś stopniu przyczyniły się do zerwania więzi między nimi czy do tego, że ich więź stała się źródłem cierpienia, zamiast być źródłem wzajemnego wsparcia i wzajemnego komunikowania sobie miłości. Chodzi zatem o sytuacje, w których jedna i druga strona jest w jakimś stopniu jednocześnie krzywdzicielem i krzywdzonym.

Dobrą ilustracją złożonego problemu odpowiedzialności za trudności, jakie pojawiają się w relacjach między ludźmi, jest kodeks drogowy, jaki obowiązuje we Włoszech. Gdy dojdzie tam do wypadku drogowego, to wtedy zadaniem policjanta nie jest – jak w większości innych krajów – ustalenie tego, który z kierowców zawinił, lecz określenie stopnia współodpowiedzialności obu kierowców za zaistniałą sytuację. Nawet

jeśli jeden z nich jechał drogą z pierwszeństwem przejazdu, a drugi uczestnik wypadku wyjechał z drogi podporządkowanej, to policjant bada, czy ten pierwszy także nie przekroczył przepisów, na przykład, czy nie jechał z niedozwoloną prędkością albo czy zachował szczególną ostrożność i zasadę ograniczonego zaufania, gdy zbliżał się do skrzyżowania. Jeśli policjant oceni, że w danym przypadku odpowiedzialność rozkłada się w proporcjach na przykład siedemdziesiąt do trzydziestu procent, to w tych samych proporcjach uczestnicy wypadku otrzymają od ubezpieczycieli zwrot kosztów naprawy ich samochodów. Tylko w sytuacjach zupełnie skrajnych i rzadkich policjant we Włoszech przypisuje sto procent odpowiedzialności jednemu z uczestników kolizji drogowej.

Stosowanie powyższej zasady współodpowiedzialności jest wyrazem realizmu, gdyż zwykle także strona niewinna ma jakiś udział w tym, co się stało. Jest to także przejaw roztropności ustawodawcy, gdyż mobilizuje każdego kierowcę do ostrożności i rozwagi także wtedy, gdy jedzie drogą z pierwszeństwem przejazdu czy gdy błąd popełnia nie on, lecz inny uczestnik ruchu drogowego. Podobne zasady należy stosować w relacjach międzyludzkich, w których doszło do jakiegoś „wypadku”, czyli w których więzi okazują się coraz bardziej wypaczone i coraz bardziej bolesne. Także tutaj raczej rzadko mamy do czynienia z sytuacją, w której całkowitą winę za zniszczenie więzi ponosi wyłącznie jedna strona. Trwałe i radosne pojednanie może być budowane jedynie na prawdzie i sprawiedliwości, a to wymaga od obu stron uznania swojej części odpowiedzialności za to, co negatywnego wydarzyło się pomiędzy nimi.

Zwykle nie doprowadzi do pojednania próba ustalenia, kto w danej sytuacji bardziej zawinił czy kto pierwszy zaczął

błądzić. Zwykle strony konfliktu nie są zgodne w tym względzie. Jeśli jakaś kobieta jest dręczona przez męża-alkoholika, to nie znaczy, że on jest w stu procentach krzywdzicielem, a ona jest w stu procentach jego ofiarą. Tak może to wyglądać w tej fazie ich życia. Sytuacja ta nie pojawiła się jednak nagle i nie zaistniała od razu w obecnej formie. Mąż raczej stopniowo popadał w uzależnienie i być może żona mogła wtedy szybciej albo mądrzej czy bardziej stanowczo reagować.

Mogło być i tak, że żona swoją niedojrzałą postawą, swoim utyskiwaniem w każdej sprawie czy swoimi nierealnymi oczekiwaniami mogła sprawić, że życie męża stawało się coraz bardziej nieznośne. Trzeba mocno podkreślić, że nawet skrajna niedojrzałość żony w najmniejszym stopniu nie usprawiedliwia błędów popełnianych przez męża. Oznacza natomiast obowiązek żony, by uznała swoją część odpowiedzialności za zaistniałą sytuację, jeśli chce uczynić to, co do niej należy, by naprawa więzi i pojednanie stały się możliwe.

Czy w sytuacji, gdy za rozbite więzi odpowiedzialne są obydwie strony, pierwszy krok ku pojednaniu powinna z definicji uczynić ta osoba, która bardziej zawiniła? Teoretycznie tak powinno być, ale w praktyce zwykle ten, kto bardziej skrzywdził, widzi inaczej proporcje współwiny niż ta druga osoba. Działają tu dobrze znane psychiczne mechanizmy obronne oraz system iluzji i zaprzeczeń. Nierzadko system ten przybiera formę nałogowego oszukiwania siebie przez jedną, a czasem przez obydwie strony konfliktu.

Człowiek dojrzały potrafi pierwszy wyciągnąć rękę do zgody także w sytuacji, w której to ta druga osoba ma większe winy na sumieniu. Każdy krok w stronę pojednania to krok błogosławiony. Trzeba jednak pamiętać, że jest pewien wyjątek od powyższej

zasady. Chodzi mianowicie o sytuację, w której wyjście z inicjatywą pojednania byłoby wykorzystane przez drugą osobę w sposób przewrotny, czyli taki, by całą odpowiedzialność za złe więzi rzucić na tego, kto czyni pierwszy krok, by te więzi naprawić. Jeśli żona wielokrotnie doświadcza, że jej mąż, który dopuścił się zdrady, za wszelką cenę szuka winnych za swój grzech wszędzie, tylko nie w sobie, to na razie nie powinna podejmować z mężem rozmów, w których mówiłaby o tym, w czym ona okazała się niedojrzała. Mówienie o własnych błędach czy winach do kogoś, kto nie ma zamiaru uznać swoich błędów i grzechów i kto wykorzystywałby naszą dobrą wolę do rozgrzeszania siebie, byłoby jedynie naiwnością. Pomagałoby tej drugiej osobie trwać w przewrotności i zadawać nam kolejne cierpienia.

Istotnym warunkiem pojednania jest zatem uznanie przez obydwie strony faktu, że ewentualne winy tej drugiej osoby nie upoważniały mnie do czynienia tego samego czy do popełniania innych błędów. Każdy jest odpowiedzialny za to, co sam zrobił. To, że małżonek zdradził i odszedł, nie daje mi prawa, bym też łamał moją przysięgę małżeńską i wchodził w związek cudzołożny z inną osobą.

Pojednanie jest możliwe jedynie wtedy, gdy obydwie strony kierują się prawdą i sprawiedliwością. Dzieje się tak dlatego, że pojednanie – podobnie jak wszystkie inne przejawy miłości – to coś więcej niż sprawiedliwość. Nie znaczy to, że proces ten może opierać się na kłamstwie czy niesprawiedliwości. To właśnie dlatego w pojednaniu nie można tuszować wzajemnych krzywd czy krzywd którejs z stron. Dobrze jest, gdy obie strony potrafią nawzajem siebie wysłuchać, ważne jest, by każda z osób mogła powiedzieć zarówno o krzywdach, które wyrządziła, jak i o tych, których sprawcą był rozmówca.

Pojednanie wymaga naprawienia wyrządzonych krzywd. Każda ze stron powinna tego dokonać w stopniu proporcjonalnym do zaciągniętych win i w takim wymiarze, w jakim jest to tylko możliwe. W niektórych przypadkach jedyną formą zadośćuczynienia jest czynienie dobra tu i teraz. Nie można żądać od tej drugiej osoby czy od siebie takich form zadośćuczynienia, które są niemożliwe do spełnienia czy które prowadziłyby do poniżania czy do zdręczania którejs z stron konfliktu.

Zadośćuczynienie w żadnym przypadku nie może przybierać form niemoralnych. Nie można na przykład decydować się na kradzież po to, by szybciej spłacić zaległe długi. Zdradzający małżonek nie może „pozwoić” współmałżonkowi na cudzołstwo po to, by „wyrównały się” rachunki krzywd. W tej sytuacji warunkiem pojednania jest to, że zdradzający staje się odtąd wierny i kochający, a nie że zdradzany zaczyna naśladować krzywdziciela.

Nie jest możliwe trwałe pojednanie wtedy, gdy jedna strona konfliktu przerzuca w sposób niesprawiedliwy cały ciężar odpowiedzialności na drugą stronę. Nie może też być owocne i skuteczne takie pojednanie, w którym jedna ze stron dla świętego spokoju, z chorego poczucia winy czy ze źle rozumianej odpowiedzialności bierze całą winę wyłącznie na siebie. Trwałe pojednanie nie jest też możliwe wtedy, gdy jedna strona z jakiegoś powodu „podkłada się” tej drugiej osobie, byle tylko osiągnąć pojednanie za wszelką cenę. W takiej sytuacji może dojść jedynie do pozornej poprawy wzajemnych relacji, jednak w sercu tego, kto „pojednał się” za cenę prawdy, sprawiedliwości czy własnej godności, pozostanie coraz bardziej bolesne poczucie żalu i krzywdy.

Każda forma jedynie pozornego pojednania, opartego na naiwności czy uległości jednej ze stron, prowadzi do jeszcze większego cierpienia, niż miało ono miejsce przed „poprawą” wzajemnych relacji. Każda ze stron powinna mieć swój udział w pojednaniu proporcjonalnie do własnych win i na miarę własnej odpowiedzialności.

Jedna z kobiet opowiedziała mi o swojej bardzo bolesnej sytuacji małżeńskiej. Po ślubie zamieszkała z mężem w domu jego owdowiałej już matki. Teściowa zajęła parter domu, a nowożeńcy zamieszkali na piętrze. Już kilka dni po ślubie okazało się, że teściowa nie żyje własnym życiem, lecz że od rana do wieczora przebywa w mieszkaniu syna i synowej, wtrącając się w najdrobniejsze nawet szczegóły dotyczące jedzenia, rytmu dnia, umeblowania. Gdy na świat przyszło ich pierwsze dziecko, teściowa postanowiła wychowywać wnuka „po swojemu”. Zachowywała się z taką arogancją, jakby rodzice dziecka zostali pozbawieni praw rodzicielskich. Na początku mąż mojej rozmówczynie nie chciał dostrzec wagi problemu. Gdy po dwóch latach wreszcie uznał, że jego matka wyrządza krzywdę jemu, a także jego żonie i dziecku, że wręcz niszczy jego rodzinę, wtedy zażądał od żony, by... wybaczyła wszystko teściowej. Wyjaśniłem mojej rozmówczynie, że problemem nie jest to, czy ona wybaczy teściowej, lecz to, czy teściowa przestanie się wtrącać w nieswoje sprawy i czy przeprosi za krzywdy, które wyrządziła.

Doświadczenie pokazuje, iż za pojednanie w relacji skrzywdzony – krzywdziciel częściej czują się odpowiedzialne osoby skrzywdzone. Osoby te są bowiem dojrzsze i wrażliwsze moralnie. Pragną one w trudnych sytuacjach, również w obliczu doznanych krzywd, naśladować Jezusa i dlatego chcą wyjść naprzeciw krzywdzicielowi. Taki jednostronny

wysiłek nigdy jednak nie wystarczy, by zmienić złe relacje i zamknąć bolesną przeszłość. Przebaczenie i pojednanie wymaga szlachetności od obu stron.

Chrystus w swoim nauczaniu wielokrotnie wzywa nas do hojności serca względem bliźnich, którzy wobec nas zawinili. W wielu przypowieściach opowiada o Bogu, który wielkodusznie przebacza człowiekowi i który chce, byśmy naśladowali Jego miłosierdzie. Jednak w każdej sytuacji mamy pamiętać o tym, że Bóg nie myli miłosierdzia i przebaczenia z udawaniem, że winowajca nie zrobił nic złego czy że nie musi nawracać się i ponosić konsekwencji swoich czynów.

Kroki, które mają prowadzić do pojednania, nie powinny być podejmowane pod wpływem chwilowego żalu czy lęku albo pod wpływem innych intensywnych stanów emocjonalnych. Emocje bywają ślepe i zwykle są złym doradcą. Krzywdzona żona nie powinna jednać się z krzywdzącym ją mężem na jawnie niesprawiedliwych warunkach tylko dlatego, że w tym momencie boi się, iż nie poradzi sobie w życiu bez męża. Podobnie narzeczona, której narzeczony zaczął się upijać i na różne sposoby ją krzywdzić, nie powinna godzić się na ślub dlatego, że boi się, iż on może zrobić sobie coś złego, jeśli ona zerwie zaręczyny.

Przed podjęciem kroków prowadzących do pojednania warto skonsultować się z kierownikiem duchowym czy jakąś osobą świecką, która cechuje się dojrzałością i ma spore doświadczenie duchowe. Warto też najpierw znaleźć czas na analizę tekstów biblijnych dotyczących tego zagadnienia i na osobistą modlitwę. Pomocne jest również uczestniczenie w rekolekcjach, które podejmują tematykę miłosierdzia, przebaczenia i pojednania.

Z pomocą Boga i szlachetnych, Bożych ludzi jesteśmy w stanie nie tylko przebaczyć krzywdzicielowi, ale też troszczyć się o jego los doczesny i wieczny. To ważny przejaw naszej miłości do nieprzyjaciół. Zdolność do przebaczenia i do wczuwania się w trudną przecież sytuację krzywdziciela umacnia nas duchowo, hartuje w dobru i wytrwałości, mobilizuje do pracy nad własnym charakterem. Gdy już wiemy, jak bardzo rani to, że inni ludzie wyrządzają nam krzywdę, to tym bardziej chcemy czynić wszystko, byśmy sami nie stali się krzywdzicielami.

W przebaczeniu i pojednaniu ogromnie pomaga empatia, czyli zdolność trafnego wczuwania się w obecną sytuację i w całą historię człowieka, który wobec nas zawinił. Kto jest empatyczny, ten dostrzega, że zwykle krzywdziciel nie zadaje nam bólu z premedytacją, lecz dlatego, że jest słaby, czy dlatego, że najpierw i przede wszystkim nie radzi sobie z własnym życiem. Dzięki empatii w trudnych relacjach skupiamy się bardziej na innych ludziach niż na nas samych, a przez to łatwiej jest nam panować nad naszymi reakcjami emocjonalnymi. Łatwiej też wtedy okazywać miłosierdzie w sposób wielkoduszny i jednocześnie mądry.

Wyjątkowo trudne bywa pojednanie z kimś, kto już umarł, i to niezależnie od tego, czy zmarły był krzywdzicielem, czy też to my wyrządziliśmy mu krzywdę i nie zdążyliśmy się z nim pojednać. W takiej sytuacji może rodzić się chore poczucie winy, bo uświadamiamy sobie, że pojednanie w doczesności nie jest już możliwe. W pierwszym momencie nie jesteśmy zwykle w stanie reagować inaczej. Czasem ogarnia nas przerażenie. Ważne jest, by stopniowo wyciszać swoje przeżycia i uwalniać się od dramatyzowania. Przez sam fakt,

że ta druga osoba zmarła, nasze winy wobec niej nie stają się przecież większe. Podobnie krzywdy, które ta osoba nam wyrządziła, nie powiększają swoich rozmiarów przez sam fakt, że winowajca już nie żyje.

Jeśli zmarły krzywdził nas, to nie możemy uczynić nic lepszego, niż zawierzyć jego los wieczny miłosiernemu Bogu, modląc się w intencji zmarłego i przebacząc mu z serca wyrządzone krzywdy, które są już przecież przeszłością. Jeśli z kolei to my krzywdziliśmy zmarłego, to z perspektywy wieczności on łatwiej rozumie nasze słabości i ograniczenia. Jeśli jest wśród zbawionych, to modli się w naszej intencji, a nie szuka zemsty. W obliczu Boga powiedzmy z głębi serca skrzywdzonemu przez nas zmarłemu, że uznajemy nasze winy i że przepraszamy. A najlepszą formą zadośćuczynienia będzie nasza codzienna miłość do bliźnich, a zwłaszcza do naszych bliskich, którzy jeszcze żyją i z których losem zmarły się utożsamia. W odniesieniu do zmarłego nie ma piękniejszej formy zadośćuczynienia z naszej strony niż dorastanie do świętości tu i teraz.

Gdy goimy nasze rany z przeszłości w oparciu o przyjęcie i naśladowanie miłosierdzia Boga, czyniąc wszystko, co z naszej strony możliwe, aby pojednać się ze Stwórcą, ze sobą i z bliźnimi, to wtedy dojrzałe zamknięta przeszłość staje się naszym duchowym bogactwem oraz motywacją do rozwoju i uczenia się coraz większej miłości. Człowiek, który w sposób mądry i sprawiedliwy uwalnia się od ciężaru nawet najbardziej bolesnej przeszłości, staje się błogosławieństwem dla siebie i dla bliźnich. Dorasta w ten sposób do duchowego ojcostwa czy macierzyństwa, wnosi w więzi małżeńskie i rodzicielskie oraz we wszystkie inne ważne więzi międzyludzkie pogodę ducha, nadzieję, życzliwość, cierpliwość i wytrwałość. Taki

człowiek staje się coraz bardziej podobny do Boga, który nigdy nie pobłaża złu, lecz zawsze okazuje miłosierdzie i przebaczenie tym, którzy się nawracają.

W Księdze Rodzaju Bóg wyjaśnia, że do zawarcia małżeństwa i założenia szczęśliwej rodziny są zdolni ci, którzy potrafią fizycznie i emocjonalnie opuścić swoich rodziców: *Dlatego opuści mężczyzna swego ojca i swoją matkę, a złączy się ze swoją żoną, tak że staną się jednym ciałem* (Rdz 2,24; por. Mt 19,5). Wiele osób nie jest w stanie opuścić swoich rodziców czy innych bliskich, dlatego, że mają niezamknięte rachunki krzywd. Czują się wtedy w obowiązku pozostawać tak długo przy nich, aż pojednanie stanie się możliwe. W sposób pogodny i szczęśliwy potrafią żyć jedynie ci, którzy opuszczają swoją bolesną przeszłość, by tu i teraz kochać oraz by tu i teraz wiązać się z tymi, którzy też kochają. Kto uczy się być miłosiernym synem czy córką, ten nauczy się też być mądrze miłosiernym ojcem czy matką, a także miłosiernym bliźnim dla wszystkich ludzi, którzy pojawią się na jego drodze.

Kilka lat temu po jednej z moich konferencji dla młodzieży podeszła do mnie maturzystka i płacząc, zapytała, czy ma przebaczyć komuś, kto ją bardzo skrzywdził, ale się nawrócił, uznał swoje błędy, szczerze przeprosił i wynagradza za popełnione zło. Widząc ogromne cierpienie nastolatki, próbowałem sobie wyobrazić, jak bardzo ktoś ją skrzywdził, skoro jest w takim stanie. Pomyślałem sobie, że w tej sytuacji powiem jej, iż przynajmniej na razie nie musi jeszcze przebaczać winowajcy, bo ma prawo skupić się na swoim cierpieniu i potrzebuje czasu na uleczenie doznanych zranień. Wtedy jednak uświadomiłem sobie, że mam mówić to, czego uczy mnie Jezus, a nie to, co podpowiada mi moje własne serce. Mam słuchać Boga

bardziej niż siebie. Wtedy – wbrew sobie – odpowiedziałem stanowczym tonem: „Jeśli ktoś bardzo Cię skrzywdził, ale nawrócił się, opisał swoje winy, szczerze przeprosił i wynagradza, to powinnaś mu przebaczyć”.

Myślałem, że po tak twardych słowach z mojej strony nastolatka będzie mieć ogromny żal do mnie o to, że – patrząc z jej perspektywy – stoję po stronie krzywdziciela. Tymczasem ona nagle przestała płakać. Po chwili na jej twarzy pojawiła się niezrozumiała dla mnie radość. Dziewczyna zaczęła wręcz promieniować radością. Ku mojemu zaskoczeniu wyjaśniła, że celowo wprowadziła mnie w błąd, bo w rzeczywistości to ona jest krzywdzicielką. Sprawiała wrażenie, że jest inaczej, gdyż nie wierzyła w to, że kiedykolwiek zasłuży na przebaczenie, mimo że wypełniła już wszystkie warunki, o których mówi Jezus w przypowieści o dłużniku. Pomyślała sobie, że jeśli już na początku wyjaśni, że to ona jest krzywdzicielką, to ja z litości powiem, że już zasłużyła na przebaczenie. Gdy natomiast zrelacjonowała swoją trudną sytuację z perspektywy ofiary, a ja z całą stanowczością stwierdziłem, że nawróconemu krzywdzicielowi powinno się przebaczyć, to już nie miała żadnych wątpliwości, że ona też zasługuje na przebaczenie.

Spotkanie z tamtą płaczącą maturzystką upewniło mnie, że nikt nie może uczynić nic mądrzejszego, niż słuchać Jezusa zawsze i wszędzie, a zatem również w tym, co odnosi się do przebaczenia i pojednania. Ludzie pojednani z Bogiem słuchają Jezusa także wtedy, gdy ich myśli czy serca podpowiadają im coś innego, niż mówi Bóg. Tylko ten, kto w każdej sytuacji słucha Jezusa nie tylko bardziej niż innych ludzi, ale też bardziej niż siebie, jest naprawdę pojednany z Bogiem i staje się błogosławieństwem dla bliźnich. Gdybym powiedział tej

cierpiącej dziewczynie to, co podpowiadało mi moje serce, w przekonaniu, że w ten sposób okazuję jej współczucie i miłosierdzie, to ona już do śmierci mogłaby nie uwierzyć w to, że Bóg jej wybaczył, że sama ma prawo wybaczyć sobie i że zasługuje na wybaczenie ze strony skrzywdzonej przez siebie osoby. Próba poprawiania tego, czego uczy nas Bóg, czy próba bycia bardziej miłosiernym od Boga zawsze kończy się tym, że stajemy się niemiłosierni dla siebie i dla innych ludzi.

Rozdział 6

NAWRÓCENIE

Bolesną przeszłość w najpiękniejszy i w najbardziej radosny z możliwych sposobów zamyka ten, kto tu i teraz czuwa nad sobą i codziennie na nowo nawraca się do coraz większej dojrzałości, by stawać się świętym. Każdy grzesznik ma szansę na nawrócenie. Grzech rani, ale nie zabija człowieka. „Nie ma takiej winy, nawet najcięższej, której nie mógłby odpuścić Kościół święty. Chrystus, który umarł za wszystkich ludzi, pragnie, by w Jego Kościele bramy przebaczenia były zawsze otwarte dla każdego, kto odwraca się od grzechu” (KKK 982). Z pomocą Boga i Kościoła niektórzy wielcy grzesznicy tak radykalnie zmienili samych siebie i swoje postępowanie, że stali się wielkimi świętymi. Bóg nie chce, by człowiek grzeszny zdręzczał się, lecz by się nawracał i odzyskał radość życia. Nawrócić się można tylko z miłości. Ze strachu przed karą czy piekłem można się jedynie chować przed Bogiem albo popaść w rozpacz.

6.1. PRZESZKODY W NAWRÓCENIU

Istnieje kilka typowych postaw, które utrudniają czy wręcz uniemożliwiają proces nawrócenia. Pierwszą z nich jest lekceważenie własnych słabości i grzechów. Człowiek ma tendencję do wyolbrzymiania cudzych słabości i do pomniejszania własnych. Jezus podkreślił to bardzo mocno: *Nie sądzicie, abyscie nie byli sądzeni. Bo takim sądem, jakim sądzicie, i was osądzą; i taką miarą, jaką wy mierzycie, wam odmierzą. Czemu to widzisz drzazgę w oku swego brata, a belki we własnym oku nie dostrzegasz? Albo jak możesz mówić swemu bratu: Pozwól, że usunę drzazgę z twego oka, gdy belka [tkwi] w twoim oku? Obłudniku, wyrzuć najpierw belkę ze swego oka, a wtedy przejrzysz, ażeby usunąć drzazgę z oka twego brata* (Mt 7,1-5). Lekceważymy grzechy i słabości, które rzeczywiście mogą nie być wielkie, ale które mogą skutecznie zaburzyć nasze więzi z innymi ludźmi oraz mogą stać się źródłem konfliktów, napięć i cierpienia. Przykładem takich – zdawałoby się – drobnych grzechów i słabości może być plotkowanie, stałe narzekanie na kogoś lub na coś, przesadna podejrzliwość, agresywność w słowach i zachowaniach, wygodnictwo, patrzenie na życie i świat wyłącznie z własnej perspektywy itp. Dopóki nie uznamy faktu, że radość życia zależy głównie od naszych codziennych postaw w drobnych sprawach i że nie możemy lekceważyć naszych „małych” słabości i grzechów, dopóty blokujemy sobie szansę na nawrócenie.

Drugą typową przeszkodą w nawróceniu jest porównywanie samego siebie z innymi ludźmi. Porównywanie siebie z bliźnimi ma z reguły na celu ucieczkę od prawdy o sobie albo usprawiedliwianie własnych grzechów i słabości.

W kontekście rachunku sumienia i nawrócenia porównujemy się najczęściej z tymi ludźmi, których w naszych subiektywnych ocenach uznajemy za gorszych od siebie. Wpadamy wtedy w kilka pułapek. Po pierwsze, osądzamy moralnie innych ludzi. Osądzamy nie tylko ich zachowania zewnętrzne, lecz także ich wewnętrzne motywy działania, ich stopień świadomości i wolności, ich sumienie. Takiej oceny może dokonać jedynie Bóg, gdyż tylko On zna serce człowieka. Po drugie, robiąc rachunek sumienia, nie porównujemy się zwykle z Chrystusem czy z tymi ludźmi, którzy potrafią Go naśladować w sposób wierny i ofiarny. Nie porównujemy się na ogół z postawą Jana Pawła II czy Matki Teresy z Kalkuty, aby się mobilizować i zmieniać, lecz raczej z postawą tych, których uznajemy za gorszych od nas, aby unikać stawiania sobie wymagań i aby „uspokoić” sumienie. Znalezienie choćby jednego człowieka, który wydaje się nam gorszy od nas samych, nie sprawi, że nasze postępowanie stanie się odtąd właściwe. Szczęście nie płynie z tego, że ktoś – w mojej opinii – jest gorszy ode mnie, lecz z tego, że ja naśladowuję Chrystusa, że kieruję się Jego miłością i prawdą. Po trzecie, porównując się z innymi ludźmi, zaczynamy przemianę i naprawę świata od żądania, by inni się nawrócili. Tymczasem każdy z nas jest odpowiedzialny najpierw za siebie, a nie za postawę bliźnich. Każdy chrześcijanin jest zobowiązany do podjęcia wysiłku osobistego nawrócenia, zanim będzie próbował pomagać innym, by się nawrócili. Tylko przemieniając samego siebie według wskazań Ewangelii, można przyczynić się do przemiany oblicza tej ziemi.

Ostatnią z typowych przeszkód w nawróceniu jest przekonanie danego człowieka, że nie jest on już w stanie się zmienić.

Ktoś taki nie neguje i nie lekceważy zwykle swoich grzechów. Nie porównuje siebie z innymi ludźmi, aby usprawiedliwiać własne słabości. Jednak – uznając własne grzechy – twierdzi, że już „taki jest” i że nic na to nie poradzi. Wbrew pozorom nie jest to postawa pokory, lecz przejaw wygodnictwa i egoizmu. Taki człowiek deklaruje bowiem pośrednio, że nie podejmie żadnego wysiłku i że nie zrobi nic, aby pokonać swoje słabości. Jedynie w świecie przedmiotów bywają procesy nieodwracalne. Nie można na przykład odzyskać stłuczonego kryształu czy spalonego przedmiotu. W świecie ludzi natomiast – poza zupełnie skrajnymi przypadkami – nie ma sytuacji nieodwracalnych. Od wielu lat pracuję z ludźmi uzależnionymi i wiem, że współpracując z łaską Bożą i stawiając sobie twarde wymagania, część z tych ludzi radykalnie zmieniła swoje życie. Nierzadko po kilkudziesięciu latach wyrządzenia ogromnych krzywd sobie i bliskim. To prawda, że każdemu z nas trudno jest pokonywać własne słabości. Jednak każdy z nas ma szansę, by się nawrócić i stać się nowym człowiekiem.

6.2. KRYTERIA NAWRÓCENIA

Gdy uda się nam uniknąć wyżej opisanych pułapek, które blokują nawrócenie, jesteśmy w stanie uznać własne grzechy i potrzebę nawrócenia. Pojawia się wtedy pytanie o to, z czego mamy się rozliczać i jakie są kryteria nawrócenia. Tradycyjnie przyjmuje się, że nawrócić się to zrobić szczerzy rachunek sumienia, żałować za popełnione grzechy i stanowczo postanowić poprawę, aby już do grzechów nie powracać. W rzeczywistości dojrzałe nawrócenie to coś więcej niż tylko odwrócenie

się od zła. Chrystus w sposób jednoznaczny wyjaśnia nam, że na końcu życia doczesnego sąдени będziemy z miłości. Do ludzi potępionych Chrystus mówi: *Idźcie precz ode Mnie, przekłęci, w ogień wieczny* (Mt 25,41b). Jednak nie mówi im: „Idźcie precz, bo jesteście grzesznikami”. Ci, którzy idą do nieba – poza Matką Bożą – są przecież także grzesznikami. Chrystus wyjaśnia potępionym, że są odrzuceni, *bo byłem głodny, a nie daliście Mi jeść; byłem spragniony, a nie daliście Mi pić; byłem przybyszem, a nie przyjęliście Mnie; byłem nagi, a nie przyodzialiście Mnie; byłem chory i w więzieniu, a nie odwiedziliście Mnie* (Mt 25,42-43). Los potępionych jest zatem konsekwencją faktu, że nie nauczyli się kochać. I to tak kochać, jak Chrystus nas pierwszy pokochał: miłością bezwarunkową i ofiarną, miłością skierowaną do tych, którzy nie mogli nam odpłacić za naszą miłość, bo byli biedni, obcy, uwięzieni czy chorzy.

Do ludzi po prawej stronie Chrystus nie mówi, iż idą do nieba, gdyż są bez grzechu. Wtedy bowiem w niebie byłaby tylko Maryja – jedyna osoba w historii ludzkości wolna od wszelkiego grzechu. Ludziom zbawionym Chrystus wyjaśnia, że idą do nieba dlatego, że nauczyli się kochać (por. Mt 25,35-40). Można sobie wyobrazić, że w czasie sądu ostatecznego ktoś z ludzi po lewej stronie krzyknie: „Panie Boże, to chyba jakaś pomyłka, bo wśród ludzi idących do nieba widzę mojego sąsiada, który był publicznym grzesznikiem!”. Wtedy Bóg może mu odpowiedzieć: „Masz rację, człowieku. Twój sąsiad miał na sumieniu poważne grzechy, ale on potrafił się nawrócić i zaczął kochać. Idzie zatem do nieba. A ty rzeczywiście nie masz na sumieniu tak wielkich grzechów jak on, jednak do końca życia nie nauczyłeś się kochać. Nie możesz więc wejść do nieba, bo niebo jest wspólnotą osób, które kochają”.

Chrystus nie pozostawia nam wątpliwości co do tego, że na końcu doczesności będziemy sądzeni z miłości. Być może ktoś powie, że Bóg stawia nam zbyt wysokie wymagania. Czyż do zbawienia nie powinno wystarczyć to, iż powstrzymujemy się od czynienia zła i od popełniania grzechów? Otóż, Chrystus ma rację, gdy wymaga od nas miłości. On wie, że jedynym sposobem, by nie czynić zła, jest czynienie dobra. Jedyny sposób, by nie grzeszyć, to kochać. Oczywiście nawrócenie wymaga rozrachunku z grzeszną przeszłością. Wymaga żalu i odwrócenia się od zła. Jednak jest to jedynie punkt wyjścia, a nie punkt dojścia. Jest to środek, a nie ostateczny cel pracy nad sobą. Człowiek, który się nawraca, powinien najpierw zapytać siebie o to, czy powstrzymywał się od czynienia zła: czy nie ubóstwiał jakichś rzeczy czy osób, czy nie stawiał ich w miejsce Boga, czy nie zabijał, nie cudzołożył, nie kłamał, nie kradł, czy nie wyrządzał krzywdy rodzicom i innym ludziom? Od tych pytań trzeba zacząć proces nawrócenia, ale na tego typu pytaniach nie można poprzestać. Człowiek, który nawraca się według kryteriów i wymagań Ewangelii, musi zadać sobie jeszcze trudniejsze pytania: czy zrobiłem innym to, co chciałem, by oni mnie czynili; czy nad moim gniewem nie zachodziło słońce; czy przebaczałem cierpliwie; czy kochałem nawet nieprzyjaciół; czy naśladowałem słowa i czyny Jezusa; czy ludzie, którzy obserwowali moje postępowanie, mogli chwalić Boga, który jest w niebie?

W świetle opisu sądu ostatecznego jest oczywiste, że postanowienie poprawy nie może ograniczać się do żalu za grzechy i do odwrócenia się od zła. To byłoby jedynie postanowienie negatywne, a więc zbyt małe, byśmy rzeczywiście mogli przemienić nasze życie i znaleźć się po stronie ludzi zbawionych. Skoro

zło zwyczają się jedynie dobrem i skoro sądzeni będziemy z miłości, to nawrócenie oznacza czynienie dobra oraz uczenie się miłości. Nawrócić się to zacząć kochać, jeśli jeszcze nie kochałem, lub kochać bardziej niż dotąd, jeśli już starałem się kochać. Nawrócić się to naśladować Chrystusa, to uczyć się kochać w sposób coraz bardziej odpowiedzialny, dojrzały i ofiarny – tak jak Jezus pierwszy nas pokochał. Sprawdzianem nawrócenia trwałego i zgodnego z zasadami Ewangelii jest podjęcie postanowień pozytywnych. Popatrzmy na kilka przykładów.

Jeśli ktoś postanawia, że nie będzie odtąd plotkował, to takiego postanowienia nie uda mu się prawdopodobnie zrealizować. Postanowił bowiem, że nie będzie czynił zła, a to jest zbyt mało, aby się nawrócić. Jedynym sposobem, by nie mówić źle o innych ludziach i by nie plotkować, jest nauczyć się mówić o nich z życzliwością i przyjaźnią. Jeśli się tego nie nauczymy, znowu będziemy krzywdzić bliźnich naszą mową i naszymi osądami. Jeśli zatem ktoś krzywdził innych ludzi obmową, podejrzeniami czy oszczerstwami, powinien postanowić, że będzie odtąd mówił o innych z miłością. Nie oznacza to, że mamy być naiwni i widzieć wszędzie jedynie dobro. Znaczy to natomiast, że gdy dostrzegamy błędy w zachowaniu danej osoby, nie mówimy o swoich spostrzeżeniach innym, lecz w cztery oczy rozmawiamy o tym z samym zainteresowanym. Czynimy to z przyjaźnią, szacunkiem i cierpliwością.

Inny przykład to osoba, która nadużywa alkoholu. W takiej sytuacji człowiek, który pragnie zmienić swoje życie, postanawia najczęściej, że już nie będzie nadużywał alkoholu. Zwykle nie dochowa wierności takiemu postanowieniu, gdyż zdecydował się na zbyt mało. Nadużywanie alkoholu przez dorosłych czy sięganie po alkohol dzieci i młodzieży nie jest

zjawiskiem przypadkowym. Jest jedną z konsekwencji kryzysu życia i kryzysu więzi z samym sobą, z Bogiem i z drugim człowiekiem. Często jest też przejawem choroby alkoholowej. Człowiek nadużywający alkoholu powinien postanowić, że już nigdy nie będzie sięgał po alkohol, skoro dotąd nie umiał postąpić się nim w sposób odpowiedzialny, a więc jedynie w symbolicznych ilościach. Jednak i takie postanowienie byłoby niewystarczające. Skoro sięganie po alkohol jest jednym ze skutków kryzysu życia, w takiej sytuacji człowiek mający problemy z alkoholem powinien postanowić, że gruntownie zmieni swoje postępowanie w życiu osobistym, rodzinnym i zawodowym w taki sposób, by doświadczyć trwałej radości i pokoju sumienia, by odzyskać przyjaźń z Bogiem i ludźmi, by pokonywać swoje trudności bez sięgania po substancje chemiczne, które obiecują ulgę, oszukują, uzależniają i zabijają na raty. Jedynym sposobem, by nie żyć w pijaństwie, jest uczenie się radosnego i szlachetnego życia na trzeźwo.

Kolejny przykład to sytuacja człowieka, który kłamie. Jego nawrócenie nie może ograniczać się do postanowienia, że już więcej nie będzie kłamać. Jedynym bowiem sposobem, by nie kłamać, jest mówienie prawdy. Skłonność do kłamstwa – podobnie jak nadużywanie alkoholu – nie jest zachowaniem przypadkowym. Jest konsekwencją nieuczciwego postępowania, które dana osoba usiłuje ukryć lub „usprawiedliwić”. Rzeczywiste uwolnienie się od kłamstw jest możliwe tylko wtedy, gdy dana osoba postanowi postępować tak szlachetnie we wszystkich dziedzinach życia, by nie mieć potrzeby ukrywania czy usprawiedliwiania własnych błędów.

Ostatni przykład dotyczy osoby, która boryka się z grzechami w dziedzinie seksualności. W takiej sytuacji nie wystarczy

postanowić, że nie będzie się już do tych grzechów wracało. To byłoby zbyt małe postanowienie. Trudności z własną seksualnością są bowiem jedną z konsekwencji niedojrzałych czy wręcz zaburzonych więzi z samym sobą i z innymi ludźmi. Tam, gdzie brakuje dojrzałej miłości i pogłębionej radości, seksualność staje się dla człowieka chorobliwie atrakcyjna, a to prowadzi do nieczystości i uzależnień seksualnych. Podobnie więc jak w poprzednich przykładach, uwolnienie się od trudności seksualnych wymaga podjęcia decyzji o zmianie życia nie tylko w sferze seksualnej. W szczególności wymaga budowania dojrzałych więzi z samym sobą i z innymi ludźmi tak, by kierować się miłością i cieszyć się życiem. Dopiero wtedy dojrzałe kierowanie sferą seksualną staje się możliwe.

6.3. PÓJŚĆ DO JEZUSA

Szczerzy rozrachunek z przeszłością oraz podjęcie pozytywnych postanowień, by zło zwyciężać dobrem i by uczyć się miłości, nie daje jeszcze gwarancji, że proces nawrócenia będzie skuteczny i trwały. Kolejnym warunkiem jest odzyskanie pragnień i aspiracji na miarę godności i powołania człowieka. Grzech wdiera się w życie człowieka tam, gdzie człowiek rezygnuje z podstawowych aspiracji, by żyć w miłości, prawdzie i świętości. To właśnie zawężenie pragnień sprawia, że zło jawi się człowiekowi jako dobro i że grzech staje się w ogóle możliwy. Także grzech pierworodny był konsekwencją zawężenia pragnień. W którymś momencie pierwsi ludzie zapomnieli o Bogu i o świecie, a zaczęli się skupiać na drzewie poznania dobra i zła. Wtedy właśnie Ewa *spostrzegła, że drzewo to ma*

owoce dobre do jedzenia, że jest ono rozkoszą dla oczu i że owoce tego drzewa nadają się do zdobycia wiedzy (Rdz 3,6). Naiwność i grzech to bolesne konsekwencje zawężenia pragnień. W takiej sytuacji nieliczne pragnienia, które jeszcze pozostają, stają się chorobliwie atrakcyjne i zniewalają człowieka. Także wtedy, gdy są to pragnienia grzeszne i destrukcyjne. Nawrócić się to odzyskać pragnienia. To pragnąć już nie tylko tego, by uwolnić się od grzechów i cierpienia, lecz by kochać i być kochanym, by żyć w uczciwości i wolności dziecka Bożego, by trwać w przyjaźni z Bogiem i człowiekiem, by doświadczać pokoju i radości, jakiej ten świat dać nie może.

Kto może być dla nas wzorem w procesie nawrócenia? Punktem odniesienia może być w tym względzie przykład każdego ze świętych, zwłaszcza tych, którzy – jak choćby św. Augustyn – radykalnie zmienili własne życie. Pomocne może być także przyjrzenie się życiu św. Piotra i zestawienie jego postawy z postępowaniem Judasza. Judasz uczciwie uznał swój grzech. Nie usprawiedliwiał się. Nie mówił sobie, że przecież inni apostołowie zachowali się niewiele lepiej od niego, mimo że byli bliżej Chrystusa: *Wtedy Judasz, który Go wydał, widząc, że Go skazano, opamiętał się, zwrócił trzydzieści srebrników arcykapłanom i starszym i rzekł: «Zgrzeszyłem, wydawszy krew niewinną». Lecz oni odparli: «Co nas to obchodzi? To twoja sprawa». Rzuciwszy srebrniki ku przybytkowi, oddalił się, potem poszedł i powiesił się (Mt 27,3-5).* Judasz zdobył się na bardzo szczery rachunek sumienia: „zdradziłem niewinnego”. Potem poszedł i powiesił się. Tymczasem Piotr zupełnie inaczej zareagował na swoją słabość:

Schwycili Go więc, poprowadzili i zawiedli do domu najwyższego kapłana. A Piotr szedł

z daleka. Gdy rozniecili ogień na środku dziedzińca i zasiedli wkoło, Piotr usiadł także między nimi. A jakaś służąca, zobaczywszy go siedzącego przy ogniu, przyjrzała mu się uważnie i rzekła: «I ten był razem z Nim». Lecz on zaprzeczył temu, mówiąc: «Nie znam Go, kobieto». Po chwili zobaczył go ktoś inny i rzekł: «I ty jesteś jednym z nich». Piotr odrzekł: «Człowieku, nie jestem». Po upływie prawie godziny jeszcze ktoś inny począł zawzięcie twierdzić: «Na pewno i ten był razem z Nim; jest przecież Galilejczykiem». Piotr zaś rzekł: «Człowieku, nie wiem, co mówisz». I w tej chwili, gdy on jeszcze mówił, kogut zapiał. A Pan obrócił się i spojrział na Piotra. Wspomniał Piotr na słowo Pana, jak mu powiedział: «Dziś, zanim kogut zapieje, trzy razy się Mnie wyprzesz». Wyszedł na zewnątrz i gorzko zapłakał (Łk 22,54-62).

Nie tylko Judasz, ale również Piotr był bardzo boleśnie rozgoryczony własną postawą. Może bardziej nawet niż Judasz. Zapał się bowiem trzy razy swojego ukochanego Mistrza. Tego, któremu przyrzekał, że nigdy Go nie opuści, choćby inni Go opuścili. Jednak – w przeciwieństwie do Judasza – Piotr nie pozostaje sam ze swoim grzechem. Zawstydzony i zalękniony idzie za Jezusem. Ogromnie się boi, że znowu ktoś rozpozna w nim ucznia Jezusa i że go zabiją. Jeszcze bardziej lęka się chyba spojrzenia w oczy swojemu Mistrzowi. Mimo to idzie dalej za Jezusem. Gdy ich spojrzenia się spotykają, wtedy Piotr wychodzi, aby gorzko zapłakać.

Jednak nie ulega rozpaczy jak Judasz. Przeciwnie, zmienia się w mocarza. Odtąd można go będzie zabić, ale nie można go będzie zastraszyć i zmusić do ponownego zaparcia się Chrystusa. Obserwując przemianę Piotra, możemy domyślać się tego, co wyczytał on w spojrzeniu Zbawiciela: „Czego się spodziewasz, Piotrze? Jeśli myślisz, że cię potępię i przekreślę, to jeszcze Mnie nie znasz. Tak bardzo ciebie kocham, że właśnie idę oddać za ciebie życie”.

Pójście do Jezusa z naszym grzechem jest koniecznym warunkiem trwałego nawrócenia. Gdy stajemy samotnie twarzą w twarz z bolesną prawdą o nas samych, grozi nam – jak Judaszowi – rozpacz i zniechęcenie. Gdy natomiast zalęknieni i zawstydzeni – jak Piotr – idziemy z naszym grzechem do Jezusa, wtedy dzieje się coś niezwykłego. Mocą Jego miłości i przebaczenia stajemy się więksi od naszej słabości i otwiera się przed nami nowa przyszłość. Trwałe nawrócenie wymaga podejścia do krated konfesjonału, by spojrzeć w oczy Jezusowi i by raz jeszcze – a może po raz pierwszy – przekonać się i upewnić, że Jego miłość większa jest niż nasza słabość i że wszystko możemy w Tym, który nas umacnia.

Do nawrócenia nie wystarczy zatem szczerzy rachunek sumienia, żal za grzechy czy największe nawet cierpienie. Judasz powiedział sobie całą prawdę o złu, którego dokonał. Nie wierzył jednak w to, że nadal był kochany, i nie poszedł za Jezusem. Został sam na sam ze swoim grzechem. Wtedy uległ rozpaczy i odebrał sobie życie. Jezus wyjaśnia, że prawda nas wyzwoli. Nie chodzi tu jednak o jakąkolwiek prawdę, na przykład o prawdę powiedzianą komuś po to, by go poniżyć czy by odebrać nadzieję. Jezus mówi o sobie. On jest prawdą, która kocha. On patrzy na nas z miłością także wtedy, gdy jesteśmy

grzesznikami. Jest nieskończenie miłosierny, czyli przebaczy nam za każdym razem, gdy odwrócimy się od grzechu i powrócimy do Niego. Judasz nie uwierzył w miłosierzną miłość Boga. Samo cierpienie nikogo nie uratuje. Przeciwnie, może doprowadzić do rozpacz. Ratuje jedynie Bóg, a Bóg nie jest cierpieniem, lecz Miłością.

Prawdę o ludzkim grzechu i o przebaczeniu Bożym oraz o nawróceniu grzesznika wyjaśnia Jezus w przywołanej już wcześniej przeze mnie przypowieści o marnotrawnym synu i mądrze kochającym ojcu (por. Łk 15,11-32). Jest to przypowieść o tych, którzy daleko odeszli od Boga i ryzykują popadnięcie w rozpacz albo pójście szatańską drogą życia. W swojej przypowieści Jezus ukazuje rodzica, który jest symbolem Boga Ojca. Powracający grzesznik nie wierzy, że ojciec znowu przyjmie go jak syna. Aspiruje już tylko do tego, by być u ojca jednym z wielu najemników. Nie ma innych oczekiwań. Nie przychodzi mu nawet do głowy myśl, że ojciec znowu przyjmie go jak syna. Powracający aspiruje już tylko do tego, by być u ojca jednym z wielu najemników. Ku swojemu zdumieniu odkrywa, że jego spotkanie z ojcem zamienia się w radosne święto miłosierdzia i pojednania. Ojciec nie wypomina synowi błędów i grzechów. Nie opowiada o tym, jak długo wychodził na drogę i jak bardzo cierpiał. Nie wspomina o tym, ile ma za sobą nieprzespanych nocy i jak bardzo zszargane jest jego serce. Ojciec w ogóle nie myśli o sobie, ani o swoim cierpieniu. W centrum jego uwagi i w środku jego serca jest powracający syn. Ojciec wzrusza się głęboko, rzuca się wręcz synowi z czułością na szyję i okazuje ogromną radość, bo oto ocalił się ktoś kochany bezwarunkowo i nieodwołalnie!

Ojciec wręcza synowi szaty i pierścień na znak odzyskanej godności dziecka Bożego. Marnotrawny dotąd syn nie ma już

złej przeszłości. Odtąd ma jedynie dobrą terażniejszość. Kto powraca do miłosiernego Boga, ten od razu odzyskuje wszystko, co wcześniej stracił. O bezwarunkowej miłości ojca syn przekonuje się dopiero wtedy, gdy powraca. Teraz upewnia się o tym, że ojciec nigdy nie przestał go kochać, że codziennie żył nadzieją, iż syn zastanowi się, zapragnie ocalenia i wróci. Dopiero teraz błędzący rozumie, że ojciec kochał go nie tylko nieodwołalnie, ale i mądrze! Gdyby ojciec uległ odruchowi współczucia i próbował chronić syna przed konsekwencjami popełnianych przez niego grzechów, syn marnotrawny nigdy by się nie zastanowił nad sobą i nie nawrócił. Trwałby w grzechu tak długo, aż by umarł.

Przypowieść o mądrze kochającym ojcu i o nawróconym, powracającym synu to opowieść o każdym z nas. To opowieść o spotkaniu dwóch wolności i dwóch miłości: Bożej i ludzkiej. Odzyskując miłość do ojca, powracający syn odzyskuje miłość i szacunek do samego siebie. Staje się odtąd zdolny do tego, by dojrzałe pokochać innych ludzi. Nawet tych, których trudno kochać. Sam bowiem przeszedł twardą lekcję życia. Teraz również on stał się specjalistą od mądrej miłości. Będzie odtąd coraz bardziej kochał, bo uświadomił sobie, jak wielką cenę cierpienia zapłacił ojciec za to, że nie przestał kochać. Powracający syn już nigdy nie zwątpi w to, że ojciec go rozumie i kocha. Już nigdy nie będzie się łudził, że może być szczęśliwy bez ojca czy wbrew ojcu. I to jest istota nawrócenia.

Jednakże każdy z nas zna historie ludzi błędzących, którzy nigdy nie zastanowili się nad swoim postępowaniem i nie powrócili ani do Boga, ani do swoich bliskich. W jaki sposób należy interpretować takie historie, które do końca pozostają bolesne? Czy możemy sądzić, że w tego typu przypadkach

Bóg i ludzie kochali zbyt mało i że właśnie dlatego błądzący człowiek do nich już nie powrócił? Odpowiedź na to pytanie brzmi: nie! Ani Bóg, ani krewni czy przyjaciele nie mogą uratować błądzącego człowieka wbrew jego woli. Gdy kierujemy się zasadami miłości, jakie Jezus wyjaśnia nam w przypowieści o mądrze kochającym ojcu i powracającym synu, nie mamy pewności, czy ten, którego w taki właśnie sposób kochamy, przestanie błądzić i czy powróci. Możemy być natomiast pewni, że czynimy wszystko, co w naszej mocy, by kochany przez nas człowiek zastanowił się nad sobą i miał szansę wrócić. Nie popadamy bowiem w naiwność i nie ułatwiamy grzeszącemu dalszego błądzenia.

Przypowieść o mądrze kochającym ojcu i marnotrawnym synu odsłania nam jeszcze inną prawdę o człowieku. Okazuje się, że ktoś może oficjalnie nie odejść od Boga ani od swoich bliskich, a mimo to może nie kochać i nie być szczęśliwym. W takiej właśnie sytuacji znalazł się starszy syn z przypowieści Jezusa. Z jego powodu święto w domu ojca nie jest pełne:

Tymczasem starszy jego syn przebywał na polu. Gdy wracał i był blisko domu, usłyszał muzykę i tańce. Przywołał jednego ze sług i pytał go, co to ma znaczyć. Ten mu rzekł: „Twój brat powrócił, a ojciec twój kazał zabić utuczone cielę, ponieważ odzyskał go zdrowego”. Na to rozgniewał się i nie chciał wejść; wtedy ojciec jego wyszedł i tłumaczył mu. Lecz on odpowiedział ojcu: „Oto tyle lat ci służę i nigdy nie przekroczyłem twojego rozkazu; ale mnie nie dałeś nigdy koźlęcia, żebym się zabawił z przyjaciółmi. Skoro jednak

wrócił ten syn twój, który roztrwonił twój majątek z nierządnicami, kazałeś zabić dla niego utuczony cieł”. Lecz on mu odpowiedział: „Moje dziecko, ty zawsze jesteś przy mnie i wszystko moje do ciebie należy. A trzeba się weselić i cieszyć z tego, że ten brat twój był umarły, a znów ożył, zaginął, a odnalazł się” (Łk 15,25-32).

Starszy syn buntuje się przeciw ojcu, dlatego że ten wyprawia ucztę młodszemu synowi. Buntujący się nie ma ku temu żadnych podstaw. Niczego przecież nie traci na tym, że powraca jego młodszy brat. Ojciec nie krzywdzi tego, który nie odszedł. Nie każe mu dzielić się swoją częścią majątku. Powracający brat długo jeszcze będzie musiał ponosić konsekwencje odejścia i pracować w pocie czoła, by odrobić to, co stracił. Starszy brat nie chce pamiętać o tym, że jemu ojciec codziennie wyprawiał ucztę radości, bo przecież największym świętem dla człowieka nie jest jedzenie czy zapłata za pracę, lecz przebywanie w domu tego, który bardzo kocha. Powracający syn cieszy się ojcem nieskończenie bardziej niż ten, który nigdy nie odszedł.

Starszy syn ze złością reaguje na powrót brata, bo już wie, że nie będzie szczęśliwy, jeśli odejdzie od ojca. Historia młodszego brata dowodzi tego aż nadto czytelnie. Wie również, że przy kochającym ojcu nie będzie szczęśliwy dopóty, dopóki sam nie zacznie kochać. Jeśli ktoś nie korzysta z nieodwołalnej i mądrej miłości Boga, jeśli nadal błądzi i trwa w grzechu, jeśli nawet w tym dramatycznym stanie umiera, mimo wszystko nie jest oczywiste, że skazuje siebie na wieczne potępienie. My widzimy tylko zewnętrzne zachowania błędzącego człowieka.

Nie znamy w pełni jego serca, jego historii, jego wychowania. Mało wiemy o wysiłkach, jakie podejmował w walce z własną słabością i z negatywnymi uwarunkowaniami środowiska, w którym przyszło mu żyć. Jedynie Bóg zna te wszystkie uwarunkowania i cierpienie serca błędzącego człowieka. To właśnie dlatego Kościół nigdy nie ogłosi, że dana osoba jest w piekle. W procesie umierania każdy z nas będzie miał jeszcze jedną – tym razem ostatnią – szansę na powrót do Boga i do życia w miłości. Dwa tysiące lat temu był pewien złoczyńca, który skorzystał z takiej właśnie szansy, wpatrując się w Ukrzyżowanego Boga-Człowieka. O innych podobnych historiach Syn Boży będzie nam opowiadał przez całą wieczność.

Rozdział 7

ODPOWIEDZI NA PYTANIA

Twierdzi Ksiądz, że pierwszym i największym złem człowieka jest samotność – i że kobiecie jest znacznie trudniej ją znieść niż mężczyźnie. Skoro mój mąż odszedł, a ja chcę pozostać mu wierną, jak mam wypełniać moją samotność, jak sobie z nią radzić? Czy głębsza relacja z Bogiem zastąpi mi brak męża?

Biblia stwierdza, że samotność to pierwsze zło, pierwsza przyczyna cierpienia dla człowieka. Samotność po odejściu współmałżonka jest bez wątpienia najbardziej bolesną wersją samotności. Oto zranił mnie i odszedł ode mnie ten, kogo najbardziej kocham i kto ślubował, że nigdy mnie nie opuści. Na szczęście miłość małżeńska nie jest jedyną formą pokonywania samotności. Po odejściu męża ratunkiem dla żony jest pogłębianie przyjaźni z Bogiem. To jednak nie wystarczy, bo sam Bóg chce, byśmy mieli wsparcie także ze strony ludzi. W sytuacji samotności małżeńskiej tym ważniejsze jest pielęgnowanie dobrych więzi z dziećmi, z rodzicami, z rodzeństwem, z krewnymi i przyjaciółmi. Błogosławieństwem jest włączenie się do jakiejś grupy wsparcia. Zachęcam zwłaszcza do włączenia się do któregoś z ognisk „Sychar”. Niezależnie

od bycia w „Sycharze” można włączyć się do jakiejś innej jeszcze katolickiej grupy formacyjnej, która spotyka się co tydzień. Warto zapraszać szlachetnych ludzi do siebie oraz ich odwiedzać. Nie wolno natomiast nigdy wchodzić w bliższe kontakty z osobą drugiej płci, gdyż może to skończyć się romanssem i cudzołóstwem. Najbardziej bezpiecznym lekarstwem na samotność są kontakty z całymi grupami dojrzałych osób czy z całymi rodzinami. Można się przyjaźnić, rozumieć i wspierać nie tylko w małżeństwie.

Dlaczego Pan Bóg powołuje do życia dzieci w związkach cudzołożnych, a sakramentalne małżeństwa nie mogą często mieć swoich dzieci? Jak to rozumieć?

Bóg nigdy nie powołuje do życia dzieci w związkach cudzołożnych. Bóg wprost tego zakazuje. Od początku historii ludzkości Stwórca wyjaśnia, że nie wolno cudzołożyć i nie wolno w związku z tym powoływać do życia dzieci poza małżeństwem. Z drugiej strony Bóg nie steruje światem ręką. Gdyby sprawiał, że tam, gdzie jest kochające się małżeństwo, rodzą się dzieci, a tam, gdzie jest cudzołóstwo, dzieci nie ma, to bylibyśmy marionetkami w jego ręku, jak postaci z filmów Walta Disneya. Bóg dał nam prawdziwą wolność i prawdziwą odpowiedzialność, z której nas rozliczy. To rozliczanie zaczyna się już w doczesności, gdy Bóg pozwala nam ponosić konsekwencje naszych grzechów. Gdy błądzimy, On nie przeszkadza nam cierpieć. Czasami czyni cuda, ale to są wyjątki. Gdyby Bóg zaczął z czynienia cudów robić zasady, wtedy bylibyśmy zupełnie nieodpowiedzialni. Mówilibyśmy: „Boże, Ty i tak zrobisz cud i pokierujesz tak, że będzie dobrze, więc ja mogę zrobić, co chcę, czyli mogę być krzywdzicielem,

cudzołożnikiem, bandytą, a Ty i tak uratujesz mnie i krzywdzone przeze mnie osoby”.

Bóg stanowczo zakazuje cudzołóstwa. Jeśli ktoś z ludzi nie słucha Boga, to Stwórca nie blokuje naturalnych procesów płodności, podobnie jak nie powoduje paraliżu ręki bandyty, który bije swoją ofiarę. Gdyby Bóg odebrał nam wolność i naturalne konsekwencje naszych działań, to nie byłibyśmy do Niego podobni. Musiałby zabić nasze człowieczeństwo. Musiałby odebrać nam możliwość nawrócenia i powrotu do miłości.

Ktoś powie, że na świecie jest tyle cierpienia, tyle zła, tylu ludzi czyni straszne rzeczy, niszcząc i siebie, i innych. Może zatem lepiej byłoby, gdyby Bóg nam wolności nie dał. Ja mam zaufanie do Boga i szanuję Jego decyzje. Jestem pewien, że skoro dał nam wolność, to ona ma sens. Bez wolności byłibyśmy niezdolni do miłości. Pamiętajmy o tym, że to nie człowiek, lecz sam Bóg płaci najwyższą cenę za źle używaną przez nas wolność. Nikogo nie skrzywdziliśmy aż tak okrutnie, jak Boga, a On i tak nie odebrał nam wolności. Nawet wtedy, gdy przybiliśmy Go do krzyża. Gdyby było tak, że to ja, człowiek, zapłaciłem najwyższą cenę za to, że Bóg dał nam wolność, to mógłbym mieć żal do Boga. Jednak odkąd już wiem, że to Bóg płaci najwyższą cenę za to, że ja źle używam wolności, to nie mam żalu do Boga, że dał wolność mnie, moim bliskim i wszystkim ludziom. Mam żal do tych ludzi, którzy źle używają wolności. Chcę im dawać przykład używania wolności w błogosławiony sposób, czyli wyłącznie po to, by kochać i by wypełniać zobowiązania, których się podjąłem.

Moja siostra związała się z rozwodnikiem. Mają ślub cywilny i dwoje dzieci. Siostra bierze czynny udział w życiu parafii. Czy

*może przystępować do Komunii świętej, jeśli zachowa wstrze-
mięźliwość seksualną?*

Formalnie Pani siostra może otrzymać rozgrzeszenie i przystępować do Komunii, jeśli nie współżyje z mężczyzną, który nie jest jej sakramentalnym małżonkiem. Sprawa jednak komplikuje się wtedy, gdy popatrzymy szerzej na sprawę. Otóż, Pani siostra, mieszkając z rozwodnikiem, utrudnia mu powrót do żony i dzieci. Po drugie, gorszy swoje otoczenie. Spowiednik w takiej sytuacji powinien wziąć pod uwagę te aspekty. Jeśli Pani siostra chce we wszystkim służyć Bogu, to powinna odejść od tego mężczyzny po pierwsze właśnie po to, żeby dać mu szansę na powrót do żony i do respektowania złożonej przez siebie przysięgi. Po drugie, powinna się z nim rozstać po to, żeby nie wystawiać na pokusy siebie i jego. Po trzecie, żeby uniknąć gorszenia osób, które, wiedząc o ich sytuacji, będą widzieć ją przystępującą do Komunii świętej. Nie będzie przecież miała na czole wypisane, że nie współżyje z mężczyzną, z którym mieszka. Po czwarte, powinna rozstać się z rozwodnikiem, żeby dać samej sobie szansę na pełne nawrócenie i na możliwość zawarcia w przyszłości sakramentalnego małżeństwa z mężczyzną stanu wolnego.

Co może zrobić mąż, która kocha swoją żonę i czeka wiernie na jej powrót, gdy są po rozwodzie cywilnym, a sąd kościelny stwierdził nieważność ich małżeństwa ze względu na niedojrzałość, z czym on się nie zgadza?

Jeżeli została stwierdzona nieważność małżeństwa w dwóch kolejnych instancjach, to trzeba taki wyrok uszanować. Nikt z nas nie jest dobrym sędzią we własnej sprawie. To raczej sędziowie-specjaliści od spraw małżeńskich mają w tej sytuacji

rację, a nie ktoś, kto jest jedną ze stron sporu małżeńskiego. W sądach kościelnych pracują księża, którzy walczą o każde małżeństwo. Jeśli jest Pan mimo wszystko przekonany, że małżeństwo jest ważne, to i tak, obiektywnie patrząc, jest Pan obecnie stanu wolnego. Okazało się, że małżeństwo nie zaistniało, a wy obydwoje macie prawo do pierwszego ważnego związku sakramentalnego. Nie możemy uważać naszych przekonań za nieomyłne, gdyż nieomylny jest jedynie Bóg.

Proszę pracować nad swoim charakterem, żeby stać się dojrzałym, szlachetnym, ofiarnie kochającym mężczyzną. Modlić się o to, żeby kobieta, którą nadal Pan kocha, podjęła podobną pracę nad sobą. Najpiękniejszą wersją zakończenia tej bolesnej historii byłaby sytuacja, w której na nowo zaczynacie Państwo kontaktować się ze sobą i decydujecie się na zawarcie ponownie małżeństwa ze sobą, ale tym razem już w ważny sposób. Jeśli jednak ta kobieta nie zechce tego, to ma Pan dwie możliwości: żyć w samotności i okazywać miłość ludziom potrzebującym w Pana otoczeniu, albo zawrzeć pierwsze ważne małżeństwo sakramentalne, gdy spotka Pan kobietę stanu wolnego i zdecydujecie się na ślub.

Córka od kilkunastu lat żyje w homoseksualnym związku, który uznaje za szczęśliwy. Ja oczywiście tego nie akceptuję. Córka uznaje to za dyskryminację i agresję. Nie utrzymuje ze mną kontaktu. Czy mogę od nowa budować z nią relacje?

Miłość jest bezwarunkowa, czyli za nic. Mamy kochać naszych bliskich także wtedy, gdy błędzą i grzeszą. Naszym zadaniem jest wtedy okazywanie miłości w mądry sposób, czyli w sposób dostosowany do postępowania danej osoby. Pani córka błędzi i powinna jej Pani to jasno komunikować. Bóg

błogosławi bycie razem na zasadzie małżeństwa oraz intymność seksualną wyłącznie w relacji mężczyzna-kobieta. Pani córka już z pewnością wie o tym, co mówi Bóg i jakie zasady Pani wyznaje. I córka powinna Panią i Pani zasady moralne uszanować. Proszę zapraszać córkę do siebie i okazywać na różne sposoby Pani miłość do niej, troskę o nią, modlitwę w jej intencji. Ma Pani święte prawo nie kontaktować się z jej „partnerką”. Tak, jak inni rodzice mają prawo nie kontaktować się z kochankiem swojej córki.

Warto pomagać córce w lepszym rozumieniu jej własnej sytuacji. Można jej powiedzieć coś takiego: „Córko, to nie jest przypadek, że chyba się boisz mężczyzn, nie ufasz im, czy gardzisz nimi. Być może moja relacja z twoim ojcem była taka, że się zniechęciłaś do mężczyzn. Może skrzywdził cię inny mężczyzna. Mogę to zrozumieć. Ale przecież nie wszyscy mężczyźni są krzywdzicielami. A twój obecny styl życia to nie jest droga do trwałego szczęścia. Istnieją mężczyźni, którzy są kochający i dojrzały. Kobieta nie da ci takiego spełnienia jak mężczyzna, bo druga kobieta zawsze będzie twoim lustrem. Jest podobna do ciebie w przeżywaniu i w myśleniu. To dlatego na początku jest miło, lecz później już tak nie będzie. Poza tym związki homoseksualne są niepłodne, czyli także biologicznie chore”. Można podpowiedzieć córce, żeby zajrzała na stronę www.odwaga.org.pl. To jest strona katolickiego ośrodka w Lublinie, którą tworzą specjaliści od problemów homoseksualnych. Pomagają oni samym zainteresowanym oraz ich bliskim. Zachęcam Panią, by najpierw tam zadzwonić. Gwarantuję wysoki poziom porady i wsparcia, jaki Pani tam znajdzie. Można również skontaktować się z Fundacją „Strumienie życia – Polska”: www.strumieniezycia.pl.

Jesteśmy od wielu lat w nieformalnej separacji, ale mieszkamy pod jednym dachem. Mąż jest DDA. Nie może wybaczyć mi zgłoszenia do prokuratury przemocy psychicznej nad rodziną. Wypełniamy przysięgę małżeńską, ale mąż nie jest zainteresowany odbudową więzi. Co dalej?

Na razie pozostaje Pani trwanie w nieformalnej separacji lub zdecydowanie się na separację cywilną formalną i wywalczenie alimentów, jeśli mąż nie przestaje stosować przemocy psychicznej. Gdy dręczy, zamiast kochać i nie uznaje swojej winy, lecz jeszcze oskarża Panią za to, że Pani się przed nim broni, to na razie pozostaje jedynie bronić się jeszcze bardziej skutecznie. Mąż jest bezlitosnym manipulatorem, który poczucie winy zamienia na poczucie krzywdy. Próbuje wmówić Pani, że problemem nie jest jego psychiczna agresja, lecz to, że Pani się broni i oczekuje, iż będzie wypełniał swoją przysięgę, czyli kochał. Proszę bronić się jeszcze bardziej stanowczo. Gdy trzeba, to proszę wywalczyć sądowy zakaz wstępu męża do domu. Być razem można dopiero wtedy, gdy mąż podejmie pracę nad sobą i gdy dorosnie do tego, żeby powiedzieć: „Dziękuję ci, żono, za to, żeś interweniowała twardo, że zwróciłaś się o pomoc do różnych instytucji, gdyż dzięki twojej stanowczości dałaś mi szansę, żebym się zmienił”. Dopóki Pani mąż nie zmienia siebie, lecz szantażuje Panią, to na razie pozostaje separacja, czyli miłość na odległość.

Jaką mam podjąć decyzję w sytuacji, gdy mąż stosuje nade mną przemoc psychiczną i nadużywa alkoholu, ale nie chce się wyprowadzić z domu, a przebywamy razem w jednym pokoju? Jakie podjąć kroki?

W tej sytuacji trzeba doprowadzić do usunięcia męża z domu w oparciu o wyrok sądu. W Polsce prawo pozwala na

usunięcie z domu osoby stosującej przemoc wobec bliskich nawet wtedy, gdy dom czy mieszkanie jest wyłączną własnością krzywdziciela. Żeby eksmisja była możliwa, trzeba podjąć przewidziane prawem kroki. Gdy mąż przychodzi pijany, nie powinno się go wpuszczać do domu. Jeśli wali w drzwi czy krzyczy, trzeba wezwać policję, spisać protokół i zażądać odwiezienia męża do izby wytrzeźwień. Jeśli sytuacja się powtarza, trzeba skierować sprawę do sądu o eksmisję i zakaz wstępu do domu osoby, która się upija i stosuje przemoc. Warto zwrócić się do Gminnej Komisji Rozwiązywania Problemów Alkoholowych o pomoc, w tym pomoc w skierowaniu męża na przymusową terapię. Warto też wejść do grupy Al-Anon, czyli dla osób borykających się z alkoholizmem kogoś z bliskich. Poznajemy tam nie tylko zasady mądrej, czyli twardej miłości, lecz także grupę wsparcia. Trudno bowiem w osamotnieniu bronić się przed krzywdzicielem.

Jak żyć z mężem, którego dewizą jest: „musisz mi się podporządkować!”. Mąż nie liczy się z moimi zdaniem, zrywa komunikację przy każdym konflikcie? Jak skutecznie przeciwstawiać się despotyzmowi?

Mąż łamie przysięgę małżeńską, bo ślubował Pani miłość, a nie sprawowanie nad Panią władzy. W obliczu jego despotyzmu dyskusje i polemiki z nim nie mają sensu. Z despotą nie da się dyskutować, gdyż nic to nie zmieni. Nie reaguje on na żadne argumenty. Przed despotą mamy święte prawo się bronić. Warto najpierw stanowczo oznajmić: „Mężu, ty mi ślubowałeś nie to, że będziesz moim panem i władcą, lecz że będziesz mnie kochał. A jeśli kochasz, to rozmawiasz, wczuwasz się w moje przeżycia i potrzeby, reagujesz na moje argumenty.

Ja też mogę czasami zbłądzić, ale wtedy wczuwasz z miłością w to, co mówię i czego pragnę, a dopiero później, jeżeli się z czymś nie zgadzasz, argumentujesz spokojnie, cierpliwie, z miłością, bez krzyku i agresji dlatego – według ciebie – jestem w błędzie. Jeśli pozostaniesz despotyczny, to od dziś będę się stanowczo bronić. Ja nie jestem skazańcem, a ty nie jesteś strażnikiem więzienia, który ma zarządzać moim losem. Albo wracamy do normalności, czyli odnosimy się do siebie z wzajemną miłością, albo będę się stanowczo bronić, do separacji małżeńskiej włącznie”. Życie pod jednym dachem ma sens tylko wtedy, gdy obydwójce małżonkowie wypełniają przysięgę miłości, a nie gdy jedna ze stron dręczy drugą.

Czy mogę wymeldować z domu pełnoletnie uzależnione dziecko, które wchodzi w konflikt z prawem, na przykład prowadzi samochód po pijanemu?

Tu jest najmniej ważne wymeldowanie. Formalnie ma to małe znaczenie. Trzeba stosować twardą miłość. Gdy syn wsiada do samochodu po pijanemu, trzeba dzwonić na policję, wyjaśnić sytuację i podać numer rejestracyjny samochodu. Jeżeli syn wraca pijany do domu, nie należy go wpuszczać, choćby jeszcze był zameldowany. Jeżeli wali w drzwi lub się awanturuje, trzeba dzwonić na policję i zgłosić przemoc psychiczną. Trzeba egzekwować na co dzień konsekwencje błędów, które popełnia pełnoletnie dziecko. Do domu pełnoletnie dziecko może wejść tylko wtedy, gdy jest trzeźwe. W domu może przebywać jedynie na warunkach, jakie określają rodzice.

Mieszkam od dziesięciu lat z mężem uzależnionym od alkoholu. On nie chce podjąć leczenia odwykowego z alkoholizmu

i twierdzi, że alkohol jest dla ludzi. Dwukrotnie był badany sędownie, opowiedział lekarzowi, że żona jest chora psychicznie i nie pozwala mu pić. Jest mi ciężko. Co mam robić?

Każdy alkoholik neguje swoją chorobę i atakuje innych, którzy się przed nim bronią. Żadna dyskusja w takiej sytuacji nie ma sensu. Alkohol jest wyłącznie dla ludzi dla ludzi dorosłych i dojrzałych i to także z licznymi wyjątkami. Alkohol nie jest dla alkoholików, dla matek w ciąży, dla kierujących pojazdami, dla sprawujących liturgię i posługę duszpasterską, dla rodziców, którzy mają niepełnoletnie dzieci, gdyż w każdym momencie trzeba być gotowym do udzielania dzieciom wszelkiej pomocy. W Pani sytuacji punktem zwrotnym będzie włączenie się do grupy Al-Anon i zwrócenie się o pomoc do Gminnej Komisji Rozwiązywania Problemów Alkoholowych.

Czy osoby niepełnosprawne wpadają w uzależnienie, a jeśli tak, to jak w takich przypadkach postępować?

Oczywiście, że także osoby niepełnosprawne wpadają w uzależnienia. Ich życie jest trudniejsze i wystawia takie osoby na duże stresy. Trudniej się cieszyć życiem, mieć jakąś dobrą pracę, radosny, aktywny tryb życia. Takie osoby łatwiej wręcz niż inni mogą uzależnić od Internetu, od urządzeń elektronicznych, od alkoholu. Jak wtedy interweniować? Trzeba uwzględniać fakt, że zwykle te osoby są zdane na nas, na naszą pomoc w codziennym funkcjonowaniu. To jest szansa dla nas, gdyż łatwiej niepełnosprawnemu zabrać komputer, Internet, smartfon czy alkohol. Czasem już to wystarczy. W skrajnych przypadkach należy wszcząć procedurę doprowadzenia do sądowego nakazu zamkniętej terapii.

Jestem alkoholikiem. Potrzebowałem terapii. Trochę pomogło. Piję mniej, ale wciąż piję. Jak z tego wybrnąć?

Skoro uznajesz, że jesteś alkoholikiem, to znaczy, że rzeczywiście już w dużym stopniu skorzystałeś z terapii. Uznałeś już swoją bezsilność wobec alkoholu. Przestałeś wmawiać sobie, że nie jesteś uzależniony. Już wiesz, że nie potrafisz wypić trochę alkoholu. Możesz nie pić nic, ale jeśli sięgniesz po alkohol, to dramat rozpoczyna się od nowa. Teraz pora na kolejne kroki w zdrowieniu. Zwykle nie ma potrzeby iść na nową terapię. Konieczne jest natomiast włączenie się do jakiejś grupy AA. Czasem początkowo warto być kilka razy w tygodniu na mitingach AA. Tam człowiek uzależniony uczy się zmieniać siebie i całą swoją sytuację życiową oraz zamykać bolesną przeszłość w oparciu o program Dwunastu Kroków Anonimowych Alkoholików. Bez włączenia się do grup AA i bez solidnej pracy na dwunastu krokach nie ma szans, żeby w sposób trwały wyjść z uzależnienia. Mój bliski krewny, który jedenaście lat temu wyszedł z uzależnienia alkoholowego, na początku trzeźwienia był trzy, cztery razy w tygodniu na mitingach różnych grupach AA. Teraz nie ma tygodnia, żeby nie był tam chociaż raz. To absolutne minimum. Mój krewny zaczął się zmieniać w pięćdziesiątym roku życia. Jego zmiana jest tak radykalna, że mówię o nim ze wzruszeniem i podziwem. Teraz on sam pomaga innym trzeźwiejącym. Taka radykalna przemiana to radość i święto dla całej rodziny. Warto podjąć ten błogosławiony trud!

W naszym małżeństwie zdrady zniszczyły nasze relacje. Zdrady męża są ujawnione i cała rodzina to przeżywa. Ja moje zdrady oddałam tylko Bogu w spowiedzi, bo były też zdrady z mojej strony. Czy mam obowiązek powiedzieć o tym mężowi?

Czy należy jest mężowi wyłącznie zadośćuczynienie, bez wyznawania zdrady?

Jeśli mąż nie wie, że były zdrady z twojej strony, a ty już to uregulowałaś z Bogiem, nawróciłaś się, to wręcz nie powinnaś mówić mężowi o tym aspekcie Twojej przeszłości. Jemu sprawiłoby to jedynie dodatkowy ból i cierpienie. Chodzi o to, żeby zamknąć przeszłość, żeby do niej nie powracać, żeby tu i teraz kochać – a nie, żeby się uniażać czy publicznie spowiadać. Tutaj ważna uwaga: największą wartością jest miłość, a nie szczerość. Ja mam być uczciwy wobec żony/męża. Nie znaczy to jednak, że mam wszystko powiedzieć. W przysiędze małżeńskiej nie jest mówimy: „ślubuję ci miłość, wierność i szczerość”, lecz: „ślubuję ci miłość, wierność i uczciwość”. Uczciwość to nie to samo, co szczerość. Szczere wyznawanie wszystkiego oznaczałoby, że musielibyśmy mówić małżonkowi także o wszystkich naszych myślach, przeżyciach, niepokojach, snach. Także o jakichś natrętnych myślach, przeżyciach czy pokusach, od których się stanowczo dystansujemy. Do końca szczerzy powinien być człowiek z samym sobą, z Bogiem i ze spowiednikiem. Natomiast wobec małżonki/małżonka mam być uczciwy. Najwyższą wartością jest miłość i miłość wymaga uczciwości. Co innego, gdy mąż wprost spyta ciebie: „A może i z twojej strony były zdrady?” Nie wolno wtedy kłamać, bo uczciwości nie da się pogodzić z kłamstwem. Wtedy powiedz z głębokim bólem, że niestety z twojej strony też były zdrady, ale że to jest przeszłość i że ciebie z tamtych lat na szczęście już w nie ma. W Chrystusie stałaś się nowym, uczciwym człowiekiem.

Mąż spotyka się z inną mężatką. Podejrzewam, że mają romans, ale oboje temu twardo zaprzeczają. Ja jednak czuję, że coś

ich łączy. Czy nie mając całkowitej pewności, powiedzieć o ich relacji mężowi tej kobiety?

Na razie ma Pani prawo twardo rozmawiać z mężem i obserwować jego zachowanie. Ma Pani też prawo zażądać bilingów jego rozmów telefonicznych za poprzednie miesiące. Trzeba wprost mówić mężowi o Pani podejrzeniach i o tym, co je powoduje. Na tym etapie nie można jednak rozmawiać z mężem tamtej kobiety, bo nie mamy pewności, czy rzeczywiście doszło do romansu. A w niepewności nie powinno się działać. Mężowi ma Pani prawo powiedzieć: „Mężu, zerwij wszelkie kontakty z tą kobietą. Z kobietami możesz mieć kontakty w moim towarzystwie. Podobnie ja też wymagam od siebie, by nie spotykać się z mężczyznami poza twoimi plecami, bo jesteśmy jednością”. Nie ma obowiązku udowodnić małżonkowi romansu czy wręcz cudzołóstwa, żeby wymagać respektowania powyższych zasad.

Moja teściowa modli się za nasze małżeństwo, ale przyjmuje mojego męża z jego kochanką i ich dziećmi. Jednocześnie chce utrzymywać kontakt ze mną i moimi dziećmi. Czy powinnam ją w tej sytuacji odwiedzać i zabierać do niej dzieci moje i mojego męża?

Proponuję postawić teściowej jasną alternatywę: „Mamo, zdecyduj się! Albo się modlisz za nasze małżeństwo, chcesz, żebym znowu była razem z twoim synem i żeby twój syn był wierny złożonej przysiędze, albo stworzysz mu komfort błędzenia i grzeszenia, bo przyjmujesz go z kochanką. To jest twój syn, którego kochasz. On ma prawo ciebie odwiedzać i przychodzić ze swoimi nieślubnymi dziećmi, ale bez kochanki. Jeśli będziesz nadal gościć u siebie jego kochankę, to ja już nie

będę przychodzić do ciebie z moimi dziećmi, a twoimi wnucami. Nie możesz stać jednocześnie po stronie krzywdzonych i po stronie krzywdzicieli”.

Jeśli mąż odszedł do innej kobiety, wskazane jest, abym do momentu jego nawrócenia odizolowała od niego dzieci, by ochronić je przed zgorzeniem. Jeśli jednak one pragną się z nim widywać, tęsknią za nim, mają z nim głęboką więź – co powinienam zrobić?

Należy pamiętać, że relacja dzieci do rodzica, który odszedł, jest inna niż relacja porzuconego współmałżonka. Odchodząc, Pani mąż dramatycznie zranił i rani też Wasze dzieci. Przysięgał przecież, że je z miłością przyjmie i po katolicku wychowa. Patrząc jednak z perspektywy dzieci, to jest ich rodzic, z którym mają silną więź emocjonalną i silną potrzebę kontaktu. Dzieci czują naturalną bliskość z każdym z rodziców. Pragną kontaktu nawet wtedy, gdy są świadome, że ten rodzic skrzywdził drugiego rodzica i całą rodzinę. Trzeba to zrozumieć. Nie należy się o to na dzieci złościć ani mieć do nich żalu. Nie znaczy to, że aprobują one niewierność ojca. Emocje i potrzeba kontaktu są jednak silniejsze. Nie zmuszajmy dzieci do wybierania między rodzicami. Sytuacja porzuconego małżonka jest prosta. Ma prawo do żalu i do separacji tak długo, jak długo niewierny małżonek nie nawróci się, nie przeprosi i nie powróci. Sytuacja dzieci jest znacznie bardziej skomplikowana. Gdy dzieci pragną kontaktu z tatą, to trzeba walczyć o to, żeby to był kontakt tylko z tatą, ale nie z tatą i jego kochanką. Nie może być tak, że dziecko ślubne widzi, jak tata przytula się do kochanki i ją wspiera, a nie swoją żonę, a ich mamusię. Taka sytuacja dramatycznie powiększałaby i tak już

wielkie ich cierpienie. Jeśli Pani mąż rzeczywiście wasze dzieci kocha, to sam nie dopuści, by one miały bezpośredni kontakt z kobietą, która rani je oraz ich mamę.

Czy dorosłe dzieci i ich dzieci powinny się spotykać z ich ojcem i dziadkiem, który żyje z kochanką?

Odpowiedź jest podobna, jak na poprzednie pytanie. Jeśli dorosłe dzieci i ich dzieci chcą mieć kontakt z ojcem, który zdradził mamę, czy z dziadkiem, który zdradził ich babcie, to mają do tego prawo. Ich spotkania powinny być tak zorganizowane, żeby odbywały się bez obecności kochanki.

Wcześniej mąż przestrzegał mojej prośby i nasze dzieci, gdy się z nim spotykały, nie widywały się z jego kochanką. Teraz to się zmieniło. Co robić?

Najpierw należy twardo oświadczyć mężowi, że nie zgadza się Pani na taką sytuację, bo to jest upokorzenie i dodatkowe cierpienie dla dzieci. Jeśli mąż nie uszanuje Pani żądania, to proszę wykorzystać wszystkie możliwe instytucje do tego, by odebrać mu prawo do widywania się z dziećmi. W razie potrzeby warto poprosić obecnie sprawującego urząd Rzecznika Praw Dziecka, który ma katolickie spojrzenie na małżeństwo i rodzinę. Nie można prowadzić dzieci do osoby, która odebrała tym dzieciom tatę i rozdzieliła rodzinę. Przecież to byłoby okrutne¹⁷.

¹⁷ Por. „Orzeczenie zakazu kontaktów z dzieckiem”, dr hab. Elżbieta Holewińska-Łapińska, prof. Instytutu Wymiaru Sprawiedliwości, *Prawo rodzinne*, Warszawa 2018. Zob. także „Zasady określania kontaktów rodziców z dzieckiem” – <http://bit.ly/3aBQmNH>.

Wcześniej mąż ustalał ze mną, kiedy spotka się z naszym czternastoletnim synkiem. Teraz pomija mnie w kontaktach i ustala to bezpośrednio z nim. Czy mam zabronić synowi kontaktu z tatą?

Proszę o twardą postawę wobec syna. Ma Pani prawo postawić niepełnoletniemu synowi jasną zasadę: „Dopóki jesteś niepełnoletni, to ja z twoim ojcem ustalę, kiedy możesz go zobaczyć. Jeżeli ojciec do ciebie dzwoni i coś proponuje, to powiedz mu, że musi to ustalić ze mną. Nie życzę sobie tego, żeby on to z tobą ustalał”. To Pani opiekuje się synem na co dzień i to Pani decyduje, kiedy on może spotykać się z ojcem.

Moja żona żyje od trzech lat ze swoim kochankiem wraz z naszymi dziećmi. Ja widuję się z nimi co dwa tygodnie. Co mogę zrobić, żeby ograniczyć deprawację i demoralizowanie dzieci?

Jeśli Pan trwa w wierności wobec niewiernej żony, to najlepszym rozwiązaniem byłoby skierowanie sprawy do Sądu Rodzinnego z wnioskiem o odebranie żonie opieki nad dziećmi, gdyż dla dzieci to wyjątkowo bolesne cierpienie, gdy żyją obok mężczyzny, który zabrał im tatę i doprowadził do rozpadu ich rodziny. Można zwrócić się o pomoc do Rzecznika Praw Dziecka czy poruszyć inne instytucje, które stoją na straży dobra dzieci. Minimum tego, co Pan może zrobić, to tłumaczyć dzieciom zasady moralne, kształtować w nich prawe sumienie i przyprowadzać do Boga. Mają wtedy one szansę, by wyciągnąć wnioski z błędów popełnionych przez mamę i by nie powtarzać we własnym dorosłym życiu takich błędów.

Czy jeśli moja eks-kochanka mieszka zagranicą, a nasze wspólne nieślubne dziecko, już dorosłe, mieszka blisko mnie, kontakt z nim za zgodą żony jest dobry?

Oczywiście, że tak. Dziękuj żonie za to, że jest tak wielkoduszna, iż zgadza się na twój kontakt z nieślubnym dzieckiem. To twoje prawdziwe dziecko. Ono nie jest niczemu winne. Tu jest sprawa czytelna i moralnie jasna, gdyż kontaktując się z twoim dzieckiem, nie masz kontaktu z jego matką, a twoją eks-kochanką. Gdyby twoja żona nie zgadzała się, to trzeba by było to uszanować, gdyż miłość małżeńska ma pierwszeństwo przed miłością rodzicielską.

Żona po osiemnastu latach odeszła z synem i córką. Dzieci mają siedemnaście i piętnaście lat. Obecnie od roku jest z mężczyzną po rozwodzie. On ma troje dorosłych dzieci. Trwa sprawa rozwodowa. Nasze dzieci są przeciwko rozbiciu rodziny. Żona jest DDA i DDR. Mówi, że to Bóg nią kieruje. Jak to tłumaczyć?

Gdy ktoś, kto żyje w cudzołóstwie, twierdzi, że to Bóg go prowadzi, to jest to sytuacja świadcząca o jakimś zaburzeniu psychicznym lub o skrajnej przewrotności. W zaistniałej sytuacji nie ma sensu polemizować z żoną, gdyż żaden argument do niej nie dotrze. Trzeba się stanowczo bronić. Trzeba robić wszystko, żeby nie pozwolić na rozwód cywilny. Wyjątkowo przewrotny jest ktoś, kto łamie Boże przykazania i twierdzi, że wypełnia wolę Boga. Znam takie rodziny, w których jedno z małżonków mówi do drugiego: „Masz tak a tak postępować, gdyż ja wiem, że taka jest wola Boga!” Gdyby mnie ktoś coś takiego powiedział, to bym ukląkł przed tą osobą i wykrzyknął: „Boże, dziękuję Ci za to, że jesteś tu osobiście przede mną!” Piszę to oczywiście z ironią, Wolę Boga zna tylko Bóg, a każdy z nas powinien kierować się Bożymi przykazaniami, gdyż w nich została objawiona wola Stwórcy.

Czy odwiedzać męża w szpitalu, gdy żyje z kochanką?

Nie ma Pani takiego obowiązku moralnego, lecz z pewnością to byłby gest dużej, bezinteresownej miłości. Jeżeli on nadal żyje z kochanką, to ma Pani święte prawo nie pójść do szpitala. Co zrobić w tym konkretnym przypadku, to zależy przede wszystkim od postawy męża. Jeśli on nie informuje Panią osobiście o swoim pobycie w szpitalu, jeśli nie prosi o odwiedzinę, to nie ma moralnego obowiązku, żeby go odwiedzić. Jeśli natomiast wprost informuje Panią o swoim pobycie w szpitalu, jeśli daje do zrozumienia czy mówi wprost, że ucieszyłaby go Pani wizyta, to należy pójść. Idąc do kochanki, to on opuścił Panią, a nie Pani jego. To on pierwszy ma w tej sytuacji dawać znaki, że pragnie odzyskać kontakt z Panią. Także Jezus kochał niektórych ludzi na odległość.

Czy bardzo wielkim złem jest to, że nie chcę powrotu małżonka, który mnie zdradził?

To zależy od konkretnej sytuacji. Jeżeli małżonek radykalnie nawraca się, przeprosza, zadośćuczynią i prosi o przyjęcie go, to spełnia warunki, żeby przyjąć go do siebie ponownie. W takiej sytuacji niechęć do przyjęcia małżonka świadczy o naszej niedojrzałości i o braku miłosierdzia. Natomiast jeżeli małżonek niewiele się zmienił, albo wcale nie podjął pracy nad sobą, to na razie lepiej nie pozwalać mu na powrót, gdyż wspólne życie może w tym przypadku stać się gehenną. Ewentualny powrót powinien odbyć się na warunkach, jakie stawia osoba zdradzona, która trwa w wierności małżeńskiej.

Co zrobić w przypadku, kiedy mąż chce wrócić nienawrócony, bez Boga?

W takim przypadku na razie nie należy przyjmować go do domu. Można spotkać się z nim na neutralnym terenie i powiedzieć: „Mężu, to ja mam prawo dyktować Tobie warunki, na jakich możesz do mnie powrócić: zamknięte rekolekcje, spowiedź generalna, wejście do «Sycharu», czy jakiejś innej katolickiej grupy formacyjnej, całkowite zerwanie kontaktu z tą kobietą, mój dostęp do wszystkich twoich urządzeń elektronicznych”. Pokonywanie trudności polega na tym, że wracamy do normalności, a nie na tym, że zgadzamy się na udawanie, że jesteśmy szczęśliwi, bo ta druga strona wróciła, ale nadal nie kocha, lecz raczej rani. Każdemu, kto zdradził i krzywdził, warto powiedzieć: „Możesz do mnie powrócić, ale jako mąż, który wypełnia przysięgę małżeńską, czyli jako ten, który okazuje miłość, jest wierny i uczciwy, czuły i zaprzyjaźniony z Bogiem. Jeśli tych warunków nie spełniasz, które sam przyjąłeś, składając swoją przysięgę małżeńską, to na razie ty sam blokujesz możliwość powrotu do mnie”.

Zdaniem Księdza nie należy przyjmować nienawróconego, niepojednanego z Bogiem męża. Ja przyjąłam takiego męża i nasze małżeństwo jest bardzo szczęśliwe. Codziennie modłę się o jego nawrócenie i ufam, że to kiedyś nastąpi.

Nie potrafię zrozumieć, jak może być szczęśliwe małżeństwo z nienawróconym mężem, o którego nawrócenie się Pani modli i chce, żeby kiedyś wreszcie zaczął być kochającym mężem i żeby pojednał się z Bogiem. Ja w takiej sytuacji byłbym całkiem mało szczęśliwym. Nie tylko cierpiałbym z powodu tego, że nie kocha mnie ten, który ślubował mi miłość. Jeszcze bardziej cierpiałbym ze zmartwienia o zbawienie męża, który nadal łamie przysięgę małżeńską, gdyż nie okazuje żonie miłości.

Mąż nie mieszka z nami, lecz sam. Prawdopodobnie były lub nadal są jakieś kobiety w jego życiu. On przychodzi do dzieci, gdy coś od niego potrzebują, na przykład na uroczystości rodzinne jest z nami na chwilę. Czy szukać z nim kontaktu, próbować pogłębić nasze relacje?

Ponieważ to mąż odszedł, to on ma obowiązek odbudowywać więzi małżeńskie i rodzicielskie. Na prośby czy błagania z Pani strony raczej nie zareaguje. Warto natomiast odnosić się do niego z elementarną miłością bliźniego, z otwartością, taktem, życzliwością. Miłość w swych podstawowych przejawach jest bowiem bezwarunkowa i nieodwołalna. Gdy mąż zrobi coś dobrego, warto to zauważyć i mu to zakomunikować. Gdy zrobi błąd, wyrządzi krzywdę, trzeba także to sygnalizować i się wtedy bronić. Warto też wtedy, gdy macie kontakt, podejmować poważne rozmowy, typu: „Mężu, jak widzisz naszą przyszłość? Czy pamiętasz jeszcze to, co ślubowałeś mnie i naszym dzieciom? Ja chcę być wierna mojej przysiędze, ale nasza relacja zależy od postawy obu stron. Jestem gotowa do tego, byśmy dali sobie szansę na normalne życie małżeńskie i rodzicielskie. Jak ty to widzisz?”. Dojrzała miłość wymaga przypomnianie kochanej osobie o potrzebie nawrócenia i wierności wobec podjętych zobowiązań. Niezależnie od postawy męża tu i teraz, proszę, żeby Pani wykorzystywała obecne trudne lata do osobistego rozwoju: intelektualnego, moralnego, duchowego, religijnego, społecznego. To będzie zysk dla Pani i szansa dla męża. Im bowiem bardziej dojrzałą stanie się Pani kobietą, tym dojrzałej będzie Pani z nim rozmawiała i tym bardziej atrakcyjną, pociągającą zacznie się stawać Pani w jego oczach. Mężowi w kryzysie najbardziej pomaga żona, która staje się emocjonalnie coraz bardziej od niego niezależna, która dba

o swój rozwój i o swój wygląd, która ma coraz bardziej radosne więzi z Bogiem, z samą sobą i z ludźmi wokół siebie.

Jak kochać z bliska, nie na odległość, gdy żonę ciągle „boli głowa” i gdy ona unika bliskości seksualnej?

To ważne pytanie! Więzi intymne i współzycie seksualne to jeden z ważnych sprawdzianów sytuacji małżonków oraz ich wzajemnego odnoszenia się do siebie. Miłość małżeńska to jedyna forma miłości, która wiąże się ze współzyciem seksualnym. We wszystkich innych formach miłości współzycie jest wykluczone, gdyż byłoby zaprzeczeniem, a nie potwierdzeniem miłości. Kochający rodzic nie współżyje ze swoim dzieckiem. Kochający narzeczoną nie współżyje z narzeczoną. Kochający mąż/żona nie współżyje z kimś innym niż małżonkiem. Kochający wychowawca nie współżyje z wychowankiem. Miłość małżeńska jest największa ze wszystkich form miłości. A im większa miłość wzajemna, tym większa powinna być bliskość kochających się osób. Na przystanku autobusowym nie przytulamy nieznanym nam ludzi. Jeśli pojawi się przyjaciel, to możemy objąć go ramieniem. Żona i mąż mogą cały czas trzymać się za ręce. Mogą wtulać się jedno w drugie i to także w miejscu publicznym. Najbardziej wyjątkowym przejawem bliskości fizycznej i emocjonalnej jest właśnie współzycie seksualne. Dla małżonków, którzy wiernie wypełniają przysięgę małżeńską, współzycie to jest miejscem szczególnej czułości, szczególnego zawierzenia siebie nawzajem tej drugiej osobie. Jest miejscem intensywnego wzruszania się tą drugą osobą. Jest miejscem potwierdzania miłości małżeńskiej i odpowiedzialnego przekazywania życia, czyli miejscem dzielenia się wzajemną miłością z potomstwem.

Jedynie w małżeństwie współżycie może być czyste i może być potwierdzeniem, a nie zaprzeczeniem miłości. Może, ale pod jednym warunkiem: że mąż i żona od rana do wieczora na różne sposoby okazują sobie wzajemną miłość. Jeśli tej wzajemnie okazywanej miłości nie ma, to także współżycie w małżeństwie jest nieczyste. W skrajnych przypadkach może dochodzić wręcz do gwałtów małżeńskich. Dla przykładu, jeśli mąż okazuje zainteresowanie żoną i daje jej jakieś znaki bliskości i czułości, ale tylko wtedy, gdy chce współżyć, jeśli nie kocha na co dzień, jeśli nie wspiera żonę od rana do wieczora, to wtedy jest zrozumiałe, że ona unika współżycia czy że wręcz współżycie wyklucza. W takiej sytuacji to nie jest wina czy słabość żony, lecz wina męża, który zaniedbuje okazywanie miłości, czy który nie kocha żonę, a jedynie jej pożąda.

Jeśli Pan kocha żonę i okazuje jej miłość w codzienności poprzez obecność, ofiarność i czułość, jeśli nie rani Pan żony, jeśli nie ma ona wobec Pana uzasadnionych żalów i pretensji, a mimo to nie chce współżyć, to jest to jej poważny problem i poważna słabość, a dla Pana to duży krzyż i bardzo poważne utrudnienie w radosnym byciu takim mężem, który kocha i który czuje się kochany. W takiej sytuacji nie pomoże Pan pretensjami wyrażanymi wobec żony, agresją czy kłótniami. To by ją jedynie jeszcze bardziej zamknęło na intymną bliskość i na współżycie. W takiej sytuacji żona potrzebuje jeszcze większej miłości od Pana niż miłość, jaką Pan okazywał jej do tej pory. Ona potrzebuje Pana zdolności do empatii i do popatrzenia na problem z jej perspektywy. Warto podjąć z żoną ciepłą, serdeczną rozmowę. Warto delikatnie spytać o to, w jaki sposób może jej Pan pomóc. Warto z najwyższą uwagą wczuwać się w jej reakcję, w każde słowo, ton

głosu, gest, zachowanie. Może żona ma jakieś lęki z przeszłości. Może odkryła w sobie jakąś chorobę, o której Panu jeszcze nie opowiedziała. Może ma jakieś lęki w obliczu ewentualnego poczęcia dziecka. Może ma jednak jakiś żal do Pana, którego do tej pory Pan nie brał poważnie, albo w ogóle nie zdawał sobie Pan sprawy, że żona w jakimś aspekcie czuła się przez Pana raniona albo zbyt mało wspierana. Otwarta rozmowa w kontekście miłości konsekwentnie, czule i cierpliwie okazywanej to najlepsza pomoc dla żony w otworzeniu się na intymność seksualną.

Bywa i tak, że powód unikania współżycia małżeńskiego nie leży po stronie żony, lecz po stronie męża. Taka sytuacja ma miejsce na przykład wtedy, gdy mąż dąży do współżycia seksualnego dlatego, że chce rozładować popęd, a nie dlatego, że kocha żonę. Żona widzi to choćby po tym, że poza kontekstem współżycia mąż nie okazuje jej czułości i nie szuka jej bliskości, a gdy współżycją, to mąż potrafi być niecierpliw, czasem agresywny we współżyciu, a nierzadko wręcz brutalny. Po rozładowaniu popędu i doznaniu przyjemności taki mąż zasypia bez słowa, a żona czuje się wykorzystana i emocjonalnie opuszczona. W konsekwencji wzbrania się przed kolejnym współżyciem. W takiej sytuacji zadaniem żony jest otwarta i szczerza rozmowa z mężem, a nie liczenie na to, że on dostrzeże jej smutek i że sam domyśli się, jak sprawa wygląda z jej perspektywy.

Na koniec jeszcze jedna zasada, gdy chodzi o więź seksualną małżonków. Otóż, szczęśliwi, kochający się małżonkowie mają ogromną radość ze współżycia seksualnego. Są dla siebie czuli i taktowni, delikatni i subtelni we współżyciu. Doświadczają obopólnej przyjemności cielesnej i radości emocjonalnej.

Potwierdzają we współżyciu, że siebie nawzajem rozumieją, że sobie ufają, że są jednym duchem, a nie tylko jednym ciałem. Tacy szczęśliwi, bo mocni wzajemną miłością małżonkowie, potrafią bez problemów przez tygodnie czy miesiące rezygnować ze współżycia, jeśli na przykład jedno z nich jest chore, czy przeżywają okres rozłąki, bo na przykład mąż wyjechał w długą delegację. I w dniach współżycia, i w dniach czy tygodniach, w których nie współżyją, kochający małżonkowie są szczęśliwi i wspierają siebie nawzajem na tysiące sposobów. Dla takich małżonków współżycie seksualne jest tylko czubkiem góry lodowej w całym morzu czułości, serdeczności i codziennej ofiarnej miłości.

INNE KSIĄŻKI TEGO AUTORA:

- M. Dziewiecki, *Anioł radości*, Jedność, Kielce 2004
- M. Dziewiecki, *Bądźmy podobni do Boga. Konferencje rekolekcyjne dla młodzieży*, Wydawnictwo Biblos, Tarnów 2013
- M. Dziewiecki, *Boży pomysł na Twoje życie*, Nasza Przyszłość, Szczecinek 2012
- M. Dziewiecki, *Bóg chroni rodzinę*, Wydawnictwo Ave, Radom 2014
- M. Dziewiecki, *Bóg kocha najbardziej*, Jedność, Kielce 2019
- M. Dziewiecki, *Bóg, królowna i księżniczki*, Jedność, Kielce 2016
- M. Dziewiecki, *Bóg vs cierpienie*, RTCK, Nowy Sącz 2018
- M. Dziewiecki, *Cielesność, płciowość, seksualność*, Jedność, Kielce 2000
- M. Dziewiecki, *Co czynię ze skarbem mego życia?*, Edycja Św. Pawła, Częstochowa 2006
- M. Dziewiecki, *Czy warto brać ślub?*, Nasza Przyszłość, Szczecinek 2008
- M. Dziewiecki, *Dorastanie do świętości*, Pomoc, Częstochowa 2006
- M. Dziewiecki, *Droga największej miłości. Rozważania drogi krzyżowej*, Nasza Przyszłość, Szczecinek 2013
- M. Dziewiecki, *Droga zwycięzców. Dwanaście kroków nie z tej ziemi*, Edycja Świętego Pawła – Wydawnictwo Rajmedia, Częstochowa 2016
- M. Dziewiecki, *Emocje. Krzyk do zrozumienia*, RTCK, Nowy Sącz 2019
- M. Dziewiecki, *Grzech, nawrócenie i świętość*, Nasza Przyszłość, Szczecinek 2014
- M. Dziewiecki, *Integralna profilaktyka uzależnień w szkole*, Rubikon, Kraków 2003
- M. Dziewiecki, *Jak być młodym z charakterem?*, Nasza Przyszłość, Szczecinek 2008

- M. Dziewiecki, *Jak pomagać młodzieży w rozwoju?*, Nasza Przyszłość, Szczecinek 2009
- M. Dziewiecki, *Jak wygrać kobiecość?*, Edycja św. Pawła, Częstochowa 2004
- M. Dziewiecki, *Jak wygrać przyjaźń?*, Edycja św. Pawła, Częstochowa 2004
- M. Dziewiecki, *Jak wygrać nadzieję?*, Edycja św. Pawła, Częstochowa 2007
- M. Dziewiecki, *Jak wygrać życie?*, Edycja Św. Pawła, Częstochowa 2002
- M. Dziewiecki, *Kapłan – świadek Miłości*, eSPe, Kraków 2005
- M. Dziewiecki, *Kochać i wymagać*, eSPe, Kraków 2006
- M. Dziewiecki, *Kocham, więc... Komunikowanie miłości w małżeństwie i rodzinie*, Fides, Kraków 2012
- M. Dziewiecki, *Komunikacja. Kochaj i mów, co chcesz!*, RTCK, Nowy Sącz 2018
- M. Dziewiecki, *Komunikacja wychowawcza*, Salwator, Kraków 2004
- M. Dziewiecki, *Komunikacja pastoralna*, Salwator, Kraków 2006
- M. Dziewiecki, *Mężczyzna mocny miłością. Być księdzem dzisiaj*, Edycja Św. Pawła, Częstochowa 2010
- M. Dziewiecki, *Miłość, która zdumiewa*, eSPe, Kraków 2005
- M. Dziewiecki, *Miłość, która zmartwychwstaje*, Jedność, Kielce 2003
- M. Dziewiecki, *Miłość na manowcach*, Wydawnictwo M, Kraków 2014
- M. Dziewiecki, *Miłość pozostaje*, Edycja Św. Pawła, Częstochowa 2001
- M. Dziewiecki, *Miłość przemienia. Przewyciężanie trudności w małżeństwie i rodzinie*, Edycja Św. Pawła, Częstochowa 2002
- M. Dziewiecki, *Młodzi pytają o Boga, człowieka i chrześcijaństwo*, Salwator, Kraków 2008
- M. Dziewiecki, *Młodzi pytają o miłość, rodzinę i wychowanie*, Salwator, Kraków 2008
- M. Dziewiecki, *Młodzi w poszukiwaniu szczęścia*, Edycja Św. Pawła, Częstochowa 2003
- M. Dziewiecki, *Mocni w Duchu Świętym*, Biblos, Tarnów 2012
- M. Dziewiecki, *Modlitwa różańcowa dla rodzin, Pomoc*, Częstochowa 2008
- M. Dziewiecki, *Najpiękniejsza historia miłości*, eSPe, Kraków 2005

- M. Dziewiecki, *Nie chowaj się przed Bogiem!*, Biblos, Tarnów 2012
- M. Dziewiecki, *Nie ma sytuacji bez wyjścia*, RTCK, Nowy Sącz 2020
- M. Dziewiecki, *Nie tylko miłość*, Jedność, Kielce 2004
- M. Dziewiecki, *Niezawodna nadzieja*, eSPe, Kraków 2006
- M. Dziewiecki, *Niezawodna wiara*, eSPe, Kraków 2007
- M. Dziewiecki, *Niezawodna miłość*, eSPe, Kraków 2007
- M. Dziewiecki, *Nowoczesna profilaktyka uzależnień*, Jedność, Kielce 2000
- M. Dziewiecki, *Oblicza Bożego miłosierdzia*, Ave, Radom 2015
- M. Dziewiecki, *Ochronić życie*, eSPe, Kraków 2009
- M. Dziewiecki, *Od urwisa do bohatera. Wychowanie moralne, duchowe i religijne chłopców*, eSPe, Kraków 2013
- M. Dziewiecki, *Odzyskana miłość*, Wydawnictwo M, Kraków 2014
- M. Dziewiecki, *Ojciec nasz*, Wydawnictwo Esprit, Kraków 2018
- M. Dziewiecki, *Ona, on i miłość*, eSPe, Kraków 2006
- M. Dziewiecki, *Osoba i wychowanie*, Rubikon, Kraków 2003
- M. Dziewiecki, *Pamiętnik Peretki*, Jedność, Kielce 2003
- M. Dziewiecki, *Pedagogika integralna*, Wyd. Sióstr Loretanek, Warszawa 2010
- M. Dziewiecki, *Postaw na dorosłość*, Edycja Świętego Pawła, Częstochowa 2017
- M. Dziewiecki, *Powołani do życia w miłości i prawdzie*, Rhetos, Warszawa 2004
- M. Dziewiecki, *Pójść drogą błogosławieństwa, Zarys duszpasterstwa powołań*, Salwator, Kraków 2009
- M. Dziewiecki, *Problemy z seksualnością. Odpowiedzi na dylematy młodych chrześcijan*, eSPe, Kraków 2011
- M. Dziewiecki, *Psycholog w konfesjonale*, Wydawnictwo M, Kraków 2012
- M. Dziewiecki, *Psychologia porozumiewania się*, Jedność, Kielce 2000
- M. Dziewiecki, *Radość miłości*, Jedność, Kielce 2005
- M. Dziewiecki, *Rodzina domem miłości i życia*, Fundacja Servire Veritati, Lublin 2011
- M. Dziewiecki, *Różaniec. Modlitwa, która chroni*, Nasza Przyszłość, Szczecinek 2013
- M. Dziewiecki, *Różaniec na trzecie tysiąclecie*, Edycja Św. Pawła, Częstochowa 2004
- M. Dziewiecki, *Seksualność: błogosławieństwo czy przekleństwo?*, Salwator, Kraków 2004

- M. Dziewiecki, *Szczęśliwe małżeństwo i trwała rodzina*, Wyd. Sióstr Loretanek, Warszawa 2006
- M. Dziewiecki, *Sztuka rozmawiania. Słowo jako nośnik miłości*, Nasza Przyszłość, Szczecinek 2012
- M. Dziewiecki, *Wybacz, pojednaj się i kochaj!*, Edycja Świętego Pawła, Częstochowa 2017
- M. Dziewiecki, *Wychowanie chrześcijańskie w praktyce*, Nasza Przyszłość, Szczecinek 2012
- M. Dziewiecki, *Wychowanie w dobie ponowoczesności*, Jedność, Kielce 2002
- M. Dziewiecki, *Zagrożeni alkoholem, chronieni miłością*, Pomoc, Częstochowa 2007
- M. Dziewiecki, *Zawsze możesz zacząć od nowa*, Homo Dei, Kraków 2017
- M. Dziewiecki, *Zwykłym językiem o niezwykłym chrześcijaństwie*, Salwator, Kraków 2007
- M. Dziewiecki, A. Porzezińska, *Bóg kocha najbardziej. Przygotowanie do I Komunii w rodzinie*, Jedność, Kielce, 2018
- M. Dziewiecki, R. Porzeziński, *Wohny człowiek*, Rajmedia, Warszawa 2017
- M. Korzekwa, M. Dziewiecki, *Błogosławieństwo i życie*, Wyd. Sióstr Loretanek, Warszawa 2009
- M. Korzekwa, M. Dziewiecki, *Bóg, człowiek i miłość*, Nasza Przyszłość, Szczecinek 2010
- M. Korzekwa, M. Dziewiecki, *Krajobrazy radości*, Wydawnictwo TUM, Wrocław 2007
- M. Korzekwa, M. Dziewiecki, *Przyjaźń*, Salwator, Kraków 2007
- M. Korzekwa, M. Dziewiecki, *Mądrość prawdy*, Pomoc, Częstochowa 2009
- M. Korzekwa, M. Dziewiecki, *Miłość jest poezją*, Pomoc, Częstochowa 2007
- M. Korzekwa, M. Dziewiecki, *Radość*, Salwator, Kraków 2008
- M. Korzekwa, M. Dziewiecki, *Radość mądrości*, Jedność, Kielce 2006
- M. Korzekwa, M. Dziewiecki, *Radość przyjaźni*, Jedność, Kielce 2005
- M. Korzekwa, M. Dziewiecki, *Świętość. Marzenia Boga o człowieku*, Jedność, Kielce 2007
- M. Korzekwa, M. Dziewiecki, *Zrozumieć siebie i świat*, Nasz Przyszłość, Szczecinek 2012

AUDIOBOOKI KS. MARKA DZIEWIECKIEGO

- Audio-Bóg*, Rajmedia, Warszawa 2017
Bóg vs cierpienie, RTCJ, Nowy Sącz 2015
Ciało – narzędzie do kochania, Morecords, Nowy Sącz 2014
Człowiek – jestem podobny do Boga, Radio Warszawa 2016
Emocje. Krzyk do usłyszenia, Morecords, Nowy Sącz 2014
Kod miłosierdzia. Sekret udanych relacji, RTCJ, Nowy Sącz 2016
Komunikacja. Kochaj i mów, co chcesz, Morecords, Nowy Sącz 2014
Koniec wymówek. Ćwicz ciało i ducha z Jezusem, RTCJ, Nowy Sącz 2016
Małżeństwo, Rajmedia, Warszawa 2015
Nie ma sytuacji bez wyjścia, RTCK, Nowy Sącz 2017
Pamiętnik Perełki, Rajmedia, Warszawa 2015
Planeta ludzi, Rajmedia, Warszawa 2015
Płciowość, Morecords, Nowy Sącz 2014
Seksualność, Morecords, Nowy Sącz 2014
Stworzeni, by kochać. Dźwiękowy portret miłości, Radio Warszawa 2015
Wybacz, pojednaj się i kochaj!, Edycja Świętego Pawła, Częstochowa 2017
Wychowanie, Rajmedia, Warszawa 2015
Uzależnienia, eSPe, Kraków 2016

SPIS TREŚCI

Wstęp	7
Rozdział 1	
Boży pomysł na małżeństwo i rodzinę	9
1.1. Miłość małżeńska: najpiękniejsze pokonanie samotności	10
1.2. Małżeństwo: sakrament największej miłości	17
1.3. Małżeństwo zagrożone	21
Rozdział 2	
Po czym poznać, że zaczyna się kryzys?	25
2.1. Zaniedbanie miłości małżeńskiej	26
2.2. Zaniedbanie miłości rodzicielskiej	34
2.3. Zaniedbanie więzi z Bogiem	52
Rozdział 3	
Skrajne formy kryzysu w małżeństwie i rodzinie	61
3.1. Uzależnienia w małżeństwie i rodzinie	62
3.2. Syn marnotrawny: lekcja twardej miłości ...	71
3.3. Zdrady małżeńskie i odejście małżonka	90
Rozdział 4	
Warunki wychodzenia z kryzysu	124
4.1. Prawda i miłość	125
4.2. Wiąż z Bogiem w Eucharystii	127

Rozdział 5	
Zamykanie bolesnej przeszłości	138
5.1. Pojednanie z Bogiem	139
5.2. Pojednanie z samym sobą	160
5.3. Pojednanie z tymi, których krzywdziłem ...	168
5.4. Pojednanie z tymi, którzy mnie krzywdzili .	174
5.5. Pojednanie, gdy krzywda jest wzajemna	180
Rozdział 6	
Nawrócenie	192
6.1. Przeszkody w nawróceniu	193
6.2. Kryteria nawrócenia	195
6.3. Pójść do Jezusa	200
Rozdział 7	
Odpowiedzi na pytania	209
Inne książki tego autora	233
Audiobooki ks. Marka Dziewieckiego	237

SYCHAR

DROGA KRZYŻOWA
MAŁŻONKÓW
W KRYZYSIE

Dwoje ludzi jedna Droga Krzyżowa



MARZENA ZIĘBA

SYCHAR
ROZWAŻANIA
RÓŻAŃCOWE

Zróbcie wszystko
cokolwiek wam powie Jezus



SYCHAR ZNOWU RAZEM

Jak wrócić do sakramentalnego małżonka,
wychowując nieślubne dzieci?

ŚWIADECTWA



ANNA JEDNA

SYCHAR
ILE JEST WARTA
TWOJA ○BRĄCZKA?

książka dla pragnących kochać
mimo wszystko



O. JACEK SALIJ OP

SYCHAR
MAŁŻEŃSTWO
JEST ŚWIĘTE

Najlepsze wino na końcu





WWW.WYDAWNICTWOFIDES.PL



Wydawnictwo Fides, ul. Koziennicka 17, 30-397 Kraków
tel. 605 416 946, e-mail: fides@wydawnictwofides.pl
www.WydawnictwoFides.pl

Kryzys małżeństwa nie zaczyna się dopiero wtedy, gdy dochodzi do przemocy, uzależnień czy zdrad. Kryzys i cierpienie zaczyna się już wtedy, gdy małżonkowie przestają okazywać sobie miłość, gdy zaniedbują wychowanie dzieci lub gdy oddalają się od Boga. Niniejsza książka pomaga szukać rozwiązań prawdziwych, a nie rozwiązań, które na krótką metę wydają się łatwe i proste, a które w rzeczywistości powiększają jedynie skalę krzywd i cierpienia.

„To oczywiste, że nie jesteśmy w stanie zmienić przeszłości. Możemy natomiast z przeszłości wyciągać mądre wnioski i uczyć się na popełnionych wcześniej błędach. To warunek błogosławionej terażniejszości. Każde małżeństwo sakramentalne jest do uratowania, jak słusznie przypominają o tym osoby należące do ognisk „Sychar”. Z najgorszej, z najbardziej nawet bolesnej przeszłości można się podnieść i budować radosną terażniejszość. Warunkiem jest jednak to, że nie czynimy tego po omacku czy metodą prób i błędów, lecz precyzyjnie rozumiemy, że okazywanie miłości to pierwszy warunek szczęścia małżeńskiego”.

„Pewien mężczyzna opowiedział mi o tym, że przed laty bezlitośnie krzywdził swoją żonę, wikłając się w romans z inną kobietą. Po pewnym czasie radykalnie się zmienił, powracając do życia w miłości, wierności i uczciwości małżeńskiej. Odtąd zaczął kochać swoją żonę jeszcze bardziej niż przed kryzysem. Jego małżonka była obecna przy tej rozmowie. Miała w oczach łzy wzruszenia i z wielką radością potwierdziła, że teraz czuje się bardziej kochana i wspierana przez męża. Nawet wtedy gdy pojednanie osiągnie taką pełnię, bolesne wspomnienia z przeszłości mogą się jeszcze pojawiać – zarówno u krzywdzonego, jak i u krzywdziciela. Jednak takie wspomnienia szybko przemijają i nie mają destrukcyjnego wpływu ani władzy nad nami, gdyż radosna terażniejszość jest dla nas zdecydowanie ważniejsza niż nawet najbardziej bolesna przeszłość”.

Ks. Marek Dziewiecki, doktor psychologii, wykładowca akademicki, dyrektor telefonu zaufania diecezji radomskiej, rekolekjonista, autor ponad siedemdziesięciu książek z zakresu małżeństwa i rodziny, wychowania, komunikacji międzyludzkiej, a także profilaktyki i terapii uzależnień.

www.xmarek.sychar.org



CENA: 35 ZŁ

Wydawnictwo Fides.pl



*Wspólnota
Trudnych
Małżeństw
Sychar*

*Wspólnota Trudnych Małżeństw Sychar wspiera sakramentalnych małżonków, których małżeństwa przeżywają kryzys. Opiera się na prawdzie o mocy sakramentu, który jest darem od Boga, a On – Bóg daje siłę na odrodzenie wspólnoty małżeńskiej w każdej sytuacji, nawet, po ludzku patrząc, bezna-
dziejnej.*

www.sychar.org